

<http://rcin.org.pl>







# STARE KĄTY



WANDA MIŁASZEWSKA

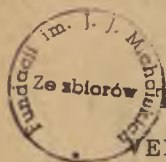
# STARE KĄTY

POWIEŚĆ

INSTITUT  
BADAŃ IZ WARSZAWSKICH PAŃ  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat 71  
00-000 Warszawa  
Tel. 26-66-63, 26-62-31 w. 42

WARSZAWA — 1929

NAKLADEM KSIĘGARNI -F. HOESICKA



TEJ SAMEJ AUTORKI:

VENI CREATOR — nowele  
CMENTARZ I SAD — powieść  
ZATRZYMANY ZEGAR — powieść  
KSIĘŻNICZKA DAGNY — romans  
O ZŁOTY WŁOS — powieść  
ROK BOŻY — poezje  
PIERWSZA MIŁOŚĆ — nowele  
KACZĘTA — powieść

*W przygotowaniu:*

MŁYN W BOŻEJ WOLI — powieść  
IMIONNIK.

---

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ W KRAKOWIE  
pod zarządkiem Henryka Schiffa



## SPIS ROZDZIAŁÓW:

	Str.
I. Wszystkie nasze dzienne sprawy...	7
II. Cienie od serc . . . . .	37
III. Słońce i pogoda . . . . .	61
IV. „Wielki świat“ . . . . .	85
V. Matka . . . . .	103
VI. Oczy, które dużo płakały . . . . .	133
VII. Stare Kąty . . . . .	163
VIII. Śpiewać! Śpiewać! . . . . .	181
IX. Wulkan . . . . .	203
X. Remington Standard Typewriter Nr 10 . . . . .	229
XI. Zielony zeszyt . . . . .	261
XII. Kiedy ranne wstają zorze... . . . .	297

---



ROZDZIAŁ I.  
WSZYSTKIE NASZE DZIENNE  
SPRAWY...



Jak zwykle, około ósmej „namiestnik“ Zaworonek opuszczał kancelarję. Odgłos jego ciężkich, milknących poza bramą kroków był hasłem dla Nastki, która z niesamowitym pośpiechem biegła do kuchni, przewidzieć się, czy wieczerza gotowa.

Jednocześnie wszczął się w całym domu rumor, hałas, tuptanie. Dudniły jakieś bosc pięty, krzyżowały się zapytania, gniewne uwagi i śmiechy. Z pokoju „chłopców“ gromki baryton huczał groźnie, że znowu w dzbanku niema wody.

— A Boże-ż mój, Boże! — rzędziła klucznica, biegnąc od strony kredensu i otwierając na przestrzal wszystkie drzwi. — Toż południem cztery pełniuskie wiadra nanieśli. Handzia! Ha-an-dzia! Gdzie ty znów, ciapo, zaszyła się? Biegnij d u- chiem, paniczu Józiu wody przynieś, a przy studni nie stercz do północy, bo nic dobrego nie dosterczysz się! Handzia! Gdzie ona? Elżbietka! Maa-a-nia! A żeby ich, tych wszystkich dziewczyn!

W obszernych sieniach Karol, przez starszych domowników jeszcze „paniczem Lolem“ zwany, czyścił dubeltówkę i pogwizdywał. Na chwilę przerwał obydwie te czynności, odgarnął z czoła bujną ciemną czuprynę i krzyknął:

— Żeby ich co? Niechno pani Kublicka choć raz dokończy! Żeby ich piorun spalił, czy żeby jutra nie doczekały? Zawsze w najciekawszym miejscu utnie pani, jak nożem.

Gospodyni zatrzymała się, popatrzyła na niego poczciwie i głupio, wreszcie machnęła ręką.

— Ech, Boże-ż mój! Z paniczem to też...

— Co, zemną także? — roześmiał się na całe gardło. — Cóż znowu zemną, moja pani Kublicka? Mów-że, serdenko, prędzej, bo dalibóg nie strzymam z ciekawości...

Już, już otworzyła szerokie usta, ale ją raptem gniew ogarnął, wzruszyła ramionami zgorszona.

— Właśnie mam czas panicza Lola rozmową teraz bawić! Wieczera dawno gotowa, kartofle pewno już się przestali, a tu nikogo dowołać się nie można! I jeszcze panu Józefu wodę ktoś zabrał ze dzbanka, krzyczy tani, fuka, że oj...

— A chce pani Kublicka, to powiem kto wziął wodę. Tylko proszę bez gniewu, grzecznie poprosić.

Była już we drzwiach, przystanęła:

— Bez niczyjego proszenia wiem: Nastka, albo Elżbietka. Nie chciało się z pod pompy ciągać, więc laps za pierwszy lepszy dzbanek i tyle. O, znów pan Józef krzyczy!

— A właśnie myli się pani Kublicka. Ani Nastka ani Elżbietka nie wylała wody ze dzbanka.

Sama jaśnie oświecona Księżniczka ze Szklanej Góry.

— Kto znów taki?

— Ania.

— Panna Ania niby?

— Wcale nie „niby“. Sam widziałem, jak białymi rączynami dźwigała to dzbanisko. O, widzi pani Kublicka, słój od powidel na stole? A w słoju moknie jakieś zielsko. To Ania przyniosła dziś ten wiecheć z pola. W salonie stoi taki sam, jeszcze większy i obrzydliwie cuchnie.

— Skąd znowu cuchnie Wilcze lyko?

— Wilcze, nie wilcze, ja się na tem niewiele znam. Ale nawet mój Budrys kichnął, jakeśmy weszli do sieni. Jeszcze sobie psisko węch popsuje na tych panieńskich bukietach.

Gospodyni znowu ramionami wzruszyła:

— A pan Lolo zawsze facecje rozpowiada! Było z czego historje robić! Mnie śpieszno, starszy pan tylko patrzeć, dzwonić zacznie, że nikogo niema w jadalni...

— ...A tu kartofle się przestali — przedrzeźniał, ale już jej nie było. W korytarzu tylko łopotwały sztywne spódnice i dźwięczał coraz dalej gderliwy głos:

— Handzia! Malwina! Ha-an-dzia!

Karol zawiesił dubeltówną na ścianie, zerknął raz jeszcze w stronę „wiechcia“ uśmiechnął się, wspomniawszy minę gospodyni i ruszył do jadalni.

Wiedział, co teraz będzie. Mógł ze ścisłością niemal co do sekundy przewidzieć kolejność zjawisk, towarzyszących obrządkowi wieczornego posiłku:

Najpierw przyjdzie pisarz w nałożonym pośpiesznie gumowym kołnierzyku i takichże mankietach. Zajmie swój posterunek w pobliżu serwantki z porcelaną, opodal własnego miejsca przy stole i po raz tysięczny zagłębi się w kontemplacji nad niedobitkami z Sèvres i rodzimego Korca. W przeciągu paru minut pani Kublicka z dziesięć razy przebiegnie jadalnię, znikając w coraz to innych drzwiach i wywołując kolejno wszystkie imiona kobiece, popularne w tej okolicy. Z uderzeniem wpół do dziewiątej ukaże się dziadzio w samodziiałowem ubraniu i narzuconej na ramię wielbłądziej pelerynce żoninej. Spojrzy na zegar wiszący, sprawdzi godzinę na własnej staroświeckiej srebrnej „cebuli“ i odezwie się nawpół do siebie:

— Cóż to? nikogo jeszcze niema? Przecież Naścia mówiła, że wieczerza gotowa...

Wreszcie zaczną się schodzić wszyscy: babcia Andzia wkroczy od strony ogrodu. Będzie jeszcze miała na ustach ostatnie „Zdrowaś Maryja“ przypadającej na dzień dzisiejszej części Różańca, a w drżących, suchych i przeźroczystych palcach trzymać będzie ostatnie ziarnko misternie rzeźbionego drzewa.



Potem — cicho jak mysz przemknie się między sprzętami panna Teresa... Potem, z hałasem wytarłszy buty o słomiankę, nadejdzie Józef. Wicek naturalnie znów pewnie utknął w leśniczówce i może zjawi się nazajutrz koło południa, aby odespać nocne czaty na jakąś bliżej nieokreśloną zwierzynę.

I wreszcie z opóźnieniem, jak zwykle — wejdzie Ania.

Karol uśmiechnął się znów, na wspomnienie ich ostatniego przed paru godzinami spotkania w lesie...

— Będzie się jeszcze boczyć kilka dni, — pomyślał, wchodząc do jadalni.

Wszystko sprawdziło się, jakby z nut czytał: dziadzio spojrzął po raz trzeci na zegar i akurat sięgnął po dzwonek. Pan Kozakiewicz, pisarz, jeszcze tkwił przed serwantką w służbistej, a eleganckiej postawie. Babcia Andzia chowała właśnie różaniec do torebki i „rozpytywała“ cichutką pannę Teresę o wynik wieczornego udoju. Tylko Józef spóźnił się nieco, widocznie z racji słamazarnej Handzi, czy też Elżbietki.

— Przepraszam — rzekł, pucnąwszy w rękę obydwójce staruszków — Zamarudzilem dzisiaj trochę we młynie.

— Może stało się co? — zagadnął niespokojnie dziadzio.

— E, drobiazg. Nowy pas trochę za luźny, jak

trzepnął raz o ścianę, tak i zleciał. Pomagałem zakładać i takem się usmarował, jak nieboskie stworzenie. Proszę babuni, czy z dzisiejszą pocztą nie przynieśli Gazety Rolniczej?

— Siadaj-no lepiej, Józiu — przerwał dziadzio — Wieczera pewnie dawno przestygła.

— Przestygnąć to ona nie przestygła — wtrąciła niespodziewanie Kublicka, — tylko zsiadłe mleko już serwatką podchodzi, a kartofle...

— ... „przestali się“... — szepnął Karol tak cicho, że babcia przyłożyła dłoń do prawego ucha:

— Co powiadasz Lolu?

— Nic ważnego, babuniu. Mówię, że Ani jakoś jeszcze nie widać.

— Skoczno, Elżbietko, do pokoju panienki...

— Panienska powiedziała, że na wieczerzę nie przyjdzie i kazała przeprosić starszych państwa — wydeklamowała w tej chwili Nastka od progu. — Paniencie głowa boli od obiadu i powiedziała, że zaraz kładnie się do łóżka.

— Aj, biedniénka-ż ona, aj, biedna! — westchnęła z politowaniem Kublicka. — Jak mnie roku zeszłego w głowie huczało, ot tu, nad samym uchem...

Ale umilkła, spiorunowała wzrokiem panny Teresy, bo w tej samej chwili „starszy pan“ rozpoczął był zwykłą modlitwę przed jedzeniem.

— Ciekaw jestem, czy to aby prawda z tą głową! — pomyślał Karol. — Ale poco miałaby robić

historje o takie głupstwo... Że ją gwałtem przeniosłem przez błoto? Wielkie rzeczy!

Jednak przypomniał sobie jej roziskrzzone oczy i poczuł znowu słodki ciężar szamoczącej się, gniewnej dziewczyny.

— Et, fanaberje panięskie! — szepnął w duchu. — Jutro już będzie zapomniane. Przecież nie myśli chyba dąsać się na mnie aż do grobowej deski?

Jednakże po skończonej wieczery, „oddawszy“ całemu zgromadzeniu dobranoc, wymknął się z domu i poszedł do ogrodu. Kluczył długo zarosłymi ścieżkami tam i sam, aż wreszcie w pewnej chwili, jak gdyby od niechcienia przystanął pod oknem otwartem, lecz zasłoniętem szczelnie perkalową firanką.

W pokoju panowała cisza, choć paliło się światło i od czasu do czasu dobiegał lekki szelest odwracanej kartki papieru.

Opodal w krzaku jaśminu śpiewał słowik. Dożywał z maleńkiego gardziolka przedziwne trele, raz po raz odmieniając kolejność dźwięków, tak, że tworzyły coraz nowe, coraz misterniejsze melodje. Milknął na krótką chwilę, jakby dla sprawdzenia, czy wilgotna, mięka ciemność nocy nasycała się już rytmem piosenki, — i znów zaczynał znięcka jakimś wysokiem *cis* by przejść w kląskanie słodkie i niecierpliwe, a wreszcie za-

kończyć tremolandem i jedną, wyzywającą nutą, urwaną nagle w pół taktu...

Karol stał nieruchomo skryty w cieniu rozkwitłego bzu i obserwował zamierające życie dworu. Okna gasły jedno po drugim, zamykały się jak senne powieki. Jeszcze raz, drugi przemknął ktoś ze świecą przez anfiladę ciemnych wnętrz... W pokoju dziadków na przeciwległym końcu domu, paliła się lampka naftowa, osłonięta błękitnym abażurem i kładła mdły odblask na ścieżkę biegnącą pod oknami, na klomb stokrotek i na gruby pień starej gruszy, świeżo wapnem bielonej. Z czeladniej i kredensu dobiegały jeszcze poszczękiwania talerzami, tupot nóg i chichoty, — ale tam także powoli sposobiono się do snu.

Stawało się coraz ciszej i coraz jaśniej, bo księżyc wyrzwał z poza gmatwaniny gałęzi i świecił sędziwemu domostwu prosto w twarz, podkreślając złośliwie wszystkie szczyby dachu i blizny pochylonych ze starości ścian.

W jakiejś wreszcie chwili — pomiędzy jedną a drugą kaskadą pieśni słowiczej, Karol podsunął się jeszcze bliżej ku oknu i szepnął głosem zduszonym, ale jednak wyraźnie:

— Aniu!

Czekał chwilę. W pokoju znów zaszeleściła odwrócona stronica książki.

— Aniu, to ja... — powtórzył, nieco wzmacniając szept.

Milczenie było jedyną odpowiedzią. Zawahał się, czyby lepiej nie odejść, skoro uparta dziewczyna jeszcze się dąsa. Nie wierzył bowiem, aby niedosłyszała. Woli tylko udawać, że nie przeczuwa nawet jego obecności w tem miejscu i o tej porze. Po namyśle zaryzykował po raz trzeci:

— Czy naprawdę gniewasz się jeszcze na mnie?

Cisza. Potem lekki trzask, jakby gwałtownie zamkniętej książki — i znów milczenie.

Karol nalegał dalej:

— I za co? Za niewinny żart? Że nie chciałem pozwolić, abyś sobie przemoczyła trzewiki?

Mówił już niemal głośno, nie zważając, że ktoś mógłby usłyszeć. Ale tego „ktosia“ nie było nigdzie w pobliżu. Jedyne zaś ognisko czuwającego życia, — pokój dziadków — znajdował się nazbyt daleko.

Teraz ogarnęło Karola zniecierpliwienie, miał prawie żal do Ani za to, że się tak długo zapamiętała w gniewie.

— Aniu, posłuchaj, — ciągnął, przytulając prawie twarz do ramy okiennej — nie udawaj, bo wiem, że słyszysz! Czy postanowiłaś milczeć, choćbym tu czekał całą noc, jak duch pokutujący? Odpuść mi winę, chociażby była, zdaniem twojem, zbyt ciężka! Zlituj się nad grzesznikiem, który uderza w pokorę i kaja się przed tobą!... Pokaż twarzyczkę, chociażby zagniewaną... pokaż choć rękę na znak zgody! Wysuń z za firanki je-

den paluszek... Czy zamierzasz długo trwać w zakamieniałości? Pomyśl, już wkrótce zabiorą mnie w „sołdaty“... Będziesz się ciągle dąsała? Aniu?

Teraz wreszcie otrzymał jakiś znak widomy, że w pokoju znajduje się żywa istota. Energiczne dmuchnięcie w lampę zgasiło ją. Lekkie kroki zbliżyły się ku oknu. Przyciszony głosik zasyczał gniewnie:

— Proszę natychmiast odejść od okna, albo zawołam na służbę...

— Służba już śpi, serdeńko — wtrącił Karol mimowoli do złudzenia naśladowując akcent Kublickiej.

— Jutro się rozmówimy — ciągnęła obrażona panna. — Takie postępowanie jest poprostu... jest...

— Spójrz lepiej Aniu, co za cudowny wieczór! Noc jest zupełnie, jak wyrwana z powieści. Pomyśl: maj, słowik śpiewa, jakies tam kwiaty pachną, aż dech zapiera... I ty się ciągle gniewasz? Wychył głowę za okno, sama zobaczysz...

— Zobaczę przedewszystkiem natręta, któremu jeszcze raz powtarzam, że zachowanie jego jest w najwyższym stopniu nieprzyzwoite. Tak! Nieprzy-zwo-ite! Proszę w tej chwili odejść i wynosić się precz!

— Rozkaz — odszepnął żartobliwie, salutując, gdyż był do głębi przekonany, że dziewczyna śledzi go z poza firanki.

Opuścił jednak posterunek, manifestując rej-

teradę głośnem stąpieniem po ścieżce. Był poirytowany, że nie zdołał uzyskać przebaczenia, a jednocześnie uśmiechał się i myślał: Co ona teraz zrobi? Zamknie okno? Zapewne, zamknie okno, zapali znowu lampę i zacznie się przygotowywać do snu. Ach, ta Ania! Gdyby była kokietką, dawno zapisałby na jej niekorzyść te różne panięskie fochy i ton, jakim go częstowała. Ale Ania nie była kokietką, a przynajmniej nie grała świadomie na jego nerwach; musiała jednak wiedzieć, musiała spostrzedz oddawna, że ma nad nim, Karolem, olbrzymią władzę. Musiała instynktem kobiecym wyczuć, odgadnąć, jak bardzo mu się podoba każdy jej ruch, dźwięk głosu, każdy rys twarzy: nawet ten nos nieprawidłowy, zuchwale sterczący z oblicza. Nos energiczny, jak cała postać dziewczyny, zdecydowany, jak jej stały system dokuczania „wielbicielowi“ na każdym kroku.

Ach, ta niedobra, nieznośna, śliczna, rozkoszna Ania!

Co robi teraz? W tej chwili? Pewno się cieszy, że mu porządnie dokuczyła, (bo jednak dokuczyła mu). A może nie myśli o nim wcale?

Karol przystanął i obejrzał się. Okno pozostało otwarte, a wewnątrz panowały ciemności. Czemu nie zapaliła światła? Czy boi się, aby nie wrócił znowu? Czy już usnęła? Nie, to niepodobieństwo. Musiała być ubrana, skoro siedziała przy stoliku,

czytając. A więc ból głowy był rzeczywiście wykrętem! Nie chciała przyjść na wieczerzę, aby się nie spotkać z Karolem po tej zabawnej, leśnej scenie...

Uśmiechnął się nawpół z politowaniem, a jednak mocno wzruszony. Przypomniawszy sobie znowu ów nagły, dla niego samego niespodziewany pocałunek, wyciśnięty na ramieniu szamoczącej się gniewnie panienki. Spotkał ją zbierającą kwiaty — brzydkie zielsko, pachnące wstrętnie, jak mu się zawsze wydawało, ilekroć wspomniawszy „bukietową manję“ i pasję dziewczyny do samotnego brodzenia po łąkach.

Szli razem dalej, rozmawiając, przekomarzając się żartami, jak zwykle. Nagle — błoto zastąpiło im drogę. Ania wahająco spojrzała na swe płócienne trzewiczki.

— Przeniosę cię — rzekł i bez namysłu chwycił ją wpół.

— Dziękuję! — zawołała — przejdę sama!

Ale już ją trzymał wysoko w powietrzu na wyciągniętych ramionach. Poczęła się wyrwać, więc ją mocno przycisnął do siebie i wszedł w błoto. Lekka była, lecz dziwnie silna i zwinna. O mało mu się nie wydarła z objęć: szarpnęła go za mankiet, wyrwała spinkę, — odpychała się od niego łokciami i głową, całą sobą. Wtedy raptownie, bez zastanowienia, ot, pocałował ją w ramię powyżej łokcia. Miała bluzkę z krótkimi ręk-



kawami. Krzyknęła krótko, boleśnie — jakby ją zranił.

Właśnie już stał na suchym gruncie. Powoli, uważnie postawił ją na ziemi i rzekł głosem zupełnie spokojnym:

— Pantofelki uratowane.

Wracali w głębokim milczeniu, bez słowa, bez spojrzenia. Gdy doszli do skraju dworskiego ogrodu, Karol wyciągnął ku niej rękę:

— Aniu, dąsasz się na mnie?

Nie odpowiedziała. Odwróciła głowę i poszła ścieżką w bok. Nie zastępował jej drogi, nie usiłował towarzyszyć. Wiedział, że teraz byłby to trud daremny. Udał się prosto do domu, chwycił dubeltówkę i nie wrócił aż na wieczerzę. Zastrześlił w sosnowym lasku, stolicy rozwielnionych wron, cztery sztuki, ale nie czuł radości z powodu celnych strzałów.

Spotkał Anię w sieni, gdy wkładała do szklanego słoja swój „wiecheć“. Nie próbował nawet zagadać, wobec surowej miny i niepatrzących, zimnych oczu. Po jej wyjściu (jakże ostentacyjnym!) uczuł szaloną chęć do śmiechu: — aby ją opanować, zaczął gwizdać bardzo melodyjnego, modnego walca i myślał nie bez przekornego zadowolenia, że tem gwizdaniem napewno drażni Anię.

— Niechaj się boczy! — szepnął teraz, obserwując ciemne wciąż okno. — Krzywdy jej żadnej

nie uczynilem, ze skóry nie obdarłem; jeśli uważa, że postępek mój był niestosowny, to — bardzo proszę! Nie będę ostatecznie taką głupią dzierlatką zaprzętał sobie głowy!

Przerwał mu rozmyślania nagły szelest. Zadzźwięczała cichutko szyba, zachrobotwały na żwirze ostrożne kroki. Karol powstrzymał oddech i znieruchomiał jeszcze bardziej pod osłoną rozłożystego krzewu. Przez krótką chwilę jasna sylwetka Ani zamajaczyła w plątaninie księżycowych światel i cieni, poczem zgasła w głębokim mroku starej alei lipowej.

Przeczekał jeszcze trochę i ruszył śladem samotnej wędrowniczki, skradając się, jak kot. Przedzierał się przez gąszcz młodych sokorów, umyśliwszy przeciąć panience drogę na skraju ogrodu.

— Żeby tylko nie przeraziła się zanadto — przemknęło mu przez myśl. — Ale Ania nie jest płochliwa. Conajwyżej usłyszę znów kilka pochlebnych słówek, choć teraz jesteśmy na równych prawach: park jest miejscem neutralnem, dostępnem dla wszystkich.

Wyszedłszy z alei, Ania obejrzała się. Miała teraz przez sobą szeroki pas łąki, dzielącej park od stawu. Pokryta rosą trawa była szczęściem krótka w tej porze roku. Nisko w dole srebrzył się połyskliwy szmat wody i rechotały zawzięcie całe legjony żab.

Ania szła teraz wolno, wdychając z prawdziwą rozkoszą zapach tej nocy wiosennej, rzeczywiście czarodziejsko, upajająco pięknej. Z pod stóp dziewczyny wymykał się i biegł chyżo naprzód krótki, mocno zarysowany cień. Prześlizgiwał się między trawami, podskakiwał na kępach, wpadał w wyrwy na dróżce — wykrzywiając pocieszenie smukłą sylwetkę Ani. W pewnej chwili dopędził go cień drugi, wyższy i szerszy i spytał ludzkim, dobrze nawet znajomym głosem:

— Dokąd Pan Bóg prowadzi?

Ania drgnęła i odwróciła się tak gwałtownie, że omal nie wpadła z całym impetem na Karola, który przezornie cofnął się o krok, oczekując wybuchu, a kto wie, czy nawet nie rękoczynu ze strony popędliwej panienki.

Nadspodziewanie ograniczyła się do suchego zapytania:

— Długo tego będzie?

Chmurka, zachodząca na księżyc, skryła w dobroczynnym swym cieniu łobuzerski, prowokacyjny uśmiech, z jakim Karol wypowiedział uwagę:

— Nie myślałem, że potrafisz tak długo dręczyć bez powodu Bogu ducha winną istotę ludzką.

— Nikogo nie chcę dręczyć, a w tej chwili uważam jedynie, że nie mamy sobie do powiedzenia nic tak ważnego, co by upoważniało *pana* do

prześladowania mnie nawet tu i nawet o tej godzinie.

— Uf, co za kwiecisty frazes! Musiałaś go chyba wygrzebać z ćwiczeń stylistycznych i nauczyć się na moją intencję. Dobrze i to, mam chociaż dowód, że żywisz dla mnie coś więcej, niż obojętność. Nienawiść i gniew — to też uczucie, w każdym razie bliższe miłości, niż nuda. Czy zamierzasz na stałe tytułować mnie „panem“?

— Nic nie zamierzam. I wogóle nie życzę sobie tej nocnej pogawędki. Proszę mię zostawić w spokoju, a jeżeli *pan* ośmieli się dalej chodzić za mną krok w krok...

— ...poskarżę się babci. Czy tak? Ciekaw tylko jestem, jaką minę zrobiłaby staruszka, widząc swoją pupilkę samą nad stawem, o tej godzinie...

— Skończyłam ośmnaście lat i mam chyba prawo wyjść z domu, kiedy mi się spodoba.

— Hm... Opuszczanie domu przez okno określano w dawnych czasach ucieczką. Do wychodzenia osób niewątpliwie dorosłych przeznaczone są drzwi.

Ania ruszyła naprzód, przygryzłszy usta. Musiała mieć w tej chwili silne rumieńce, ale je dobrotliwie złagodził seledynowy półksiężyc, chyłący się powoli ku lasowi.

— Czy idziemy razem nad staw? — spytała po chwili, widząc, że Karol ani myśli się od niej „odczepić“.

— Owszem. I z powrotem do domu, jeżeli pani zechce łaskawie pozwolić. Mamy dzisiaj sobotę. Mogą tędy przechodzić podpici chłopi, albo młynarz, albo ktokolwiek ze służby. Nie trzeba się narażać na złośliwe uwagi, albo nawet zaczepkę. Tutejsi ludzie „nie przywyklszy“ widywać jaśnie panienkę na samotnych, nocnych spacerach... Jeszczeby gadać zaczęto...

— I tak będą gadali, jeżeli nas ktoś spotka.

— O, przepraszam. To co innego. Widząc nas razem, nikt się nie zdziwi. Wyszłaś z domu pod opieką kuzyna.

— Śliczna opieka! — wzruszyła ramionami. — I co za kuzynostwo! Dziesiąta woda po kisielu!

— Dziesiąta, nie dziesiąta, ale zawsze daje mi prawo do roztoczenia opieki nad pewną młodą osóbką, która...

— Pięknie korzystasz z tego prawa! — wybuchnęła. — To niegodziwie z twojej strony! Rozumiesz? Niegodziwie!... I nigdy nie przebaczę ci...

— Czego, Aniu? — spytał, zmieniając nagle ton. W głosie brzmiała nuta poważna i serdeczna zarazem.

Byli już na grobli, dzielącej stawy. Nisko, prawie na czubach sosen jaśniał księżyc. Drugi kąpał się w wodzie, łagodnie zalewany co chwila przez drobne, biegnące jak dreszcz po skórze, fale. Kilka żab, przerażonych niespodziewaniem zja-



wieniem istot ludzkich, skoczyło z głośnym pluskiem do wody.

Ania zatrzymała się, nie bardzo wiedząc, co czynić dalej. Zawrócić z miejsca do domu? Nazwanoby to znowu ucieczką... Stała więc, patrząc na połyskliwą taflę, obramioną ciemnym szlakiem lasu odbitego w niej, jak w zwierciadle.

Wtedy Karol zaczął mówić spokojnie, z hamowaniem wzruszeniem, a głos rozpływał się daleko, jakby miał zmiłknąć dopiero tam, w kręgu nieobjętym jasnością, wśród miękiej trawy przeciwległego wybrzeża.

— Jeśli uważasz, że postąpiłem niegodziwie, biorąc cię na ręce, tam w lesie, wbrew twojej woli — to popełniasz wielką omyłkę. Nie chciałem cię obrazić. Nigdybym nie chciał obrazić ciebie, urazić w najdrobniejszym uczuciu, jeżeli to uczucie nie jest tylko kaprysem. Żartujemy ze sobą, nieprawdaż? Droczyliśmy się często, jak dzieci. Ale to chyba nie na serjo? Skoro jednak twój upór nie był tylko zachcianką, takim samym kaprysem, jak tyle innych, — jeżeli przekroczyłem jakiś stanowczy zakaz... Zakaz, który był wyrazem twego instynktu, twej świadomej czy podświadomej niechęci, to — przepraszam cię bardzo gorąco. Nie chciałbym powiedzieć zawiele, ale nie chcę też taić, że mi jesteś droga... Tak, bardzo droga, — kochana moja Aniu. Możesz z tem, co ci teraz mówię, postąpić, jak chcesz. Możesz to

puścić mimo uszu, zapomnieć, albo zamyślić się bodaj przez chwilę. Ja jestem szalawiła, szalapat, zawsze to o mnie słyszałaś od dziadzia, babci, od domowników. Przyzwyczaiłaś się widzieć we mnie ot, taki dość zabawny typ sympatycznego kuzyna. Prawda, że dorastaliśmy oboje zdala od siebie. Przysyłałiśmy sobie o tysiące wiorst śmieszne pocztówki z paru nieznaczącymi słowami: na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na imieniny. Spotykaliśmy się czasami... tak rzadko! Ja byłem dużym chłopcem, uczniem gimnazjalnym, studentem. Ty — byłaś zawsze małą dziewczynką. Anią z jasnemi lokami, Anią z warkoczykiem splecionym, Anią w fartuszku, Anią z dziecinnego pokoju. Brałem cię nieraz na ręce, huśtałem cię wysoko. Nie obrażałaś się na mnie za to. Ale to było co innego. Tak. Teraz spotkaliśmy się znowu. Spotkaliśmy się *naprawdę*. Tylko „ja” ciągle w twoich oczach jestem nieznośnym Lolem, który laźł przez politechnikę jak zółw i niepokoił rodzinę. Nasłuchwałaś się sporo o moich sprawkach: że lekkomyślnie, zamiast się uczyć, tracę czas na włóczęgi po świecie, że mi zawsze brakuje pieniędzy zaraz po pierwszym, że to, że owo... Burczeli na mnie wszyscy: dziadzio, cały pułk ciotek, nawet babcia, nawet... Teresa. Strofowali mnie w oczy i za oczami. I ty, może bezwiednie, robisz to samo. Ale pomyśl, pomyśl o jednym, Aniu: kto wie, może ja już nie jestem chłopcem,

za jakiego przywykliście mnie uważać. Bo co się tyczy ciebie... Ty przestałaś być w moich oczach małą Anią. Zrozumiałem to nagle. Może dziś, a może trochę wcześniej. Może nawet w sam dzień powrotu do tych rodzinnych, starych, nudnych Kątów.

Umilkł wreszcie i patrzył na nią z powagą, która powoli przeszła w uśmiech, w jego beztroski uśmiech „szałaputa“, panicza Lola.

I nagle, niespodziewanie wyskoczyło wspomnienie tego dnia:

— Pamiętasz? Przyjechałem w samo południe. Bryczka rażno podskakiwała na kamieniach, konie parskaly. Nie spracowały się zbyttnio: wiozły mnie, moje palto, kilka koszul zmiętoszonych w walizce... A, prawda — i mój sławetny dyplom! To był bodaj najcięższy przedmiot, w każdym razie najbardziej *ważki*, przynajmniej w oczach *in corpore* zgromadzonej na ganku rodziny. Tak, miałem pustkę w kieszeni, w sercu lekkim jak ptak, pustkę beztroską w myślach... Aż nagle, w tej właśnie chwili, spostrzegłem ciebie. Stałaś na ganku z obojętnym wyrazem twarzy, jak teraz, tylko machałaś ku mnie rękami, jak zresztą wszyscy.

Ania nagle przerwała mu:

— Nie rozumiem *po co* opowiadasz to wszystko.

— Po co?

Urwał, potem nagle uderzył się w czoło:



— A prawda. I ja sam nie wiem. Ot, tak się przypomniała ta chwila. Wydało mi się wtedy, że cię ujrzałem pierwszy raz w życiu. W jednym ułamku sekundy spostrzegłem, jakie ty naprawdę masz włosy, oczy, usta, szyję, ramiona... Ogarnąłem cię całą jednym spojrzeniem i wszystko uradowało się we mnie, jak z wielkiego, doniosłego odkrycia! W godzinę później już sprzeczailiśmy się na dobre, po naszymu. Poszło o drobiazg, lub też o zasadniczą sprawę, nie pamiętam. Kolor mojego krawata wznieca w twoich oczach ten sam wyraz pogardy, co „niefachowa“ uwaga o jakiejś końskiej pęcinnie. Ale pomimo wszystko co cierpię z twojej przyczyny, winienem ci głęboką wdzięczność. Za to że jesteś, że *istniejesz*. Zrozumiałem to po raz pierwszy owego dnia i od-tąd stwierdzam codziennie z rosnącą satysfakcją. Nie mam już pustki w oczach i w sercu. Wypełniły się tobą po brzegi. I właśnie chcę ci powiedzieć...

— Chodźmy — rzekła — robi się trochę chłodno.

Pokiwał głową.

— Naturalnie, spodziewałem się tej uwagi od dłuższej chwili. Zawsze ci za chłodno, lub za gorąco, lub masz niecierpiącą zwłoki wiadomość do zakomunikowania Teresie, — gdy zaczynam ci mówić rzeczy ważne. Ale teraz nie ujdiesz mi. Musisz wysłuchać do końca. Zresztą, możemy

wracać. To, co ci mam do powiedzenia, nie wymaga zbyt wielu określeń, ani doboru słów. Mogę to z siebie wyrzucić w krótkim zdaniu, zawsze, bez względu na czas i miejsce.

— A jeżeli ja nie chcę wysłuchać tego „krótkiego zdania?”

— Tem gorzej dla mnie. Ale ja się nie zrażam tak łatwo. Będę ci je powtarzał rano, w południe, przed i po podwieczorku, w ogrodzie, w stajni, na skrzyżowaniu dróg, aż wreszcie kiedyś... usłyszysz. Kocham cię, Aniu.

Wzruszyła ramionami:

— Brednie.

— Teraz może ci się tak zdaje. Kiedyś będziesz musiała to odwołać.

— Ja?

— Naturalnie. Skoro zostaniesz moją żoną.

— Ja? — powtórzyła z takim akcentem zgrozy, że poprostu zbrakło jej tchu. Nie mogła znaleźć dalszych słów, dość silnie piętnujących tę bezczelność.

Karol roześmiał się, jak to zwykł czynić: zupełnie beztrosko i szczerze. Zanim przestał się śmiać i dostatecznie spoważniał, aby móżdż dalej mówić, — weszli w aleję i gęsty mrok skrył wyraz jego oczu. Ponieważ zbliżali się ku domowi, należało zniżyć cokolwiek głos. Pochylony ku głowie Ani, mówił prawie szeptem:

— Czy to rzeczywiście tak nieprawdopodobne? powiedz...

Odsunęła się od niego, więc począł tłumaczyć pośpiesznie, nieomal ze zniecierpliwieniem:

— Posłuchaj! Nie chciałem ci się oświadczać i to właśnie dziś, gdy jesteś do mnie tak wyjątkowo źle usposobiona. Patrz, jesteśmy o sto kroków od domu. Nie mamy nazbyt wiele czasu, aby zawrzeć przymierze... Choćby zaczepno - odporne! Wiesz co? Zapomnijmy o całej tej głupiej rozmowie. Wyraziłem nadzieję, że wyjdiesz zamąż i to z pewnością za mnie. Zgoda, palnąłem głupstwo, mówiąc to. Nie należy mówić o wielu rzeczach przed czasem, choćby się miało pewność, że tak być musi.

— Właśnie ta twoja pewność zadziwia mię. Czy kiedykolwiek dałam ci prawo... tak, cień prawa do podobnych nadziei?

— Skoro popełniłem bezprawie, raz jeszcze wyrażam ci głęboką skruchę. Aniu, daj rękę na zgodę! Jesteśmy jednak, mimo wszystko, dobrymi przyjaciółmi, prawda?

— Nigdy nie wyjdę za ciebie — szepnęła w odpowiedzi.

— Cicho! Sza... *Zawsze i nigdy* to są dwa niebezpieczne słowa, jeśli w grę wchodzi jakiegobądź silne uczucie: miłość albo nienawiść. Skoro niegodzien jestem pierwszej, czy tem samem zasługuję na drugą? Postaraj się być sprawiedliwa,

moja kochana Aniu. Albo nawet — dobądź z serduszka chociaż kruszynę życzliwości. Czy to tak trudno powiedzieć sobie z dobrocią: „Ten chłopiec najwidoczniej oszalał, ale zrobił to z mego powodu... A poza tem jest wcale sympatyczny, wcale do rzeczy i nawet ujdzie, jako towarzysz krótkich letnich wywczasów, zanim go nie capną do wojska...”

Była w tych słowach tak serdecznie komiczna nuta, że nie mogła wstrzymać uśmiechu. Dojrzał go mimo ciemności, czy też wyczuł jedynie, dość, że chwycił jej rękę i wycisnął na niej „siarczasty” pocałunek.

Przymierze zatem zostało ostatecznie zawarte i przypieczętowane.

— Musi już być strasznie późna godzina! — szepnęła Ania. Gdyby nas teraz kto zobaczył...

— Niema obawy. Cały dom śpi oddawna, chociaż napewno ledwie dochodzi północ.

W tej samej chwili z poza drzew błysnęło wątle światelko. Ania drgnęła i odruchowo chwyciła Karola za ramię.

— Nie bój się — szepnął. — To w pokoju dziadków jeszcze się pali. Może odmawiają swoje nieskończone pacierze? Chcesz? Przejdziemy cicho tamtędy. Przekonasz się...

Skinęła głową, bo stali już tak blisko, że można było usłyszeć z domu nawet przyciszoną rozmowę.

Skradającym się krokiem dotarli do ścieżki przed domem. Jak dwaj spiskowcy przemykali się pod ścianami ku oknu, z którego płynął słaby odblask błękitnej lampki. Karol, idący na przędzie, zatrzymał się i położył palec na ustach:

Słowik właśnie przerwał swe trele, natomiast z okna dziadków, poprzez otwarty lufcik, dolatywał wyraźnie ściszony śpiew. Dwa starcze, drżące głosy, kobiecy i męski, nuciły unisono:

*„Wszystkie nasze dzienne sprawy  
Przyjm litośnie, Boże prawy“...*

Stali przez chwilę nieruchomo, przysłuchując się znanej melodji. Potem ruszyli znowu wzdłuż ściany, jeszcze ciszej, jeszcze ostrożniej stawiając każdy krok. Przed oknem Ani rozstali się bez słowa, podawszy sobie ręce.

Księżyc już zaszedł, było bardzo ciemno i tak cicho, że suchy żwir trzeszczał wyraźnie pod stopami Karola. Ania z bijącym sercem wślizgnęła się do swego pokoju. Stała jeszcze dobrą chwilę przy oknie, nasłuchując. Ale słowiczy śpiew umilkł, było cicho, zupełnie cicho, tylko gdzieś z bardzo daleka dolatywało szczekanie wioskowych psów.

Dziewczyna wychyliła się, aby raz jeszcze spojrzeć naokół. Właśnie w tej samej chwili błękitne światelko zgasło: staruszkowie zakończyli snąć długie swoje pacierze.

Zwolna, w obawie, aby nie zaskrzypiało, Ania przymknęła okno. Potem cichymi krokami podeszła w stronę łóżka i jęła się rozbierać, nie zapalając świecy. Poomacku kładła rzeczy na krzesło, rozczesala warkocze, umyla rozpaloną, jak w gorączce, twarz.

W głowie jej huczało od wrażeń, od różnych sprzecznych uczuć. Nie chciała myśleć o Karolu i całej tej niemądrej eskapadzie, a nie mogła o tem nie myśleć. Czyniła sobie nawet wyrzuty: tak, to jej wina. POCO było wyskakiwać przez okno? Sama wywołała tę dziwną, niepotrzebną scenę. — Tak, naturalnie, zupełnie niepotrzebną! Teraz tylko będzie z tem kłopot...

Uśmiechnęła się jednak, by znów za chwilę pomyśleć prawie z gniewem:

— I w dodatku ten głupi Karol...

Otóż to! Żeby tylko nie wyobrażał sobie, że ona mu pozwoli w przyszłości na podobne wybryki! Teraz będzie inaczej: koniec ze spacerami we dwoje. Tak! Koniec z konną jazdą, z krokietem, z...

E, czemu znowu z krokietem, lub konną jazdą? Ostatecznie, jeśli tak nagle zmienia swoje zwyczaje, mogłoby to zwrócić uwagę! I przytem, naturalnie, trochę żal... Niema co! Trzeba przyznać, że niezły z niego chłopiec. Czasem nieznośny, ale miły... Głupstwa plecie, bo plecie, ale jaki on zawsze wesoly!

„Tak, wcale sympatyczny, wcale do rzeczy i nawet ujdzie, jako towarzysz letnich wywczasów“... — i nagle przypomniała sobie, że te słowa mówił sam Karol.

— Rzeczywiście... oszalał! — pomyślała, otulając się kołdrą. — Ja miałabym za niego wyjść zamąż! Za niego! Także pomysł! Doprawdy, zupełnie dziki pomysł...

Słowik znów śpiewał, powietrze bardzo słodko pachniało. Oczy Ani kleiły się powoli do snu. W ostatnim błysku gasnącej świadomości zabrzmiały jej znowu cichutkie, drżące głosy dziadków:

*„Wszystkie nasze dzienne sprawy“...*

---





ROZDZIAŁ II.  
CIENIE OD SERC.



Panna Teresa miewała swoje „napady“. Nie można było nazwać tego chorobą, choć w takich okresach traciła humor, apetyt i chęć do ruchu. Zamykała się w swojej kliteczce na strychu, zatarasowywała drzwi, nie odpowiadała na zapytania domowników. Potrawy, zanoszone przez Nastkę, powracały nietknięte. Czasem, bardzo rzadko, przemykała się bocznymi drzwiami do oficyny, by sobie w kuchni zagotować szklankę herbaty.

Trwało to kilka dni zazwyczaj, a zdarzało się dwa, trzy razy do roku. Przechodziło — jak przyszło: zupełnie nieoczekiwanie. Któregoś ranka panna Teresa pojawiała się znowu o normalnej godzinie, to jest o świcie, w oborze i ze swego posterunku przy cebrach kontrolowała dojarki. Pilnowała później cedzenia mleka, zamykała śmietanę w piwnicy magazynku i szła przygotowywać kawę dla „pani starszej“, boć przecie wiadomą było rzeczą, że nikt nie umiał dopilnować tak akuratnie, by kozuszek na śmietance był w sam raz: ani za cienki, ani za twardy.

Cicha i małomówna jak zawsze, zasiadała później nad stosem podartych skarpetek, nad bielizną i ubraniem całej „męskiej“ połowy domu.

Wyblakłe, niegdyś może i bardzo piękne oczy wypatrywały każdą najmniejszą dziurkę, każdy naderwany guziczek, czy pękający szew.

Przemykała się, jak cień, po pokojach. Wszędzie jej było pełno, a nikomu nie zawadzała. Kroki miała prawie tak ciche, jak głos, a głosu całymi tygodniami nikt nie słyszał, chyba się specjalnie do niej zwrócono z uwagą, lub zapytaniem. Wtedy odpowiada grzecznie, prawie pokornie, z oczyma spuszczone, jakby badając, czy cienie jej własnych słów nie giną w szczelinach podłogi.

Postać miała drobną, zasuszoną, jak mumja. Nie chorowała nigdy w normalnem znaczeniu tego słowa. Nie używała lekarstw, gardziła doktorami. Nikt nie słyszał, by się kiedykolwiek skarżyła na jakieś niedomaganie fizyczne, choćby nawet ból głowy. Tylko ot, czasem, znienacka *naszło* coś na nią i wtedy trwała w odosobnieniu, dopóki nie minęło.

Wszyscy w domu przyzwyczajeni byli do tych dziwactw, powtarzających się, niby ataki febry, w pewnych okresach roku. Gdy jakiegoś wieczoru Malwina, albo Handzia wręczała „pani starszej“ klucze od magazynku, obwieszczać, że panna Teresa jutro do doju nie pójdzie, — babcia Andzia konstatowała bez zdziwienia:

— Na Teresę znowu „napadło“.

I jakgdyby to oświadczenie wyjaśniało sam

fakt, że „na Teresę znowu napadło“ — każdy zajmował się własnymi sprawami, nie zaprzatając sobie myśli cichutką lokatorką poddasza.

Kłoby zaś miał ochotę, mógł podniósłszy głowę, zobaczyć pannę Teresę siedzącą nieruchomo przy oknie. Twarz miała bladejszą niż zazwyczaj, wprost woskową — i głowę obwiązaną białą, wełnianą chusteczką. Pracowite, drobne jej ręce leżały na kolanach bezczynnie, usta były kurczowo zaciśnięte, jakby w obawie, aby się z nich znieścacka nie wydarł jęk — to znów poruszały się zwolna w szepcie bezgłośnym. Oczy miała utkwione w jakiś ledwo widoczny punkt, ciemniejący na linii horyzontu.

Ten drobny punkcik, była to wieżyczka dzwonnicy parafjalnego kościoła. Dzwonnica stała na uboczu, pod samym murem, w otoczeniu starego cmentarza, wśród mogił dawno w ziemię zapadłych i ciemnych, zmurszałych krzyżyków.

O czym mogła rozmyślać panna Teresa, gdy na nią, jak mówiono „napadło“? Jedna może Ania mogłaby dociec tajemnicy, wtargnąć w zaczarowany krąg milczenia starowinki. Była przecież ulubienicą, jej oczkiem w głowie. Jako mała dziewczynka jeszcze, nieraz beztróskim szczebiotem i śmiechem pustym zrywała srebrne nici rozmyślań, biegnących od minionej dawno przeszłości — z wspomnienia ku wspomnieniu — nikłych,

jak pajęczyny, rozpięte na głogach krwawych i ciernistych.

Jedna tylko Ania miała zawsze, o każdej godzinie, prawo wstępu do tej pustelni, gdzie pod niskim dachem, pod gmatwaniną belek i krokwi żyło w pół-odrętwieniu jedno samotne, zamknięte w ciasnej klateczce, niepotrzebnie czujące serce ludzkie.

Mała Ania wbiegała na górę w dzikich susach, przeskakując naraz po kilka stopni schodów. Zapelniała świegotaniem beztroskiem, dziecięcą paplaniną całe poddasze, — wywołując na ustach „panny Tereski“ rzadkie zjawisko: prawdziwy, jasny uśmiech.

„Panna Anna“ zachowywała się poważniej, atoli głos jej po dawnemu wibrował wszystkimi odcieniami wesołości, a spojrzenia biegały jak jaskółki, sprawnie i zwinnie, tam i sam, po wyleniałych fotelikach, po lśniących kantach staroświeckiej komody, po zblakłych kilimach na ścianie i po pergaminowej twarzy o dziwnie regularnych rysach.

Pannie Annie, jak ongi małej Ani, wolno było znienacka przytulić się do wątlých ramion, cmoknąć w powietrzu, nad uchem, zszarzały kosmyk włosów, pogłaskać zapadnięty policzek. Niejedną godzinę zmierzchu, podczas dorywczych wizyt w domu dziadków, między pierwszym i drugim półroczem szkolnem, dziewczynka przesiedziała

w cichej zadumie u stóp tej dobrej wróżki, która wszystko wiedziała, wszystkiego była świadkiem i zawsze miała na dnie pamięci jakieś zupełnie nowe, świeże, niezetłale wspomnienie.

Dobrze było po całodziennym bieganinie przycupnąć w rogu rozklekotanej kanapki, śledzić, jak błyskawicznie migoce igła w suchych palcach i trwać tak nieruchomo, w zamyśleniu półsennem, aż wreszcie, oderwana od życia, od tematu poprzedniej rozmowy, na usta wybiegała niezmienna prośba:

— Niech mi panna Tereska jeszcze coś powie o mamusi...

— Cóż mam Ani powiedzieć? — mówiła panna Teresa swoim cichym, zgaszonym głosem. — Więcej to nie pamiętam, a są też takie rzeczy, których się dzieciom nie mówi.

— No, to inne. Te, co się mówi! Jeszcze o tem, jak mamusia była małą dziewczynką! Jeszcze, jak wyglądała wtedy...

— Wyglądała, niczem obrazek. Takie miała włoski, jak Ania. Trochę może jaśniejsze. A żywa była — niczem iskra! Jeszcze pan Ksawery nieboszczyk, babuni brat, a dziadek Ani, mówił, że z takim dzieckiem może być w przyszłości strapienie.

Tu zaciskały się wargi panny Teresy, bo chciała dodać: „no i było“.

Ale myśli Ani już biegły w dalsze kręgi, czy-

niły zestawienia, dociekały do sedna rzeczy, do bolesnej, niezrozumiałej tajemnicy:

— Dlaczego mama pisze listy, a nigdy sama nie przyjedzie tu do nas?

— Bo mieszka daleko, zagranicą.

— To i dziadzio był zagranicą i babcia. Z zagranicy można przecież przyjechać. A mamusia tylko wciąż w listach wypytuje, czy jestem zdrowa, czy wyrosłam... A jak babcia dostanie list, to zaraz chowa i nawet nie przeczyta nikomu. Tylko dziadzio czasem, jak chodzimy razem po ogrodzie, powiada: „twoja mama pytała, czy jesteś grzeczna i czy dobrze się uczysz“. A raz dziadzio mówił do babci, słyszałam z drugiego pokoju: „Zawsze to przecież matka, chociaż ona jej prawie nie pamięta“.

„Lepiej niech nie pamięta“ — rzekła babcia — i nie wiem, panno Terosko, ale mi się wciąż zdaje, że oni wtedy o mnie mówili...

Panna Teresa odwróciła twarz w stronę okna,— igła przestała migotać i zaszeleściły zakłopotane, trochę wstydlive słowa:

— Nie trzeba sobie głowy zaprzętać, co starsi mówią. Starsi wiedzą dużo rzeczy, których Ania nie mogłaby zrozumieć.

Zrozumiała niebawem. W dwunastoletniej głowinie rozjaśniło się nagle; wiele mglistych przeczuć okazało się bolesną rzeczywistością. Od usłyszanej prawdy stało się w duszy pusto i chło-



dno, jakby gwałtowny wichur zmiotł za jednym zamachem wszystkie nadzieje i całą dotychczasową, beztruską radość istnienia.

Było to w klasztorze, gdzie Ania uczyła się nie tylko z książek, ale i z pogawędek koleżeńskich, z tych rozmów szeptanych w mroku sy-pialni, w zaciszu korytarza, w kącie ogrodu. Jedna z koleżanek obwieściła jej kiedyś:

— Tobie nic w domu nie mówią, a ja wiem: twoja mama uciekła od twojego tatusia z jednym panem.

Cała krew zbiegła wówczas z Aninej twarzy. Czula, że trzeba natychmiast coś odpowiedzieć, wynaleźć jakąś niezmiernie ważną przyczynę, jakąś głębszą konieczność, chociażby wyklamana, choćby niewiarogodną.

Koleżanka mówiła dalej z wielką pewnością w głosie:

— Wszyscy o tem wiedzą. Uciekła zagranicę, kiedy byłaś jeszcze małym dzieckiem. Ale czy ty naprawdę nic o tem nie wiedziałaś?

— Wiem wszystko — rzekła Ania, marszcząc brwi, aby dodać powagi tym słowom — Mamusia napisała mi długi list, dlaczego to zrobiła.

— Moja mamusia — ciągnęła nielitościwie koleżanka — rozmawiała kiedyś z cicią: „Jak można tak zostawić dziecko, nie mówiąc już o mężu...” Moja mamusia nigdy nie zrobiłaby tego,

choćby się zakochała w nie wiem kim... albo by mnie zabrała ze sobą.

— Moja mamusia nie mogła mię zabrać — odparła Ania, tłumiąc łzy gniewu i żalu. — Nie mogła mię wziąć, bo ktoby pocieszył tatusia i babunię i dziadzia...

Ale tej samej wiosny, gdy w Kątach wszystkie drzewa okryte były lśnięciami, brunatnymi pąkami, w powietrzu pachniały fiołki, a na leszczynach zwisały złociste bazie, — Ania miała wiele do pomówienia z panną Teresą. Przywitawszy się ze wszystkimi, wręczywszy dziaduniowi cenzurę i list od Matki Przełożonej, — zamiast zajrzeć coprędzej do stajni, do obory, do śpichrza — poszła wprost na poddasze.

Było to właśnie w okresie, gdy na pannę Teresę „napadło“. Ania musiała długo stukać i krzyczeć z całych sił: „panno Teresko, to przecież ja!“ — zanim wreszcie dał się słyszeć odgłos kroków, potem szmer przy barykadzie z krzesel i wreszcie — przekręcono klucz w zamku.

Ania bardzo przez tę zimę wyrosła, sięgała panie Teresie prawie do czoła. Nie potrzebując stać na palcach, całowała pergaminowo-żółte policzki, obejmowała ramionami wyschłą szyję swojej najlepszej powiernicy i szeptała jej w samo ucho ze wzruszeniem:

— Musi mi panna Tereska powiedzieć jedną rzecz. Ale koniecznie, zaraz!

Pociągnęła oszołomioną rezydentkę ku wyświechtanej kanapce, usadowiła ją możliwie wygodnie na popsutych sprężynach, sama przycupnęła w „swoim“ kąciку i wtedy wyrecytowała jednym tchem pytanie, tłumione w obolałym serduszku przez tyle długich miesięcy:

— Czy to prawda, że moja mamusia uciekła z jednym śpiewakiem?

Panna Teresa patrzyła na nią wyblakłemi oczyma, przerażona. Cienkie usta, od kilku dni szepczące tylko słowa modlitwy za umarłych, wyjąkały z trudem:

— Kto Ani nagadał tych głupstw?

— To nie głupstwa. Wszyscy to przecież wiedzą... I dziadzio i babunia. Tylko dlaczego mnie nic nie powiedzieli? Przecież mamusia nie mogła wziąć mię z sobą, prawda, panno Teresko? Mamusia napewno martwiła się tem bardzo... I tęskniła za mną, może płakała? Ale cóż, widać nie mogła zrobić inaczej...

— Bóg z nią — poruszały się wargi Teresy prawie bez głosu. — Widać nie mogła inaczej... Niech mi już Ania da spokój, moja Aniu! Gdyby tak starsi państwo słyszeli, o co mię Ania rozpytuje!

Dziewczynka wzruszyła ramionami:

— Nie słyszą. A ja i tak nie od nich wiem i nie od panny Teresy.

— Ot, właśnie cała bieda, że obcy ludzie nakładli w Ani głowę bredni. Bo napewno kłam-

stwa mówili. Same kłamstwa. O, ludzie takie rzeczy potrafią!... Jeden źle robi, a drugi jeszcze gorzej naopowiada... Ot, bieda...

— Ale to nie kłamstwo, że mamusia pojechała z tym panem... I że wyszła za niego zamąż?

— Wyszła, duszeczko. Jak owdowiała, to wyszła. Bóg ich wie, tych cudzoziemców, jaki tam u nich obyczaj. Pobrali się w Rzymie, to pewnie katolicki ślub wzięli. Tam przecie mieszka sam papież!

Panna Teresa mogła jeszcze niejedną ciekawą rzecz wiedzieć. Ale zacięła się. Nic nie może Ani wyjaśnić. Nic a nic. Jak chce, niech sobie idzie z pytaniami do dziadzi, albo do babci. Oni lepiej wytłumaczą, jak będą uważali, że trzeba. Ich bratanica przecie, Ani matka. Pana Ksawerego rodzone dziecko, jedynaczka. Oni panu Gołębiowskiemu przysięgli, jak umierał, że wychowają Anię, niby wnuczkę rodzoną.

I tyle. A potem mówiła już o Kątach. Że Kąty nietylko panów Boreyszów — Anine przecie też. Wielkie Kąty — to co innego. Ale Stare Kąty starsza pani wniosła mężowi w posagu. A pan Ksawery swoją część na imię Ani zapisał. Nie córce, tylko Ani. Ot, prawdę mówiąc, sprawiedliwie postąpił. Na co tamtej, naprzykład, Kąty? Zagranicą siedzi, pieniędzy mają wbród, bo taki sławny śpiewak dużo pewno zarabia.

To już nie obchodziło Ani. Wszystko jedno,

czy Kąty Stare i Wielkie będą kiedyś całe młodych Boreyszów, czy trochę także jej. Ona Kątów nie potrzebuje. Ona potrzebuje mamusi. Chciałaby słyszeć o niej; dużo, dużo o niej rozmawiać...

Ale z kim? Do babci by nie poszła za nic. Babcia Andzia nie lubi, żeby ją męczyć pytaniami. Zaraz brwi groźnie zmarszczy i spyta: „A to co znowu? Jak dorośniesz, to ci nikt nie zabroni. Będiesz nawet mogła odwiedzać mamę. A tymczasem ucz się i nabieraj rozumu“.

Już prędzej z dziadziem... Ale dziadzio to tylko może, na co mu babcia pozwoli. Chłopcy przecież wiecznie kpinkują, że dziadzio pod pantoflem siedzi blisko pół wieku...

Więc nadal, każdych wakacji, Ania męczyła biedną pannę Tarezę. Prośbami, pieśczętami wypraszała słówko po słówku. Kojarzyła potem w myślach drobniutkie wydarzenia, łączyła je, przymierzała jedno do drugich — jak klocki w lamigłówce. Brakujące w łańcuchu tej historii ogniwa zastępowała własnymi domysłami. Więc tak: mamusia poznała tego tenora w Warszawie, na jakimś wielkim raucie. I odrazu zakochała się w nim „do nieprzytomności“ (według określenia Teresy). Nie mogła prosić męża, żeby jej pozwolił odjechać. Tatuś by przecież zabronił. Więc wyjechała ukradkiem, a ten pan czekał na granicy z wyrobionym dla niej na cudze imię paszportem.

Ania wiedziała, że ludzie to nazywali wielkim skandalem. I tatuś miał (znów wedle zeznań Teresy) życie złamane. Pewnie dlatego wkrótce umarł? Bo czyż można żyć długo z życiem złamanem?

Ale w dalszych dziejach mamusi były już wielkie luki. Kilkomiesięczne, czasem jeszcze dłuższe okresy, o których Ania wiedziała tylko tyle, że „mamusia znów pojechała do innej części świata“...

Pozostawały listy. Listy z różnych dalekich miast: z Paryża, z Medjolanu, z Madrytu... Ilekroć nadeszła długa, wąska koperta, zwykle blade liljowa i zwykle pachnąca bardzo pięknymi perfumami, babcia Andzia zabierała ją czempredzej do swego pokoju. Potem ktoś przy stole rzucił zniecierpliwione pytanie:

— Cóż pisała Aneta?

Babcia mówiła krótko, ogólnikowo:

— Bawią w Szwajcarji. Wrócili z Wiednia. Są w Rzymie.

Potem (najczęściej czynił to dziadzio) zawiadamiano Anię:

— Twoja mama przesyła ci uściski. Przechodziła influenżę. Pyta, czy robisz postępy w naukach.

Czasem dziadzio dodawał nieśmiało, oglądając się, jakby w obawie, że oprócz Ani może usły-

szeć stara lipa, albo klomb złocistej nasturcji, albo piasek na ścieżce:

— Pyta, czy ją pamiętasz?

— Pamiętam, dziadziu.

Tak mówiła za każdym razem, lecz w głębi duszy nie była tego pewna. Pamiętała dwie czy trzy fotografie, pamiętała opowiadania Teresy, pamiętała kształt liter na wąskich, długich koperkach. To było wszystko, co pozostało z matki.

Dziadzio zabierał czasem Anię na wspólną przechadzkę po sadzie. Objaśniał, jak poznawać różne gatunki owoców. Wymieniał nazwy jabłek, śliwek, grusz:

— To jest Królowa Renet. Będziesz pamiętać? A to Bera Świętomichalska. A ta wielka, stara grusza nazywa się Sapieżanka. Bardzo już jest wiekowa, prawie nie rodzi owocu i trzeba ją wyciąć, bo tylko zacięcia dużą przestrzeń... Ale niech sobie jeszcze trochę pożyje, prawda, Aniu?

A potem nagle brał dziewczynkę pod brodę, patrzył jej w oczy długo, serdecznie i mówił najnie spodziewanej naprzykład tak:

— Jesteś bardzo podobna do swojej mamusi, Aniu. Jak była w twoim wieku, naturalnie.

Albo:

— Pamiętaj nigdy nie słuchać, gdy ludzie o kim źle mówią. Każdy człowiek sam odpowiada za swoje czyny, a nie jest ludzką rzeczą sądzić, tylko Boską.

Albo jeszcze i to:

— Twój tatuś, umierając wyraził wolę, abys do dnia pełnoletności zostawała pod naszą, babci i moją, opieką. O ile Pan Bóg pozwoli nam doczekać. Ale gdy skończysz dwadzieścia jeden lat, będziesz mogła zrobić, co zechcesz. Naturalnie, jeżeli zechcesz rzeczy godziwych, Aniu.

To, co mówił dziadzio, było z pewnością dobre, ale często niejasne. Ania musiała dalej sama czynić wywiady, by z nich wysnuwać wnioski. Nie odznaczała się nigdy cierpliwością. To, że życie jej matki otoczone jest jakby tajemnicą, znaną przez wszystkich, a tylko dla niej niedostępną — drażniło i bolało dziewczynkę czasem nawet bardziej, niż przypuszczenie, że matka popełniła coś złego — jakiś fałszywy krok — i że skutki tego postępuku nawet jej, Ani, dają się tak dotkliwie odczuwać.

— Moja biedna sieroto! — rzekła kiedyś do niej panna Teresa w przystępie rozczenia.

Anię oburzyło to miano. Nie była przecież ani biedną, ani sierotą. Miała dziadzia, babunię, a przede wszystkim — matkę. Tylko niestety, jakże daleką, nieznaną, prawie obcą...

Jednak nawet do tej dalekiej, kędyś na wielkim świecie zagubionej mamusi wyrywało się jej gorące serduszko. Z jakim dziwnym wzruszeniem brała do ręki list, dla niej przeznaczony! Zanim zdecydowała się rozerwać kopertę, obracała ją



w rękach, pieściła, przyglądała się markom nieznanym, pieczętkom obcych krajów, szukając jakiegoś śladu — choćby drobnego odcisku drogich palców, które adresowały i może same niosły do skrzynki piękne pismo matczyne.

„Mademoiselle Ania Gołębiowska“ — błękitniał równiutki rząd liter. Czasem brzmiał śpiewnie jak muzyka: „Alla Signorina“... A na odwrocie widniały firmy pierwszorzędných hoteli i nazwy miast, które dla Ani były szeregiem rozsianych po mapie Europy kółeczek, bardzo nieraz trudnych do spamiętania. Kilka razy powtórzyło się też słowo „Albergo“; Ania doszła do wniosku, że to musi być nazwisko tenora. Przy pierwszej sposobności, podczas przechadzki z dziadziem, zagadnęła znienacka:

- Czy on naprawdę ma taki piękny głos?
- Kto, duszko?
- Ten pan *Albergo*, dziadziu. Mąż mamusi.

Długo, może całą minutę patrzył na wnuczkę szeroko otwartymi, okrągłymi oczami, a wreszcie zaczął się śmiać. Ani było z tego powodu niezmiernie przykro. Musiała palnąć jakieś głupstwo. Ale dziadzio przestał się śmiać i rzekł, biorąc ją swoim zwyczajem pod brodę:

— Albergo, duszko, znaczy po włosku: hotel. Skąd ci przyszło do głowy, że twój ojczym... tak, mąż twojej mamusi nazywa się *Albergo*?

— Bo na kopercie było: Genova, Albergo... już dalej nie pamiętam... Myślałam, że to imię...

— Ugo Bertini, Aniu, jest znakomitym śpiewakiem, znanym na całym świecie, jak u nas, na przykład — Dygas. Występuje w różnych operach, które kiedyś usłyszysz. Dlatego mamusia wciąż podróżuje, a mieszka zwykle w hotelach.

— I mamusia nie ma wcale swojego domu?

— Właściwie — nie. Wędruje z miejsca na miejsce, z kraju do kraju. Teraz na przykład jest w Medjolanie.

Dziadzio rozgadał się. Opowiedział za jednym zamachem więcej, niż Teresa i wszyscy inni razem wzięci. O podróżach mamusi Teresa nic prawie nie słyszała. „Zagranica“ przedstawiała się jej, jak duże miasto, gdzie mówią obcym językiem i dokąd trzeba mieć paszport, bo inaczej nie puszczą.

Opowiadanie dziadzi było powodem do nowych, zdumiewających odkryć. Więc mamusia nie ma własnego domu? Wędruje z miejsca na miejsce! Zawsze, zawsze! Dotychczas Ania знаła tylko jeden gatunek ludzi bezdomnych: byli to cyganie, którzy od wczesnej wiosny zaczynali zawiedzać Kąty. Zawsze wzbudzali w niej litość. I oto jej mamusia także wędruje po świecie: z hotelu do hotelu, z miasta do miasta...

Owego dnia panna Teresa musiała wytrzymać istny szturm najdziwaczniejszych pytań:

— Czy znakomici śpiewacy także podróżują na wozach, przykrytych budą z płótna? Czy nocują czasami w lesie? Czy mamusia jest taka opalona, jak naprzykład Naścia albo Malwina?

— Ani się całkiem w głowie pomieszało od tego rozmyślenia — zaopinjowała wreszcie staruszka, niemal zgorszona. — Czy to mamusia cyganka, żeby jeździła wozem? Ona podróżuje takimi pociągami, gdzie są wagony sypialne. Rozumie Ania teraz? A najlepiej, żeby się Ania pilnie uczyła. Z książek człowiek wszystkiego się dowie, co jest na świecie. Jak się Ania książek naczyta, to może wkońcu zmądrzeje.

To było powiedziane ustami panny Teresy, na poddaszu starego domu. W pokoju dziadków tego samego wieczora długo paliło się światło. Staruszkowie rozmawiali o Ani.

— Dziecko rośnie — mówił dziadzio, powtórzwszy żonie historję o „Albergo“ — rozwija się, zaczyna samodzielnie myśleć. Wolałbym, żeby ze swemi wåtpliwościami zwracała się do nas, a nie do obcych ludzi. Bo w końcu nasłucha się plotek, krążących o Anetce. Nie można lekceważyć ciekawości dziecinnej, Andziu. Nie można także dopuścić, aby Ania straciła miłość i szacunek dla matki. To przecież najstraszniejsza rzecz...

— Opuścić męża i córkę! — odparła babunia ze zgrozą. — Nie mogę jej tego zapomnieć i chyba nigdy nie przebaczę.

Dziadzio milczał; przechadzał się wzdłuż i wpoprzek pokoju, raz wraz zerkając to na drzwi, to na surowy profil swojej staruszki, zarysowany wyraźnie w błękitnym świetle lampki. Długo tak krążył, dreptał z miejsca na miejsce, zatrzymywał się przed kłęcznikiem, szukał czegoś na stole. Wreszcie odezwał się półgłosem:

— Czasby już rozpocząć wieczorny pacierz.

Skinęła głową i odłożyła druty. Uklękli, każde na zwykłym swoim miejscu. Popłynęły codzienne modlitwy, jedna za drugą, w porządku uświęconym. Po „Ojczenasz“, „Zdrowaś“ i „Wierzę w Boga“ — litanja do Serca Jezusowego, po litanji modlitwa św. Bernarda i tak dalej i dalej, blisko godzinę.

Potem staruszek sięgnął po leżącą na pulpicie książeczkę. Szukał w niej czegoś, długo przewracał kartki i wreszcie zaczął czytać z głębokiem namaszczeniem:

— *...Ale Jezus, schyliwszy się nisko<sup>1)</sup>, pisał palcem po ziemi. Gdy zaś nie przestawali stawiać mu pytań, podniósł się i rzekł do nich: Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy na nią rzuci kamieniem.*

— Czy to Ewangelja na dzień dzisiejszy? — spytała babcia, gdy przerwał, aby głębiej odechnąć. Ale on, nie odpowiadając, czytał dalej:

---

<sup>1)</sup> Ew. św. Jana VIII, 5.

— ...i został sam Jezus i niewiasta, stojąca w środku. Jezus tedy podniósł się i rzekł do niej: Niewiasto, gdzieś są ci, co cię oskarżali? Nikt cię nie zasądził? A ona odpowiedziała: Nikt, Panie. Ani ja — odrzekł Jezus — nie zasądzę cię; idź, ale już nigdy nie grzesz“.

Złożył książkę, przeżegnał się raz jeszcze, z trudem wstał z klęczek. Babcia pokiwała głową i szepnęła, grożąc mu palcem:

— Oj, Bartoszu, Bartoszu, ty zawsze masz sposoby! Już tylko nie myśl, że ja nie rozumiem o co ci chodzi!

— Mnie, Andziu? Wierzaj mi, duszko...

Babcia przerwała tonem gderliwym:

— Aneta bliższa mi jest, niż tobie. Rodzona bratanica przecież... A taki nie mogę myśleć o niej spokojnie i zawsze powtarzać będę, że skrzywdziła siebie i nas i Bogu ducha winną tę małą...

— Kto wie — dziadzio westchnął cichutko — może ona już dziś gorzko tego żałuje? Może jest nieszczęśliwa, Andziu? Może już tu na ziemi Bóg jej zesłał pokutę... Nie sądźmy jej surowo. Skoro sam nasz Zbawiciel wobec cudzołożnicy nie chciał być sędzią... Myślmy raczej, jakby Anię uchronić od podobnego czynu. Módlmy się dla niej o dobrą, spokojną przyszłość. Taka się robi do Anety podobna, że czasem...

Ania zaś rosła i doroślała. Mimo przelotnych

chmurek i krótkotrwałych burz, wszystko było w tej dziewczynie radością i weselem. Chłonęła dary życia, rozkwitała jak łąka tysiącznemi barwami. W tę pierwszą wiosnę ośmnastu jej lat, każda nawet wada stawała się jednym więcej urokiem.

Tak przynajmniej byłby powiedział Karol, gdyby go zapytano zniechęta, jaka jest Ania.

Jaka właściwie jest Ania?

A może właśnie dlatego, że była słodka i porywczą, uległa i przekorna, uśmiechnięta naprzemian i nadąsana — widział w niej swoją ubóstwianą kobietę, żywy obraz najśmielszych marzeń o kochance i żonie, matce i przyjaciółce — towarzyszcze najlepszej, najdroższej i najśliczniejszej.

Ale gdy tak przyglądali się sobie badawczo i krytycznie, Ania myślała o Karolu: „Co za głupi zarozumialec z niego! a w dodatku trzpiot...“ zaś Karol nieraz zadawał sobie pytanie:

— Czy ja aby naprawdę tak bardzo kocham się w tej dzierlatce?

Najpobłaźliwiej, poza dziadkiem, bywał usposobiony księżyc. W ciepłe, ciche wieczory coraz krągłym obliczem patrzył na świat, coraz niższe łuki zataczał na niebie, coraz jaśniejsze rzucał blaski, a szperając wśród krzewów i gałęzi w szpalerach ogrodowych, myślał z zadowoleniem:

— Wszystko widzę, wszędzie dotrę, wszystko posrebrzę. Najżywsze kolory pozbawię barwy spojrzeniem, a gdziekolwiek spotkam źdźbło trawy, kamień przydrożny, lub żywą, ludzką istotę— rzućę za niemi cień, chociaż nie jestem tak potężny, jak słońce, które mnie samego oświeca.

---





ROZDZIAŁ III.  
SŁOŃCE I POGODA.



Czasem zdarzył się taki „feralny“ dzień w Kątach, że istoty daleko stateczniejsze od Ani mogłyby się pokładać ze śmiechu. Weźmy, żeby długo nie szukać, — pierwszy z brzegu powszedni dzień, poniedziałek.

Otóż w ów poniedziałek z samego rana pojawił się przed gankiem „namiestnik“ Zaworonek w towarzystwie jakiegoś obdartusa. Kilkunastoletni wyrostek „ciągał“ nosem i wybałuszał głupie, zastrachane niebieskie oczy, a Zaworonek krzyczał tak głośno, że aż mu żyły nabrzmiwały na skroniach:

— Będiesz ty mi łakę spasał nocami, hultaju! Poczekaj! Już ja ci teraz nie popuszczę! Do kancelarji pójdziesz, zapłacisz, a dziękuj Bogu, jak ci pan Józef kijem reszty nie wyda!

— Dajcie *karowy* <sup>1)</sup>, — prosił tamten — dajcie *karowy* do domu *zahnaci* <sup>2)</sup> a *daliboh* więcej nie będę! Niech mię najgorsze spotka, jak to prawda, że ja kiedy przedtem na dworskiej łące pasał! *Daliboh* pierwszy raz... Oddajcie krowy, panie...

— Oddam, nie bój się! — ryczał Zaworonek —

---

<sup>1)</sup> krowy, <sup>2)</sup> zagnać

tylko rubla do kancelarji przyniesiesz, zaraz mo-  
żesz krowy zabierać! Postanowienie teraz takie  
jest u panów, żeby zajmować bydło w szkodzie.  
Wy by zawsze na cudzem paśli!

— Inne paśli, nie ja...

— A za kark kogo ja złapał? Może nie ciebie?

Rozmowa była tak donośna, że mimo wczesnej  
godziny, w oknie ukazał się „pan starszy“.

— A co tam, Zaworonek, nowego?

— Et, jaśnie panie, — odparł namiestnik, co-  
kolwiek mitygując głos — cztery krowy zajął ja  
w szkodzie o świtaniu. Teraz przyszedł Dzietczyka  
pastuch ich zabrać, ale rubla nie przyniósł.

— Czekajcie, Zaworonek, zaraz tam przyjdę.

Ekonom nie wydawał się zachwycony takim  
obrotem sprawy. Poskrobał się najpierw w głowę,  
potem szturchnął chłopaka w bok i mruknął  
ostrzegawczo:

— Już ty nie próbuj starszego pana prosić,  
żeby darował. Wszystko jedno, karę zapłacisz,  
a nie — to wracaj do chałupy. My tu ich połu-  
dniem podoim, nie bój się...

Właśnie też dziadzio stanął we drzwiach. Miał  
na sobie wielbłądzą pelerynkę, bo było jeszcze  
chłodnawo — i pantofle ranne na nogach.

— Niech będzie pochwalony! — ozwał się chło-  
pak i zaraz rzucił się całować pańskie ręce.

— Na wieki wieków, moje dziecko. A ty kto  
jesteś, co? Dzietczyka syn? Franciszka?

— Ja sierota, panoczku — jęknął dryblas i zaczął nosem pociągać tak gęsto, że mogło to oznaczać szlochanie.

Zaworonek machnął ręką zdesperowany i zawrócił na pięcie. Wiedział już, że zaraz się rozpocznie egzamin, rodzaj spowiedzi, potem nastąpi krótka nauka moralna i w końcu — odpuszczenie win.

Jakoż dziadzio, wywiedziawszy się najpierw, kto zacz, skąd się w tych stronach znalazł, jak długo u Dzietczyka służy i wiele rocznie pobiera, ozwał się z łagodnym wyrzutem:

— A taki to nieładnie, żeś krowy w szkodę wpędził.

— Pewnie, panoczku, bardzo nieładnie — potwierdził tamten z nadzwyczajnym pośpiechem.

— A widzisz, sam przyznajesz. To ci się chwali. Paść na cudzem, kochanku, toć przecież grzech: bliźniemu szkodę wyrządzasz. Nawet ksiądz w zeszłą niedzielę lajał z ambony tych, co mu owies stratowali. I dlaczegoś ty krowy w szkodę wpędził?

„Dietczyków chłopak“ przestał pociągać nosem i uderzył się w piersi, dla silniejszego poparcia swoich zeznań:

— Daliboh, panoczku, ja tylko na wygonie pasł. Zagapił się, czy co? Krowy na łąkę, prawda,

weszli, ale tylko z samego kraju <sup>1)</sup>... Trawy skubnęli tyle, co nic. A ten zaraz, *chwaroba* <sup>2)</sup> na niego, z za *kusoczka* <sup>3)</sup> wyskoczył i krowy do dwora przygnał.

— Nie przeklinaj, bo to także grzech — wtrącił dziadzio. — Ekonom miał prawo krowy zająć, skoro znalazł je w szkodzie. To nawet jego obowiązek.

— A teraz rubla płacić każe! — zachlipał znowu dryblas, zerkając na staruszkę z pod nastroszonej czupryny. — Inaczej, mówi, krów nie wyda. I skąd ja rubla wezmę? Jeszcze mnie w domu Dzieteczyk zbije... O, biedny ja, sierota! Zawsze ja paść, jak się należy... Nigdy w szkodzie nie przyłapali, żeby ja tak zdrów był... Dziś pierwszy raz... A ten zaraz do kancelarji!

„Starszy pan“ dreptał po ganku niespokojnie. Oto kłopot prawdziwy: chłopiec zawinił, oczywiście. Krowy przecież w szkodzie zajęli. Ale to biedaczyna jakiś... Skąd on weźmie całego rubla?

Po namyśle sięgnął do kieszeni (tak się zawsze zresztą kończyło), wydobył pugilares i długo w nim szperał pomiędzy karteczkami, które się tam zbierały przez lata całe. Wreszcie znalazł żółty, zatłuszczony papierek:

— Słuchajno, kochanku. Zapłacić musisz, to trudno, raz krowy w szkodzie zajęto — twoja wina. Prawo mają, rozumiesz?

---

<sup>1)</sup> brzegu, <sup>2)</sup> choroba, <sup>3)</sup> krzak

— Uhm...

— Ale ty pewno swoich pieniędzy tyle nie masz... Ale że się do winy przyznałeś i przyrzekasz poprawę... Bo ty przyrzekasz, prawda?

— A niechby mi ręce i nogi pokręciło, panoczku...

— Ot, widzisz, masz tu rubla odemnie. Pójdiesz z nim zaraz do kancelarji. Tam ci wydadzą kwit na twoje cztery krowy...

Dryblas rzucił mu się do nóg gestem wysoce dramatycznym. W głupich, a chytrych oczach migotała radość z odniesionego zwycięstwa:

— O, panoczku! Dobrodzieju mój! *Kab wy* w zdrowiu i szczęściu żyli sto lat! Niechby choć oni moje byli, te krowy! Ale nie moje przecież — Dzietczyka! Ot ja, biedny sierota, tyle mam, co na sobie... Na kawałek czarnego chleba ledwie zarobię... Ekonom dał po karku, żeby mu dech zaparło... Kości wszystkie bolą...

— Nie wyzywaj, kochanku, to nieładnie...

— Pewnie, panoczku, nieładnie. Żeby wam Bóg nagrodził we wszystkim... On mię, cholera, kijem przez plecy raz, a gospodarz jeszczeby w chacie poprawił...

W sieniach mignęła zażywna postać klucznicy.

— Pani Kublicka! — zawołał dziadzio — proszę tu na chwileczkę...

Ukazała się w całym rynsztunku, z pasiastym, szerokim fartuchem i pękiem kluczy w ręku.

— Moja pani Kublicka, niechno tu pani miodu garnuszek przyniesie dla tego biedaka i bułeczki ze dwie...

— Bułek jeszcze nie piekli, a stare wczoraj wyszli co do jednej — odparła, wzrokiem pełnym niechęci obrzucając wyrostka, kroczącego zwolna ku oficynie.

— No to jabłek parę.

— Jabłek niema w *ta pora*.

— No to cokolwiek. Gruszek suszonych, czy śliwek. Już niech tam pani Kublicka poszuka trochę w spiżarni — ja proszę.

Nie śmiała oponować. Poszła, ale przez całą drogę mruczała gniewnie pod nosem, wzruszając ramionami. Na końcu korytarza spotkała się twarz w twarz z Karolem.

— Cóż to, pani Kublicka nowennę odmawia? — spytał, rozkrzyżowując ramiona. Miał na sobie ranną „pyjamę“ i ręcznik, przewieszony przez plecy.

— Nowennę? A zdałaby się i nowenna — odkrzyknęła gospodyni, dając folgę swojemu oburzeniu. — Zdałaby się nowenna, żeby wreszcie starszy pan przestał tych drapichrustów opychać łakociami! Przyjdzie taki, ukradnie co, albo szkodę zrobi w polu, a pan Bartosz nietylko mu przebaczy, ale jeszcze cukierka da: cacy-cacy! Zaworonek tam w kancelarji krzyczy, aż strach i pomstuje. Teraz — powiada — cała wioska bę-



dzie pasła na dworskiem, jak za to jeszcze po rublu płacą!

— A pani Kublicka jakim cudem słyszy tutaj, co mówią w kancelarji?

— Ja wszystko słyszę. I jak ktoś pod oknami po nocy się wałęsa, też dobrze wiem, co to za jeden...

— Patrzcie, patrzcie! — roześmiał się. — A nie wie pani czasem, *serdeńko*, co baby w kuchni wyrabiają? Bo od świtu wrzask taki podniosły, że umarłyby się zerwał z pościeli, nietylko ja...

— Et, pan Lolo strasznie delikatny. Klóci się Anulewiczowa z Malwiną, jak to zwyczajnie.

— Ładne zwyczajaj! Aż do mego pokoju dolatują takie prześliczne słówka, że mi uszy nadwiedły. Idę je właśnie przepłukać w zimnej wodzie. Nie wie pani, czy Ania wstała?

— Spi pewnie, niebożątko. Przecie dopiero siódma dochodzi. A jak kto późno w noc romanse czyta, albo w alei spaceruje — (przymknęła jedno oko znacząco) — to nie dziw, że się potem zrana dobudzić trudno. Niechno mi już pan Lolo z drogi ustąpi. Nie mam czasu na pogawędki. Ot, starszy pan przykazał jakiemuś hultajowi miodu zanieść i suszonych owoców. Aha, właśnie! Jeszcze może konfitur, albo kiebasy wianek za to, że było w szkodę wpędził! Dałabym mu *kaszy brzozywej* dobrą porcję, ale cóż! Starszy pan, zamiast przegnać tych wszystkich ladaców, jeszcze

gościńcem opatrzy, żeby się potem ekonomowi prosto w nos śmieli.

Rozstali się. Kublicka podreptała do spiżarni, a Karol wyszedł na ganek.

— ...Musiała nas wypatrzeć kiedyś w alei — pomyślał, przechodząc koło okna, zasłoniętego firanką. — Chytra babina, język ma na pół lokcia, a jak potrzeba, słówka z gęby nie puści.

Miał straszliwą ochotę zagwizdać, tak, na próbę, czy groźny głosik nie burknie zza firanki: „Cóż to znów za hałasy?“ — ale z obawy, że Kublicka także może usłyszeć, dał spokój. Za to mijając kuchnię, przystanął przed otwartym oknem „piekarni“. Zapach mydlin stał w gęstem od pary powietrzu, prawie tak samo odurzającym, jak krzyki klójących się zawzięcie kobiet:

— ...Wyście mnie nie rodzili, to nie wam do mnie! — skrzeczła przysadkowata i szpetna, a mocno, mimo lat południa, romansowa Malwina.

— Jeszczebym kogo miała rodzić, taką wywłokę! A jak was znowu koło czworaków zdybie, to pani starszej powiem, kto tu największe ladaco! Kto za moim chłopakiem ślepią wytrzeszcza! Bezwstydnica!

— Trzymajcie język, matko, bo wam jeszcze waszego Jaśka przed ołtarz zaprowadzę, choć mi o niego tyle idzie — o!

Tu musiał nastąpić jakiś gest nader wymowny,

bo w piekarni powstał wrzask nie do opisania, a niemal jednocześnie wypadły stamtąd dwie rozchichotane dziewczyny.

— Handzia! — krzyknął Karol. — A co tam u was w piekarni dzisiaj? Sądny dzień nastał?

— O jej, paniczu! Anulewiczowa z Malwiną... O jej, nie mogę! Mało się na śmierć nie zatłuką!

— Biegnij do pani starszej — doradził z całą powagą — a ty, Nastka, skocz najlepiej po wodę. Odrazu całym wiadrem chluśnij...

— Chy! — parsknęła dziewczyna, zasłaniając usta kulakiem i obie przeleciały mimo panicza, zanosząc się od śmiechu.

Nieciekawy dalszego przebiegu babskich swarów, udał się do kąpieli. Staw był gładki, jak lustro, a woda, mimo ciepłych dni, lodowata o tak wczesnej godzinie. Jednakże słońce grzało już mocno i gdy Karol, wyszedłszy z wody, otrząsnął się, jak wyżeł — gorące promienie w mgnieniu oka wypłyły resztki wilgoci z jego skóry. Włożył z powrotem swój poranny negliż i usiadł nad brzegiem stawu.

Nie chciało mu się jeszcze wracać do domu. Pogodny ranek zachował w kryształowo czystym powietrzu jak gdyby resztki księżycowej poświaty. Srebrzyła się w migotliwych połyskach cicha powierzchnia wody, srebrzyły się na krzewach ostatnie krople rosy. Samo powietrze zdawało się drgać od miliona srebrnych iskierek.

Z dali, od strony ogrodu, dolatywało niekiedy jedno, drugie „kolanko“ pieśni słowika. Widocznie małeńki, niestrudzony ów śpiewak ćwiczył się przed nowym koncertem, albo też przeżywał jeszcze — tak jak Karol — jakieś słodkie wspomnienia.

Słuchając tak świergotów ptasich, żabich kumkań i tych rozlicznych, anonimowych głosów, jakimi zawsze rozbrzmiewa cisza wiejska — Karol uczuł, że go ogarnia wielka senność. Położył się na wznak, z rękami pod głową i — myśląc znowu o Ani — zamknął oczy.

Gdy je otworzył, stała przed nim, ujawszy się pod boki, z kaskadą szalonego śmiechu ledwie zastygłą na rozedrganych jeszcze ustach. Słońce stało wysoko, niemal prostopadłe jego promienie rzuciły krótki cień od stóp panienki na wodę.

— Dzień dobry. Jak się spało? — rzekła Ania.

— Dziękuję, bardzo dobrze i miło, bo cały czas myślałem o tobie.

— Doprawdy? Wcale nie jestem ciekawa twoich snów. Jeżeli są podobne do tego, co wypłatasz na jawie...

— Śniło mi się — ciągnął niezbity z tropu — że byłaś dla mnie wyjątkowo usposobiona, prosto bardzo miękka i łagodna. Przyszłaś, ot tak, jak teraz i pogłaskałaś mię po głowie. Szkoda, że to był tylko sen.

Wzruszyła ramionami, ale kąciki ust ciągle się jeszcze śmiały:

— Wszyscy oddawna po śniadaniu. Czy wiesz, która godzina?

— Sądząc z tego, że cię tu widzę, musi być około południa.

— Dochodzi jedenasta. Proszę mi nie dogryzać, że późno wstaję, bo ja przynajmniej jestem o tej porze ubrana, podczas gdy pan...

Wskazała na pyjamę.

— Oh, pardon! — usiadł, poprawiając kołnierz swego rannego stroju. — Ale jestem już wypłuskany w wodzie i zapięty po samą szyję, więc przypuszczam, że mi darujesz chwilę słodkiego tète à tète w tem ustroniu? Co słyhać w domu?

Zacząła się nanowo śmiać jak szalona i machinalnie przykucnęła obok niego na trawie.

— Wyobraź sobie... ha ha ha! Wyobraź sobie, była niesłychana historja: dwie baby pobily się w piekarni. Ale to bez przesady, nawymyślawszy sobie, ile wlezie, zaczęły się okładać pięściami. Próbowano rozdzielić je, lecz nadaremnie: wczepiły się jedna drugiej pazurami we włosy i szamotały, wrzeszcząc...

— Radziłem oblać wodą prosto ze studni — wtrącił Karol.

— Zrobił się taki rumor w całym domu, żeśmy wszyscy wybiegli zobaczyć, co się dzieje. I wyo-

braż sobie... ha ha ha! Wyobraź sobie, jakim sposobem babcia ugłaskała te jędze?

— Kazaniem na temat ewangelicznej miłości bliźniego?

— Aha, właśnie! Posłuchaj tylko: stoję w sieni, trzęsąc się poprostu od śmiechu, bo widowisko było naprawdę pierwszorzędne, aż tu wkracza cała procesja: babcia pierwsza, nadzwyczaj uroczysta, w okularach, i — uważaj tylko: z kropidłem w dłoni! Za nią Kublicka niesie talerz święconej wody. Za niemi panna Teresa z wielką książką do nabożeństwa, rozmiarami zbliżoną do mszału. Za Teresą — nie wiem dlaczego — ogrodnik.

— Z polewaczką?

— Nie, z sekatorem. Obcinał właśnie żywopłot koło kuchni. Żałuj, że tego nie widziałeś: babcia podeszła ku rozjuszonym niewiastom, pokropiła je z namaszczeniem i...

— I baby odskoczyły od święconej wody jak oparzone?

— Niezupełnie, ale w każdym razie stanęły na miejscu, z ustami otwartymi, ogłupiałe, a rozczochrane, jak nieboskie stworzenia. Wtedy babcia uroczyście uklękła, za nią wszyscy, nie wyłączając zwaśnionych... Uciekłam, bo mię zaczęło dusić w gardle od śmiechu. Bałam się, że gdy babcia spostrzeże, będzie pater noster po podwieczorku, a ja nie cierpię tych, jak to wy nazywacie

„wygovorów“. Umykałam co tchu, aż na koniec ogrodu. Dobrą godzinę, może więcej, nie mogłam się uspokoić... Potem — przyszło mi na myśl zajść nad staw. Idę, idę — w trawie coś burego majaczy. Podchodzę bliżej, patrzę — aż tu leży baranek... Znowu parsknęłam śmiechem. Wtedy raczyłeś wreszcie otworzyć oczy.

W ferworze opowiadania uszło jej bacności, że od paru minut nie spuszczał z niej tych właśnie oczu. Patrzył na twarz zarumienioną, na usta roześmiane, śledził żywe gesty, towarzyszące słowom. Gdy umilkła odezwał się:

— Jaka ty czasem śliczna jesteś, Aniu!

— Masz tobie! Ten znów wyskoczył z komplementem, jak Filip z konopi. Jaki ty często bywasz nieznośny, Karolu! I koniecznie chcesz popsuć mi humor. Czy nie dość, że co godzina mniej-więcej wybuchają między nami kłótnie?

— Po której się godzimy chociażby na pięć minut, prawda? Daruj mi te pięć minut teraz, zaraz. Bądź dla mnie dobra, trochę dobra... przez chwilę! Dla odmiany...

Uczyniła gest niecierpliwy, zrywając się do odejścia. Przytrzymał ją za rękę:

— Nie odchodź. Muszę ci jeszcze powiedzieć kilka słów.

— Jeśli to będą znowu głupie, sentymentalne uwagi...

— Sentymentalne? O, przepraszam! O wszystko

możesz mię posądzać, tylko nie o to! Czy wyglądam sentymentalnie? Czy mam wzrok błędny? Czy powiedziałem z leżką w głosie, albo z westchnieniem: jakaś ty śliczna!... Skonstatowałem fakt. Więc i to skromne stwierdzenie wrażeń wzrokowych jest w twoich oczach występkiem? Doprawdy, czasem jesteś prześliczna, lecz często nieco... zabawna.

— Ty za to często bywasz nudny, a czasami... impertynencki.

— O to, to! Właśnie. Szermierka słów. Ulubione zajęcie panny Anny.

— Puść rękę — rzekła z gniewem. — Daj mi spokój. Pójdę sobie.

Puścił jej dłoń i odparł:

— Widzisz, jestem posłuszny. Daję ci spokój. Możesz sobie iść. Ale pozwól, że zapytam o jedno: czy ci naprawdę sprawia tak wielką trudność okazać mi troszeczkę dobroci? Tylko troszeczkę i tylko kiedy-niekiedy, ot, choćby teraz. Coby ci szkodziło naprzykład, zamiast patrzeć na mnie w ten sposób — położyć mi rękę na oczach?... Na jeden, krótki moment. Wiesz doskonale, że cię kocham, bo ci to powiedziałem. Zabroniłaś mi poruszać ten „głupi“ temat. Dobrze. Usiłuję uspokoić nietylko ciebie, ale i siebie, że zapewne się mylę. Kto wie, może naprawdę wydaje mi się tylko, że kocham takie niepocziwe i niewdzięczne stworzenie. To się okaże w przyszłości. Wi-



dzisz, jakie robię postępy? Jestem przewidujący i cierpliwy. I chyba nie przekraczam zbyt granic, zastrzeżonych przez ciebie, jeżeli czasem, tak jak dziś, poproszę cię nieco serdeczniej: bądź dla mnie taka, jaka jesteś dla innych. Tylko tak samo dobra — nic więcej. Narazie mi wystarczy. A może i to także uważasz za zuchwałe żądanie?

— Bo ty — odwróciła głowę — nie poprzestajesz na tem. Zaraz sobie coś wyobrazisz...

— Skąd wiesz? Ja nic sobie nie wyobrażam, do tego stopnia nic, że gdybyś teraz nagle spełniła moją prośbę i — na przykład — położyła mi rękę na czole, — byłbym skłonny uwierzyć, że to dalszy ciąg drzemki porannej. Ania ze snu miewa czasem takie łagodne spojrzenie i taki miękki, czysto kobiecy odruch dobroci. Ania z rzeczywistości — nigdy. Zresztą — spróbuj. Połóż mi rękę na oczach. Przekonasz się, że nie drgnę nawet, nie krzyknę, nie zacznę śmiać się ani szlochać. Conajwyżej pomyślę tylko: Z pewnością to mi się wydaje. Z pewnością to jest znowu sen, który...

Umilkł, bo krzepka, energiczna dłoń zasłoniła mu oczy. Głos, trochę drwiący, a trochę jednak niepewny, zapytał:

— A teraz? Wydaje ci się, że to sen?

Milczał. Potem powiedział cicho, ale wyraźnie:

— Nie.

Ręka szybko cofnęła się z powrotem.

---

Niezabudki nad wodą miały kolor nieba. Jakby kawałek błękitnego sklepienia oderwał się na wysokościach i rozprysnął, spadając, w drobniutki okruszyny po całej łące. Jasne, pogodne oczka kwiatów przypatrywały się ciekawie tej dziwnej parze ludzi, którzy przyszli tu chyba jedynie po to, by wsiąknąć w ciszę. Żaden dźwięk słowa nie mącił jej. Tak było cicho wokoło, tak niezmiernie cicho, że dzwonek podwórzowy zabrzmiał dziwnie donośnie. Zakolysało się nieruchome powietrze od rytmicznych uderzeń: „Dy-dy-dyń! Dy-dy-dyń“ i niosło daleko ów głos, zwiastujący przerwę obiadową.

— Masz tobie — rzekła Ania — dzwonią na południe. Zmarnowaliśmy tyle czasu.

Karol zaprzeczył energicznym ruchem głowy:

— Może ty tak uważasz. Ja nie. Wiesz, Aniu, zrobiłem wielkie odkrycie teraz przed chwilą, kiedyśmy tak zawzięcie milczeli. Przekonałem się, że jednak *umiesz* słuchać.

— ...

— Tak. Mówiłem ci ogromnie dużo takich rzeczy, które normalnie przyjmujesz wzruszeniem ramion, lub gniewną miną. Opowiadałem ci o sobie, o tobie, o nas. A ty mię nie wyśmiałaś, ani się oburzyłaś, chyba pierwszy raz w życiu! Co-fam wszystko, com ci kiedykolwiek zarzuciał. Myliłem się. Ty jesteś dobra, tylko nie zawsze chcesz. Z ciebie jest naprawdę najdziwniejsza istota: czy

ty rzeczywiście nie dla mnie w sercu nie masz, czy też droczysz się ze mną tylko, a jeżeli się droczysz — to dlaczego? Nie jesteś przecież okrutna. Nie widziałem, byś męczyła owady, koty, ptaszki, czy psy. Więc dlaczego specjalnie wobec mnie miałabyś stosować jakieś dręczycielskie metody?

Przestała skubać trawę, zwróciła ku niemu oczy szczerze zdziwione.

— Więc to ja ciebie dręcę? Ja do ciebie stosuję jakieś „metody“? Ech, doprawdy, Lolu, miałabym wielką ochotę raz się dowiedzieć: czego ty chcesz właściwie odemnie? Powiedziałeś mi że... mię kochasz. To bardzo przykre, bo ja... Nie, nie umiem tego wyrazić. Ja ciebie strasznie lubię, lubiłam zawsze i tyle. Zresztą — wszystko to zrobiło się tak nagle... Czy ja wiem?

— Tak. Ty nie możesz wiedzieć. I powiem ci, dlaczego: bo w tobie serce jeszcze śpi. A ja tylko przed jednym czuję obawę: by cię nie stracić z oczu. Gdybym cię kiedy stracił z oczu choćby na krótko i gdyby właśnie wtedy obudziła się w tobie kobieta... Mogłabyś przez roztargnienie, przez jakąś fatalną omyłkę pokochać kogoś innego — nie mnie. Ale i wtedy jeszcze, nie myśl, że zrezygnowałbym tak łatwo. Jeszczebym wtedy nawet walczył o ciebie, choćy przeciwko twojej woli!

Aż klasnęła w ręce z wielkiej uciechy:

— Nie! Ty jesteś naprawdę nadzwyczajny!

Więc gdybym się naprzykład zakochała na śmierć w kim innym...

— Otóż właśnie: na śmierć. Toby dopiero było kapitalne głupstwo z twojej strony! Taka kobieta, jak ty, powinna się kochać na *życie*. Właśnie: czerpać z miłości życie, pomnażać je, wzbogacać, rozsiewać wokół, kwitnąć — a nie umierać. I dlatego raz jeszcze powtarzam: strzeż się Aniu, by nie przegapić istotnego swojego przeznaczenia.

— A za to przeznaczenie uważasz, naturalnie, siebie?

— Tak. Do usług.

Skończyłoby się to *colloquium*, jak zwykle, na śmiechu, gdyby w tej samej chwili nie zaterkotał, dzwinnie blisko, derkacz. Po derkaczu ozwała się przepiórka, po niej zamiauczał kot domowy i wreszcie młody, jędrny głos zawołał z za krzaka:

— A kuku!

Ania skoczyła z miejsca na równe nogi, krzyknąwszy z mimowolnym przest్రachem:

— To Witek!

— We własnej skórze, chociaż cokolwiek pocharataniej. Serwus, moi państwo. Czy aby nie przeszkadzam?

— Wyrosłeś, jak z pod ziemi — rzekł Karol. — Gdzieżeś się znów wałęsał? Skąd wracasz?

— Ostatnio z krzaków tarniny, w którą wplątałem się, szukając krótszej drogi z leśniczówki.

— Będziesz miał w domu przeprawę — zau-

ważył starszy brat tonem karcącym. — Jeśli miałeś zamiar znowu nocować w leśniczówce, trzeba było uprzedzić.

— Jakże mogłem przewidzieć, że mię Bańcuk zaprowadzi do jam borsucznych? Telefonu jeszcze nie założyli w Wielkich Kątach, a zresztą — młody człowiek odął wzgardliwie dolną wargę — mogą sobie w domu czasem przypomnieć, że nie mam pięciu lat. Biedny Wicio, nosek sobie zabrudził i musi biedz do niani po chusteczkę!

— Co za bachor! — pomyślał Karol i w tej chwili przypomniały mu się podobne słowa, usłyszane niedawno z ust Ani.

Tymczasem „pan Wincenty“ doprowadzał do porządku czuprynę, strzepując z niej resztki igliwia i różnej flory leśnej i mówił do kuzynki:

— Idąc przez las, zoboczyłem ogromnego grzywacza. Siedział na sęku o dziesięć kroków ode mnie! Psia kość, że też teraz taki paskudny czas! Człowiek się tylko oblizuje... Pozwoliłem grzywaczowi odlecieć, idę dalej — aż tu, nad stawem, znowu słyszę gruchanie... Ki lichy, myślę, czyżby całe stadko? Skradam się między sosenkami... Wytrzeszczam oczy — jest! siedzi nad wodą parka, jak malowanie. Grzywacz w szarej pyjamie...

Dała mu klapsa po rękę, obrażona:

— Głuptas jesteś! Karol się rano kąpał i usnął,

jak kamień. Ja tu zaszłam niechcący przed chwilą...

— Ta ta ta! W sądzie się tłumacz, nie przedemną. Powiedz lepiej, która na świecie może być teraz godzina, bo według tego, co mi żołądek mówi, najwyższy czas na obiad.

— Prawda, obiad! — jęknęła przerażona. — Chodź, Witek, prędko! Napewno się spóźnimy! Zostaw tego leniucha w pyjampie... To nawet nie wypada, żeby nam towarzyszył w takim stroju...

— Chcesz, Aniu? Zrobimy wyścig: kto pierwszy do alei. Dam ci trzydzieści kroków „for“.

— Obejdzie się bez foru! — krzyknęła i pomknęła jak strzała.

— Serwus, Karol! Muszę biedz za nią, bo gotowa przylecieć pierwsza i ogłosić swoje zwycięstwo. A nogi ma nie od parady!

Przysłoniwszy oczy dłonią, Karol obserwował te zaimprovizowane wyścigi: Ania z miejsca „odsadziła“ się o kilkanaście metrów i była już na ścieżce, gdy Witek ledwie dopadł grobli. Dys-tans nie zmniejszał się i nadal, pomimo, że na łące mieli już równe szanse. Warkocze, uwolnione z więzów grzebieni i szpilek, połyskiwały na plecach dziewczyny, jak dwa złociste węże. Suknia, pętająca swobodę ruchów, była widoczną zawadą. Na krótką metę przed aleją lipową Witek zdołał się nieco przybliżyć, lecz widać było, że dobywa wszystkich sił w nogach. Dzielilo ich jeszcze

z piętnaście kroków, gdy Ania, obejrzawszy się triumfalnie, wpadła z impetem w cienistą otchłań ogrodu.

— Ania! Dość! Ania! — krzyknął młody człowiek głosem cokolwiek zadyszany.

Przeszedł w zupełnie wolne tempo, wołając znowu:

— Ania, zaczekaj! Wygrałaś! O co ci chodzi, no...

Teraz on także znikł w alei.

— Jak ta dziewczyna biega! — szepnął Karol, zmierzając również w stronę domu.

I nagle, niemal ze zgrozą uświadomił sobie, że „ta dziewczyna“ zupełnie opanowała nim, jak jakiś rzecz. Dziś jest mu stokroć droższa, niż była wczoraj, jutro będzie zapewne droższa, niż dziś.

— Żeby tylko chciała mię kochać — pomyślał. — Żeby chciała mię kochać! Niekoniecznie dziś, albo jutro: — kiedyś.

I znowu myślał o niej, jak o przyszłej swej żonie. Przecież to niemożliwe, żeby było inaczej, żeby się mogło stać inaczej.

Daleko, w głębi alei, ozwał się zachrypnięty, koguci głos; to Witek śpiewał na całe gardło:

*„A gdy będzie słońce i pogoda,  
słońce i pogoda,  
Pójdziemy se razem do ogroda...“*

Jeszcze dalej, w pobliżu domu, odpowiedział mu świeży, rozbrzmiały śmiechem głos niewieści:

*„Będziemy se fijołecki smykać,  
fijołecki smykać...”*

Jedna, druga kaskada śmiechu i wołanie: „zyg-zyg-zyg“, pełne przekory. Jakbyś widział Anię, skrobiącą na palcach marchewkę: „Aha, kto dobiegł pierwszy? A widzisz! a widzisz! a widzisz!“

— Nie zatrzymała się! Nie zaczęła na niego! — pomyślał Karol. — Jakie to jeszcze dzieciuchy, ona i Witek!

Ale niewysłowiona, gorąca fala radości opłynęła mu serce. Szedł teraz rażno ku domowi, gdzie napewno czekają z obiadem. Miał ochotę śmiać się jak Ania i wołać:

— Już ty nie myśl, że ja się ciebie wyrzeknę! Oho! tylko przestań być dzieckiem, tylko trochę dorodnij, a zobaczysz! Przecież i w tobie zbudzi się kiedyś serce!

W uszach dźwięczała mu nuta usłyszonej przed chwilą piiosenki brata, więc, wkraczają w aleję, nucił półgłosem:

*„A gdy będzie słońce i pogoda,  
słońce i pogoda...”*



ROZDZIAŁ IV.  
„WIELKI ŚWIAT“.



List pani Benigny Mystkowskiej musiał zawierać jakieś osobliwe nowiny, ponieważ „starsi państwo“ natychmiast po obiedzie zamknęli się w swoim pokoju i dyskutowali nad czymś tak gorąco, że Kublicka aż wypieków dostała z zaciekawienia.

Jak na złość, dziewczęta w kredensie przebiebrały truskawki na konfiturę i nie mogła ich spuścić z oka, bo wiadomo przecież, coby się stało z owocami.

Staruszkowie sprzeczekali się tak rzadko, że owe „kłótnie“ małżeńskie, rozsiane na przestrzeni prawie już półwiekowej, można było policzyć na palcach. Tembardziej więc taki odgłos rozmowy, przypominającej sprzeczkę, wyprowadzał klucznicę z równowagi.

Nie mogła wreszcie wytrzymać i — poświęcając resztę truskawek na niechybne zdziesiątkowanie, pod pierwszym lepszym pretekstem wypadła na korytarz.

Pokój dziadków był zamknięty, a od wewnątrz szczelnie zawieszony portjerą — przeciw muchom. Zaczyna Kublicka musiała więc dobrze nadstawić uszu, (choć miała słuch nie bylejaki) by zza tej podwójnej ściany wyłowić strzępki roz-

mowy. Babcia miała głos donośniejszy, to też pierwsze zdanie, jakie zdołała klucznica podchwycić w całości, brzmiało mniej więcej tak:

— Bo co tu długo mówić, — dowodziła starszuszka tonem cokolwiek podrażnionym — ty masz wyraźną słabość do niej...

— Ja mam słabość? Ja, duszko? — bronił się dziadzio znacznie ciszej.

— A ty, właśnie ty. Kręci tobą, jak frygą. Ale ja trzeźwo patrzę i dlatego uważam, że Ania powinna zostać w Kątach. Po pierwsze, na podróże ma jeszcze czas, po drugie zaś, to będzie dużo kosztowało.

— Urodzaje zapowiadają się nieźle — wtrącił dziadzio, a Kublicka przyłożyła ucho do samych drzwi, by nie stracić ani jednego słowa. Najwyraźniej mówiono o Ani. Ale co za wyjazd? Dokąd? Kiedy? Z kim?

— Urodzaje! Urodzaje! — zabrzmiał ironicznie głos babci Andzi. — Nie chodzi o to, czy się znajdą pieniądze, tylko czy warto je wydawać na przyjemności dziewczyny i tak dość lekkomyślnej. Po tem, jak się zachowała wobec Józia, wiadać, że ma zupełnie przewrócone w głowie! Na kogo ona czeka? Na arcyksięcia? Gdyby miała trochę więcej rozsądku, zrozumiałaby, że takiej partji nie odrzuca się, ot, dla kaprysu... Nie będziesz chyba twierdzić, że wnuk twojej rodzonej siostry robi karierę, biorąc za żonę panienkę z nie-

wielkim posagiem i w dodatku z nieszczególną opinią, dzięki jej matce...

— Andziu!

— No, no, już ty nie wyjeżdżaj z obroną Anety. Wszyscy są mego zdania że popelniła szaleństwo. Co do Ani zaś — obawiam się, by nie poszła w jej ślady.

— Takie to jeszcze młode stworzenie — wtrącił dziadzio. — Czyż ona może dziś wiedzieć, czego chce od życia?

— Jeżeli nie wie, to tembardziej powinna słuchać starszych i doświadczonych. Józef, choć młody, uchodzi za najlepszego gospodarza w okolicy. Przy jego boku Ania nauczyłyby się żyć i pracować uczciwie, zamiast spędzać czas na czytaniu różnych błazeństw, które zowie arcydziełami literatury...

— Jeżeli... — reszta zdania utonęła w fałdach portjery.

— Faramuszek! — odparła babcia porywczo. — Każda kobieta powinna mieć ochotę do założenia własnego domu. To jest jej powołanie.

Ktoś otworzył drzwi do jadalni i znów je zamknął z trzaskiem. Kublicka odskoczyła w bok, tracąc wątek rozmowy. Gdy po chwili znów nadstawiła ucha, dobiegły ją szczątki jakiegoś gderliwego twierdzenia:

— O to, to właśnie! Nie podoba się! Józefowi nie zarzucić nie można. A że nie umie prawić

komplimentów panienkom, to i lepiej. Byłby właśnie wymarzoną mężem dla Ani.

— Taka młoda! — powtórzył śmiejąc się — dzia-  
dzio — niech się trochę po świecie rozejrzy, niech  
pozna innych ludzi...

— Może jeszcze jakiego sławnego tenora? Nie  
dość było z jednym strapienia?

Znowu dały się słyszeć kroki. Ktoś nawoływał  
zdaleka:

— Pani Kublicka!

Klucznica już miała odkrzyknąć: „Jestem tu!“  
ale w porę opamiętała się. Jednym, nad podziw  
przy swej tuszy zręcznym susem znalazła się po-  
środku korytarza; zrobiła jeszcze kilka kroków  
i dopiero przy drzwiach kredensu odezwała się  
z niezadowolaniem:

— Idę już, idę! Że też człowiekowi przez pięć  
minut nie dadzą spokoju: Kublicka i Kublicka!  
Jakbym trzy pary nóg wygrała na loterji!

Tymczasem w pokoju starszych państwa dalej  
toczyła się dysputa. Babcia miała obecnie głos:

— ...Oto, do czego prowadzi obracanie się  
w wielkim świecie! Niech lepiej Ania siedzi z nami  
w Kątach i Panu Bogu dziękuje, że jej pokus  
oszczędził. Tu przynajmniej nikt jej nie zbała-  
muci.

— Tak sądzisz?

Tyle było w głosie staruszka prawdziwej troski,  
że odruchowo sięgnęła po okulary. Przetarła je,

włożyła na nos i bacznie, z pod brwi wzniesionych, popatrzyła na męża.

— Cóż to ma znaczyć? — rzekła po długiej pauzie. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że tu, pod moim dachem, ktoś Ani durzy głowę?

— Ja nic nie chcę powiedzieć, duszko, bo nie wiem. Ot, myślę sobie tylko, że jeśli Ania tak stanowczo broni swojej wolności, to — albo nie chce jeszcze myśleć o małżeństwie, albo też... podobają jej się nie Józef, ale ktoś inny.

Okulary zsunęły się nisko, a oczy, które z nad nich wyjrzały, były nieomal groźne:

— Kto, zdaniem twojem, byłby tym „kimś“?

— Może... Lolo? — rzekł dziadzio i natychmiast pożałował niebacznych słów. Twarz jego małżonki zastygła w wyrazie oburzenia.

— Lolo? — powtórzyła z naciskiem — Karol? Skąd ci to przyszło do głowy?

Skąd mu to przyszło do głowy? Istotnie... Dziadzio był w niemałym kłopotcie. Wstał z fotela i swoim zwyczajem jął dreptać po pokoju tam i z powrotem, pozwalając żonie monologować dowolnie. Staruszka zdjęła już okulary, które jej wiecznie zawadzały i mruczała pod nosem, poruszona:

— Nie miałyby odrobiny zdrowego sensu, biorąc na serjo umizgi tego szalapaty. I co za perspektywa! Chłopiec bez ustalonej przyszłości, ledwie że skończył politechnikę. Teraz ma odslugi-

wać wojsko. Jeśli zawraca głowę dziewczynie, byłby chyba skończonym...

Gryzła między resztkami zębów jakieś niezbyt pochlebne określenie. Dziadzio zaprzestał swej wędrowki, stanął za fotelem zagniewanej starszki i spróbował zagadnąć ostrożnie, z dobrotliwym uśmiechem:

— Niepotrzebnie się *demenujesz*, duszko... A cóżby ostatecznie było strasznego, żeby Karol chciał się z Anią ożenić? To przecież także rodzony wnuk mej siostry, przyszły spadkobierca Wielkich Kątów, jak Józef...

— O, przepraszam! — oburknęła, obracając ku niemu głowę — Karol ma dwadzieścia sześć lat i jest dotychczas niczem. Zobaczymy, jakie ziółko z niego wyrośnie. At, co tu zresztą dużo gadać!

Umilkła, a po chwili spytała zupełnie innym tonem i z innej beczki:

— Więc jak tam pisze w liście twoja kuzynka? Kiedy zamierza wyjechać?

— Za dwa tygodnie — podchwycił nader skwapliwie. — Trzebaby jednak wystarać się o paszport dla Ani. Mogłaby się z Benią zjechać w Warszawie, załatwić formalności, a stamtąd już prosto...

— Paszport wyrobi Karol. Ma jeszcze cały tydzień wakacji. Można go wyprawić, chociażby jutro. Przez ten czas należałoby przygotować coś



nie coś do tej podróży... Ile czasu Benigna zamie-  
rza spędzić w Vichy?

— Cztery tygodnie. Ale potem chce posiedzieć  
nad morzem, gdzieś w Bretanji.

Babcia rachowała coś w myślach: lipiec, sier-  
pień... Tak, doskonale! Dwa miesiące, spędzone  
zagranicą, powinny wystarczyć, aby z panień-  
skiej głowy wywietrzały niepotrzebne rojenia.  
A potem — zobaczymy. Karol będzie już, chwała  
Bogu, daleko, w pułku. To najważniejsze. Z Jó-  
ziem się może jakoś naprawi. Uspokojona zupeł-  
nie wynikiem tego króciutkiego bilansu, powie-  
działa:

— Parę bluzek może uszyć Teresa. Bieliznę  
Ania ma w porządku. Musi tylko sama nazna-  
czyć. Właśnie doskonale zajęcie na cały tydzień.  
Do Warszawy pojedzie ze mną. Chciałabym przy  
tej sposobności zoaczyć się z Benigną i polecić  
Anię jej opiece.

— Więc... pozwalasz? — spytał upewniony już  
dziadzio z nieukrywanem zadowoleniem.

— Ha! Czy mogę się długo opierać, jeżeli tobie  
tak na tem zależy? — pogroziła mu palcem. —  
Muszę ustąpić. Zobaczymy, czy ta podróż wy-  
jdzie Ani na dobre.

— Rozerwie się, ożywi trochę...

— No, tego to jej chyba nie brak!

— Może to pozorne? Ja myślę, Andziu, że sama  
Opatrzność zesłała nam list Benigny teraz właś-

nie. Biedna Ania, taka jest od wczoraj zdenerwowana... Unika wszystkich...

— Oprócz Lola — szepnęła babcia uszczypliwie.

— Bądźcobądź, jest biedaczka w niemilej sytuacji. Czy nie uważasz, że nawet trochę przymierzniała?

— Et, nie fantazuj, Bartoszu! Dziewczyna wygląda, jak ćwik!

Tymczasem „zdenerwowana“ Ania siedziała z Karolem na ławeczce w kącie ogrodu. Jadła niedojrzałe czereśnie, których właśnie przed chwilą narwali z drzewa i pomiędzy jednym a drugim wypluciem pestki, wyładowywała z serca, czy też wątroby całe nagromadzone wzburzenie:

— I skąd mu to raptownie przyszło do głowy? (— cyk! —) Prędzejbym się spodziewała pioruna z jasnego nieba, niż tej wczorajszej awantury! (— cyk! —) Żeby mię choć przygotował, uprzędził... Miałabym bardziej uroczystą minę! Ale to spadło na mnie, jak cegła z dachu. (— cyk! —) Teraz tylko brakuje do kompanji, żeby mi się Witek oświadczył. Bylibyście w komplecie, caccani braciszkuwie.

Cyk! — i garć pestek z impetem uderzyła o drzewo.

— Przestań na chwilę żuć to zielone paskudztwo i miast złośliwych wycieczek w moją stronę,

opowiedz lepiej, jak on to zrobił? W jakich słowach? Gestach? Spojrzeniach?

— O, zapewniam cię, że bardzo swoiście. Przedewszystkiem... rozpoczął rozmowę od obory. Zawiadomił mię, że ilość krów w Starych Kątach jest jeszcze niewystarczająca i zapewnił, że w najbliższym czasie zaradzi temu. Potem wyliczył, ile paszy potrzeba dla wyżywienia stu sztuk bydła przez okres zimowy...

— No, to jest temat, poruszany często przy stole...

— Czekaj. Bezpośrednio potem oznajmił, że chce założyć w Kątach ka-na-li-za-cję! Tak się wyraził, objaśniając, że pompowanie wody nie przedstawia wielkich trudności, natomiast jeszcze nie wie, jakby ją odprowadzić, żeby koszt kopania nie wyniósł zawiele. Ach, Lolu! Słuchałam z całą powagą, gdy nagle...

Znów przełknęła czereśnię.

—... gdy nagle obwieścił mi, że gromadzenie dóbr doczesnych i wszelkie udogodnienia życiowe są rzeczą pożądaną i słuszną, ale gdy im przyświeca wyższy cel. Że z Kątów można (przy odpowiednim nakładzie pracy, naturalnie) zrobić prawdziwe cacko, ale że w tem cacku... Nie! Stanowczo nie potrafię powtórzyć, jak to było misternie powiązane ze sobą! Że jednym słowem ja mogę być istotą opromieniającą dom, ja mam być tym wyższym celem i najważniejszą przy-

czyną wielkich reform w Kątach. Tu nastąpiła męcząca dla obojga pauza i finał, w którym bez żadnych obsłonek powiedział wprost: proszę zatem, abys została moją żoną, Aniu.

— A ty?

Pokręciła głową.

— W pierwszej chwili, przyznaję, że zdębiałam. A potem chciało mi się śmiać, ale to tak śmiać, jak dawno nie pamiętam. I byłabym mu z pewnością parsknęła prosto w nos, gdyby właśnie w tym momencie nie dorzucił z naciskiem: „To jest również gorącym życzeniem twojej babki.“ Ach, Lolu! Ta babcia w tem miejscu, w takiej chwili, po takich oświadczeniach, była do tego stopnia zabawna, że nagle odeszła mię ochota do śmiechu. Zrobiło mi się żal Józia: że jest taki, jak jest — z tym swoim poczciwym mózdzkiem, wypełnionym stogami siana i stertami żyta... I że na wysokości tych stert umieścił moją nieproporcjonalnie znikomą osobę, i że musi odemnie właśnie dostać kosza... Jednem słowem, zamiast wybuchnąć śmiechem, — rozbeczałam się. Z żalu nad nim, ze złości na głupią sytuację, z irytacji na babkę i cały ten światek Starych Kątów...

Umilkła, nie jadła już czereśni, tylko rysowała końcem pantofla jakieś znaki na ziemi. Gdyby nie miała oczu spuszczonech i takich długich rzęs, Karol z pewnością dostrzegłby i teraz dwie duże lzy, gwałtem uciekające z pod powiek.

Ania była rzeczywiście wzburzona. Nie miała dotąd czasu zdać sobie sprawy, dlaczego humorystyczne poniekąd oświadczyzny najstarszego z Boreyszów zgnębiły ją, zamiast ubawić. Bo nawet nie to, że musiała rozwiać iluzje Józefa, sprawiło jej tak wilką przykrość. Ostatecznie on sam nie robi z tego tragedji, a młodej panie zawsze w głębi serduszka przyjemnie otrzymać dowód, że „epuzerzy“ ubiegają się o nią. Miała jednak potrosze żal do wszystkich. Czemu wglądają w jej uczucia? Czemu przesądzają jej przyszłość? Czemu ją męczą, każdy na swoją rękę? Zaczął tę niefortunną serję oświadczyzn Karol — ale Karola można przynajmniej nie brać na serjo. Zabawny chłopiec, ale przemiły. Ostatecznie, on był najlepszy dla niej z pośród wszystkich, prawie tak bliski, jak dziadzio i Teresa.

— Ot i masz — odezwała się wreszcie, stoczywszy zwycięską walkę z chętką do płaczu. — Masz tę całą głupią historję. Sama nie wiem, dlaczego opowiadam ci takie rzeczy.

— To bardzo naturalne. Przecież dostałem awans na przyjaciela. Do tego stanowiska przywiązane są pewne przywileje.

— Ciekawa jestem, — ciągnęła dalej — kiedy mi wreszcie dadzą spokój. Babcia od rana patrzy na mnie, jak na istotę niebędącą przy zdrowych zmysłach, albo udaje, że mię wcale nie widzi i milczy, co jest jeszcze gorsze, niż gdyby sypnęła

burę. Ach, takbym teraz chciała wyjechać stąd... Uciec, choćby z powrotem do klasztoru! Przez szereg lat powtarzano mi tam do znudzenia: „trzeba się uczyć“. Jeżeli teraz wszyscy zaczną z równym zapalem namawiać: „trzeba wyjść zamąż“ — czuję, że nie wytrzymam. Wścieknę się chyba!

— Ja cię do tego nie namawiam. Przeciwnie: Bóg ci zapłać, droga moja dziewczynko, żeś odmówiła Józefowi. To mi dodało otuchy i pozwala śmielej spoglądać w przyszłość...

Karol miał dziwny dar mówienia na wesoło rzeczy poważnych. I teraz — Ania nie była zupełnie pewna, czy żartuje, czy też uśmiechem, błakającym się dokoła ust, chce jej wyrazić porażający swoje bezpodstawne nadzieje. Patrzyła więc na niego nieufnie, rozważając, czyby nie należało oburzyć się za tę „drogą dziewczynkę“, ale jednocześnie czuła ogromną potrzebę „wygadania się“ przed tym jedynym, oprócz Teresy, człowiekiem, z którym mogła przynajmniej mówić zupełnie szczerze.

— Wiesz — zaczęła po chwili takim tonem, jakby poprzednie słowa Karola wcale nie doszły do jej uszu — mam bardzo często wrażenie, że babcia mię nie lubi. Kocha mię, ale nie ma do mnie uczucia sympatji, która jest niezależna od związków krwi... Daleko większą sympatją obdarza naprzykład Józia i Witka, choć ja jestem

przecież prawie rodzoną jej wnuczką, a oni prawie obcy. Co do ciebie...

— No, ja się wcale nie liczę, a raczej, liczę się, jako zakąła rodu. Widzisz, Aniu! Jeszcze jedna wspólna nitka nas wiąże: jesteśmy oboje na indeksie. Ja... za samego siebie, ty zaś z powodu twojej...

Urwał nagle, gryząc się w język. Ania odezwała się cicho:

— Dokończ.

A gdy milczał, szukając jakichś żartobliwych słów dla zatuszowania tej mimowolnej niezręczności, rzekła spokojnie, patrząc gdzieś daleko w gąszcz sadu, gdzie igrały na pniach bielonych złote połyski zniżającego się już słońca:

— Dlaczego wszyscy w domu uważają mię zawsze za dziecko, któremu się wielu rzeczy nie mówi?... Gdyby wiedzieli, jakie to bolesne: tyle przeczuwać, płatać się w tyłu przypuszczeniach i — nie módz wierzyć nikomu! Wiem, że przed chwilą pomyślałeś o mojej matce. Dlaczego wszyscy milkną, albo czują się jakby zawstyżeni wobec mnie, gdy padnie jej nazwisko? Czy popełniła coś bardzo złego, idąc za głosem serca?

Wstrząsnęła się, jakby zbudzona ze snu dreszczem chłodu:

— Nie wiem, dlaczego to mówię. Wogóle mówię dziś za dużo i niepotrzebnie. Ty mi też nie odpowiesz zupełnie szczerze. Nie odpowie mi nikt

w Starych Kątach. Nieraz mi się wydaje, że po odpowiedź na tyle pytań musiałabym się wybrać daleko i sama ją na krańcu ziemi odnaleźć. Ach Lolul! Nie masz pojęcia, jak bardzo pragnę czasami wyrwać się stąd, pojechać — własnymi oczyma spojrzeć na tę mamusię, której nie znam... Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że tam, na wielkim świecie oddycha się swobodniej, niż tutaj w Kątach, gdzie wszystko jest ujęte w ciasne ramki, pokratkowane, podobne do wyszytej na kanwie sentencji moralnej. Może matce mojej było tutaj duszno, więc zbuntowało się w niej serce i uciekła daleko szukać szczęścia, a choćby nawet nieszczęścia, ale na większą miarę. Bo tu wszystko jest „maleńkie, drobnieńkie“ — jak powiada Kublicka. Nawet kłopoty, nawet troski są takie jakieś... śmieszne. Klucz się zgubił: — tragedia. Ktoś nadebrał chochlę śmietany: — piekło. Naturalnie: maciupenka tragedia, minjaturowe piekła; i tak dni płyną, skurczone jakieś, szare, okropnie jednakowe. Od roku przecież jestem w Kątach „na stałe“. I słucham, patrzę — słucham i patrzę: zawsze to samo! Zawsze orka, siew, żniwo — i znowu orka i znowu siewy... Nawet litanje i nabożeństwa dziadzi przeplatają się z sobą w chronologicznym porządku. Tu jest takie „ustatkowane“ życie, że czasami rodzi się we mnie bunt. Chciałabym stąd nagle wyprysnąć jak iskra z ciasnego kominka — na pokój. A nuż się coś



dziwnego stanie? Buchnie jakiś płomień, albo choćby zasyczy iskierka, nim zgaśnie...

Karol słuchał w głębokiem milczeniu. Nie mógł odnaleść swojej zwykłej wymowy, szepnął tylko, zdumiony widokiem tej nowej, tej jeszcze jednej Ani, którą kochał:

— Jak ty się stąd wrywasz, dziewczyno! Czy ci w Kątach było tak źle? Czy rzucilabyś wszystko i wszystkich, nazawsze, jak kiedyś twoja mama? Czego ci właściwie potrzeba?

— Nie wiem — odparła — nie wiem, czego mi trzeba. Wiem tylko jedno dzisiaj: że chciałabym wyjechać, wyjechać w świat, daleko...

Widocznie Ania wypowiedziała życzenie swoje w jakąś „dobrą“ czy „złą“ godzinę, — bo oto w tej samej chwili los rzucił wyrok przez usta babci i wkrótce miało się spełnić wszystko, ku czemu biegły myśli, rozpalone pod jasnym dziewczęcym warkoczem. Miało się też dokonać mnóstwo wypadków olbrzymiej wagi, które targnęły nietylko życiem Ani i pchnęły je na nowy tor, zmieniły nietylko stary „opatrzoney“ tryb życia w Kątach, ale i cały dawny porządek świata. Przeszła nad Europą nawałnica i na wzburzonych falach poniosła tysiące istot daleko mniej bezbronych, niż jedna mała dziewczynka, o której dziadzio mówił z dobrocią: Czy ona może wiedzieć, czego pragnie?

Księżyc nie zdołał jeszcze po raz trzeci odmie-

nić swego oblicza i pyzată twarzą przejrzeć się w stawie pod lasem, gdy oto upojona mnogością nowych wrażeń Ania dowiedziała się ze zdumieniem, że tak, z dnia na dzień prawie może wybuchnąć Wielka Wojna, ostrym bagnetem przeciąć bieg zdarzeń i podzielić życie na dwie zupełnie odrębne epoki, którym będzie na imię „Przedtem“ i „Potem“.

---

ROZDZIAŁ V.  
M A T K A.



Pani Benigna Mystkowska, zwana przez młode pokolenie z Kątów „naczyniem poważnym“ dla swych ruchów pełnych godności i niewzruszonych zasad — okazała się w podróży „nudną piłą“, a z chwilą wybuchu wojny stała się wprost okropna. Przedewszystkiem, zamiast wracać czempredzej jakąkolwiek drogą do kraju, opuściła w popłochu Vichy, udając się do Paryża.

Nie czynił on w owych czasach wrażenia bezpiecznego schroniska. „Miasto światłości“ poczęło się gwałtownie wyludniać. Bywały dni, że z zatroskanych twarzy przechodniów, z przeciągłych okrzyków gazeciarzy, z nagle opustoszałych witryn sklepowych wiała jakaś groza, przecucie nowej klęski, nowego przesunięcia się frontu. Szeptano coraz częściej o możliwej ewakuacji, o zajęciu Paryża przez Niemców. W roztańczone i rozśpiewane królestwie mody przechadzał się teraz blady strach. Zdarzały się niekiedy noce okropne, gdy przez nieoświetlone ulice, między sklepami, zabitemi na głucho, przeciągały dziwne pułki czarnych żołnierzy. Tupot tysiąca nóg wywabiał do okien zastraszonych mieszkańców. Przypatrywali się z za spuszczonej żaluzji tym „kolorowym“ wojskom,

które przechodziły, śpiewając dziwne pieśni. Od czasu do czasu błyskały białka oczu i ostre zęby; na widok wybladłych twarzy, dostrzeżonych tam i sam za szybą, ciemne ręce wykonywały złowieszczy gest koło szyji, oczy mrugały porozumiewawczo, a z warg dobywało się jedno tylko, dyscypliną do głów wtłoczone słowo: „Boche“.

— Krik! — warczeli czarni wojownicy, przesuając palce po gardłach z wiele mówiącym dźwiękiem onomatopeicznym — Krik! Boche! Krik!

W takie noce pani Benigna oblewała się zimnym potem i nie mogła później zasnąć do rana, — ale jednak nie miała odwagi wyjechać dalej, na południe, gdzie już chyba nie dojdzie ani tamta zwycięska armja niemiecka, ani też straszni Turkosi, czy inne djabły zamorskie spróbują, w braku „boszów“, z wielkiego rozochocenia zrobić „krik“ na białych szyjach cywilnej ludności Francji...

Napróżno Ania powtarzała, namawiała, prosiła: jedźmy stąd! Zastraszona dama nie dała się nakłonić do tego kroku, który wymagał szybkiej decyzji oraz nowych zmian — może na gorsze?

Tak przeszły najcięższe tygodnie. Zwycięstwo nad Marną pozwoliło pani Mystkowskiej odechnąć z ulgą; nie drżała już na każdy silniejszy odgłos kroków, lub hałas uliczny. Teraz jednak tembardziej uczepiła się myśli pozostania w Pa-

ryżu: „Bo przecież się coś wyklaruje!“ — odpowiadała niezmiennie na wszystkie tłumaczenia i prośby. Tem „czemś“ był, naturalnie, przez wszystkich przewidywany rychły koniec wojny.

Oczekując na otwarcie granic, na powrót normalnego życia i na możliwość wygodnego przejazdu *sleepingiem* *via* Berlin, pani Benigna miała już teraz jedną troskę: czy wystarczy gotówki na przetrzymanie.

Dawno już obiegła wszystkie możliwe konsulaty, wydreptała, wydusiła, skąd tylko mogła, najrozmaitsze „pożyczki“. Jako odciętej od kraju „ruskiej poddanej“ — wypłacono jej zapomogi zwrotne na podróż, na wyżywienie, na uregulowanie rachunków. O posiadanych przez siebie dolarach nie pisnęła przezornie ani słowa... To też w początku wojny miała więcej pieniędzy, niż ich przywiozła do Francji.

Codziennie zrana i codziennie wieczorem przeliczała swe kapitały, mieszczące się w dużej irchowej torbie, starannie pozapinanej agrafkami. Podczas dnia torba mieściła się w najbliższej styczności z tak zwanym „dołkiem“, w nocy zaś — leżała pod poduszką.

Zapobiegliwość wdowy po dwóch mężach (każdy zostawił jej pokaźną fortunę) uwydatniła się również w ograniczeniu skali życia. Z pierwszorzędnego hotelu w okolicy *Bulwaru des Italiens*, zaskoczona przez wojnę *etranżerka* prze-

niosła się razem z Anią na lewy brzeg Sekwany, gdzie było znacznie mniej komfortu, ale za to gruba różnica w cenach.

Emigrowały jeszcze kilkakrotnie (wojna nie myślała się kończyć) do coraz tańszych hotelików, do coraz skromniejszych „pensjonatów“, aż w końcu przemyślna dama odnajęła pokój od jakichś przypadkowo napotkanych znajomych, których syn poszedł do wojska. Za pokój płaciła śmieszne poprostu „sous'y“ (któżby miał serce ciągnąć zyski z słabej i bezbronnej kobiety, pozostającej na bruku w obcym kraju?) Żywność kupowała codziennie sama i pitrasila na maszynie „ekonomiczne“ obiady. Zapał oszczędzania ogarnął ją do tego stopnia, że pewnego razu w gorzkich słowach wymówiła Ani kupno grzebienia; czyż nie można w tych ciężkich czasach poprzestać na starym, choćby miał conajmniej połowę zębów złamanych?

Irchowa torba chudła zatem bardzo powoli, prawie nie zmieniała swych kształtów, ale i dni przechodziły szybko; przechodziły całe tygodnie, a o likwidacji tego straszego kataklizmu jakoś coraz mniej pewnie wspominalo.

Ania, zmuszona do przebywania w towarzystwie pani Benigny przez trzy czwarte doby conajmniej, — wpadła poprostu w rozpacz. Słuchając utyskiwań na drożyznę, codzien zrana zagabywała natarczywie:



— Proszę pani, możeby jednak spróbować wracać przez Bergen?

— Gdzie jest Bergen? — pytała pani Mystkowska, porając się z licznymi węzłami, ochraniającymi jej „kasę“.

— W Norwegji, proszę pani, w Norwegji! To tylko krótka podróż statkiem, a potem — przez Szwecję i Finlandję już zupełnie bezpiecznie do Petersburga. Tyle znajomych osób pojechało tamtędy!

— Na morzu pływają teraz miny, które ci barbarzyńcy porozmieszczali, jak pułapki na ludzi. Cztery statki wyleciały niedawno w powietrze! — odpowiadała wdowa, która z obawy przed nieszczęśliwemi wypadkami nie miała zaufania nawet do kolei żelaznej, nie mówiąc już o samochodach.

Ania myślała w duchu, że miny nie pływają chyba po morzu tak gęsto, jak oka w rosole, sporządzanym przez kucharkę z Kątów i że istnieje duże prawdopodobieństwo prześlizgnięcia się między niemi szczęśliwie. Ale cóż było robić? Pani Benigna miała prawo decyzji, a co ważniejsze, w jej rękach spoczywały fundusze obu podróźniczek.

W tajemnicy przed wdową Ania posiadała jednak trochę własnych pieniędzy, które teraz wydawała oględniej, zachowując je na czarną — jeszcze czarniejszą niż obecna — godzinę. W dniu

wyjazdu otrzymała od dziadka lśniący, nowy papierek: całe sto rubli! Dziadzio wydawał się bardzo zmieszany tym hojnym darem. Wciskając pieniądze w rękę dziewczyny, powiedział z oczami utkwionymi w drzwi, które mogły lada chwila otworzyć się przed jego żoną:

— To dla ciebie, kochanko. Schowaj dobrze! Niedługo wypadają twoje imieniny... Nie będziesz z nami w tym dniu... Tylko pamiętaj, duszko, szanuj pieniądze, bo to duża suma i może ci się przydać, gdy będziesz tak daleko!

Drogi, kochany staruszek! Ania postanowiła wtedy kupić dla dziadzi tam, zagranicą, wspomniały jakiś upominek.

Po przyjeździe do Vichy zmieniła sturublówkę w hotelu. Ten sam usłużny urzędnik z „repcji“ sprzedał jej całą serję kart z widokami, oraz mnóstwo znaczków pocztowych. Na widokówkach ponakreślała strzałki z dopiskami: „tu byłam“ — „to jest bardzo ładne“ — „tu *nacynnie poważne* pija wody“ — „tam się wybieramy pojutrze z panią Mystkowską i z jednym księdzem który także jest z Polski“ — wpakowała to wszystko do koperty i wysłała pod adresem Karola. Zabawnie było wypisywać dużemi literami na kopercie: „Monsieur Charles de Boreysza, lieutenant..“

Przed wybuchem wojny otrzymała od niego jeden tylko list, ale za to bardzo długi, bardzo

źle napisany i zanadto „poufały“ — jak jej się wówczas wydało. Zaczynał się od słów:

*„...Niech ci święty Symforjusz błogosławi, a święty Bonifacy natchnie dobrimi myślami o mizernej osobie niżej podpisanego, który sypia na pryczy, jak prosty żołnierz, cały dzień spędza na manewrach, a te słowa kreśli przy świeczce. z której kapie stearyna prawie tak obficie, jak z serca tęsknota ku Tobie, moja ty nieczuła i obojętna, a mimo to arcy-kochana kuzyneczko!“*

Dalej mnożyły się humorystyczne opisy garnizonowego życia, karykatury żołnierzy, oficerów-kolegów i oficerów-zwierzchników, a na zakończenie znów czule epitafjum:

*„Gdybyś ty miała troszkę serca dla mnie, oderwałabyś na chwilę wzrok od okna wagonu, lub zielonego sakwojażu pani Benigny, a pomyślała rzewnie: oto gdzieś hen, daleko, w bardzo podłem mieście, na bardzo podłym tapczanie siedzi w tej chwili smutny wojak, którego jedyną odznaką wiernej służby jest nieustająca pamięć o Tobie, jako też cierpliwość w wyczekiwaniu łaskawej odmiiany Twych uczuć — która to cierpliwość nie pozostanie chyba bez nagrody na tym padole. Twój kochający Cię niezmiennie dotychczas, a zapewne i nadal — Karol“.*

Anię bardzo rozśmieszył a trochę i rozbroił ten list. Pomyślała, że to jednak przyjemnie mieć od danego sobie „z kośćcami“ przyjaciela, który nie jest wymagający i zadawała się każdym okruczem, rzuconym łaskawie z oddalenia. Postanowiła więc, poza serją pocztówek, przesłać mu obszerniejszy list z opisem, jakie ona tu nadzwyczajne widzi rzeczy, jak się tą „zagranicą“ upaja — i że do kraju tęskni, ale tylko trochę, a o Karolu owszem, myśli czasami i bardzo mu współczuje.

Ten list nie został nigdy napisany. Początkowo zwlekała z odpowiedzią, aby sobie nie wyobrażał, że jej na tej korespondencji zależy. Mężczyźni są tacy zarozumiali! Zanim ułożyła w myślach misterną i pełną ważkich sentencji epistolę, minęło parę tygodni, a potem — opuściła Vichy tak nagle!

Z początku Ania wyobrażała sobie wszystko w najczarniejszych kolorach. Zdawało jej się, że ta wojna ogarnęła płomieniem cały świat, a więc i Kąty. Widziała w gorączkowych snach podwórze pełne wojska, dom zrabowany, dziadzia, babcię i wszystkich domowników wziętych w niewolę. Pierwszym odruchem jej serca było pragnienie natychmiastowego powrotu, żeby w takiej ciężkiej chwili znaleźć się razem z nimi, razem znosić niebezpieczeństwa, narażać swoje życie...

Ale pani Mystkowska, zdecydowawszy się przeczekać zawieruchę we Francji, uspokajała zapłakaną pupilkę, tłumacząc, że tam nic nikomu nie grozi. Siedzą sobie w tych Kątach, jak u Pana Boga za piecem:

— O nich się nawet nie otrze ta cała wojna, podczas, gdy my...

Tu wdowa załamywała ręce gestem zrezygnowanej ofiary, oddając w patetycznych słowach siebie, Anię i wszystkie swoje pieniężne zasoby — opiece Opatrzności.

Poglądy pani Mystkowskiej na wielki przewrót dziejowy kształtowały się naogół dosyć egocentrycznie. W najcięższych tygodniach, gdy miastu zagrażało poważnie niebezpieczeństwo, uczuła nagłą niechęć do swych ulubieńców — Francuzów:

— Jak oni mogli pozwolić, żeby nieprzyjaciel wdarł się w głąb kraju? Powinni go powstrzymać, odeprzeć! Cóż to za lekkomyślny naród! I widocznie wcale nie taki waleczny!

— Dobrze jej krytykować — myślała Ania. — Siedzi w mieszkaniu, nosa na świat boży nie wytknie i jeszcze na wszystkich narzeka! Niechby tak spróbowała pomaszerować do okopów, gdzie napewno niema dywanika przed łóżkiem, ani ciepłej pierzynki na nogi!

Po zwycięstwie nad Marną, gdy nerwy pani Benigny uspokoiły się nieco, Ania wywalczyła

sobie prawo wychodzenia na miasto bez opieki. Wałęsając się po ulicach, widziała często oddziały wojska, całe pułki, maszerujące w takt pieśni. Myślała ze zdumieniem:

— Ci ludzie idą na śmierć! Ilu z nich wcale nie wróci z tej wojny? To okropność... A oni jeszcze mogą śpiewać!

Pewnego razu na skrzyżowaniu ulic spotkała jakiegoś oficera. Był tak ładząco podobny do Karola (cokolwiek tylko niższy), że Ania stanęła, jak wryta, wskutek czego wojskowy, śpieszący widać bardzo, potracił ją. Zatrzymał się natychmiast, zasalutował:

— Oh, pardon, mademoiselle...

Powiedział to z prześlicznym uśmiechem, a czarne jego oczy (zupełnie oczy Karola!) popatrzyły przyjaźnie na osłupiałą dziewczynę.

Popelniła ogromny nietakt — w mniemaniu pani Benigny było to szczytem złego wychowania: — odwróciła głowę, gdy odszedł. Oficer zrobił to samo. Spojrzenia ich znów się spotkały na przeciąg jednej sekundy.

Wówczas Ania uprzytomniła sobie po raz pierwszy, że Karol także jest oficerem. Może posłali go na front? Może i jemu grozi niebezpieczeństwo życia?

Ale medytacje te nie trwały długo, bo w chwilę potem duże, kolorowe litery plakatu przykuły całą uwagę dziewczyny. Zdaleka widniało na-

zwisko: Ugo Bertini. Plakat obwieszczał o przybyciu sławnego tenora, który w przejeździe przez Francję da jeden, jedyny koncert na wdowy po poległych etc. etc...

— Ugo Bertini! Ugo Bertini! — sylabizowała Ania półgłosem, nie wierząc własnym oczom.

Ugo Bertini — to przecież mąż mamusi! Czy mógł być drugi słynny śpiewak tego samego nazwiska?

Olśniewające myśli przebiegały przez mózg, jak błyskawice: Ugo Bertini w Paryżu? A więc i matka także! Mamusia! Gdzie oni są? Jak ich odszukać teraz, zaraz...

W pierwszej chwili chciała wracać do domu, zwierzyć się pani Mystkowskiej z niespodziewanego odkrycia. Ale odrzuciła natychmiast ten projekt. Kto wie, czy opiekunka życzy sobie spotkania z Anną Bertini, która jest na indeksie w Kątach? Jednakże trzeba ją odnaleźć, trzeba ją odszukać natychmiast!

Ania szła przed siebie, jak lunatyczka. Gdyby stu oficerów z czarnymi oczami kłaniało jej się teraz, napewno nie spostrzegłaby tego. Natomiast w jakiejś chwili złożony napis wyskoczył z muru wprost na nią i niemal krzyknął głośno: Hôtel de Normandie! I jednocześnie zaświtała w głowie myśl tak logiczna, tak prosta:

— Przecież mamusia mieszka napewno w hotelu!

Instynktownie raczej, niż w wyniku tego rozumowania weszła do hall'u. Portjer poskoczył ku niej natychmiast:

— Vous désirez, mademoiselle?

Spytała, czy może zatelefonować. Poprosiła o książkę adresową. Przewracała z pośpiechem stronicę, notując na karteczce nazwy pierwszorzędných hoteli; mamusia nie mogła przecież mieszkać w byle jakim: małżonka Ugona Bertini!

Potem — popełniła rzecz karygodną, marnotrawstwo, którego nie darowałyby jej nigdy pani Mystkowska: — wzięła *taxi* i poczęła objeżdżać hotele, w których, według wszelkiego prawdopodobieństwa, mógł się zatrzymać sławny tenor. Po dwóch może godzinach — taksometr nielitościwie wystukiwał groźne cyferki — po bezowocnych zapytaniach, gdy już niemal straciła nadzieję i apatycznie wymieniała nazwisko poszukiwanych — otrzymała odpowiedź:

— Bertini? Mais oui, mais oui! pierwsze piętro, numer czternasty, piętnasty.

Wtedy Ania uczuła nagły odpyływ energii. Jak gdyby opuściły ją wszystkie siły. Oparła się plecami o jakiś filar, przymknęła oczy. Gdy po chwili otworzyła je — spotkała pytający, badawczy wzrok portjera. Z trudem zebrała myśli, przypomniawszy sobie, po co tu przyszła — i że należy zapłacić samochód.



Tych kilkanaście sekund, gdy szofer odliczał resztę, pozwoliło jej przyjść do równowagi. Lekkim i pewnym krokiem weszła na piętro — numer czternasty znajdował się wprost schodów.

Serce jej biło mocno, gdy zastukała trzykrotnie. W numerze panowała cisza. Ania ponowila stukanie, zdawało jej się, że usłyszała jakiś szmer... Bezwiednie nacisnęła klamkę — drzwi uchylily się z lekkim skrzypnięciem.

W smudze światła, padającej od okna, Ania spostrzegła drobną, czarnowłosą kobietę. Nakładła właśnie kapelusz przed lustrem. Ale to nie była mamusia. Ktoś niewidzialny krzyknął z głębi pokoju:

— Qui est la?

Jednocześnie dał się słyszeć szmer odsuwanego krzesła. Ten sam silny głos męski dorzucił tonem zniecierpliwionym:

— Mais entrez donc!

— Przepraszam — rzekła Ania po francusku — to pomyłka. Proszę wybaczyć.

Usłyszała szybkie kroki i nim zdążyła odejść, szpakowaty mężczyzna otworzył drzwi sąsiedniego numeru. Przypatrywał się dość arogancko młodej panie, która powtórzyła z pośpiechem:

— Przepraszam pana. Widocznie źle mię poinformowano.

Tym razem drzwi zatrzasnęły się dość gwałtownie, przecinając ostatnią sylabę przekleń-

stwa, wypowiedzianego w języku włoskim. — A więc to był jednak Ugo Bertini! — myślała Ania, schodząc wolno z głową spuszczoną. — Lecz kim jest w takim razie ta obca, czarna pani?

Matkę знаła zbyt dobrze z fotografii. Niepodobna się tak omylić. Teraz jednak czyniła sobie wyrzuty: trzeba było zapytać, lub wymienić swoje nazwisko... Zna je chyba ten pan.

Na skrócie schodów otarła się niemal o ramię jakiejś pani w kostjumie nieco przesadnie modnym. Z pod liljowego toczka tej damy wymykały się loczki jasno-złote. Nieznajoma zwróciła do niej młodą jeszcze, różową, ale dziwnie zmęczoną twarz. Taki wyraz miewa czasem kobieta po całonocnym balu, gdy już światło dnia walczy zwycięsko ze sztucznem, gdy już niema się do kogo uśmiechać, a jako jedyny świadek minionych godzin zabawy — pozostało znużenie... Ta twarz, ta droga twarz, osypana różowym pudrem! Ileż to lat majaczyła w dziecinnej pamięci, trochę podobna do sennej zjawy, a teraz wskrzeszona raptownie, żywa, żywa! Z oczu Ani strzelił radosny błysk, zanim usta zdolały przemówić:

— Madame Bertini?

Jasnowłosa pani drgnęła i zatrzymała się z ręką na poręczy. W sercu Ani była już *pewność*. Tak, to ona, to jej mamusia z fotografii! To samo pochylenie głowy, ten sam gest... Trochę

tylko starsza, trochę szczuplejsza, ale przecież ta-sama!

— Permettez, madame... Je suis Anna Gołębiowska...

— Ania! — krzyknęła pani w toczku.

Ramiona ich splotły się ze sobą. Zanim obie zdołały zadać sobie pierwsze pytania, wyplakać się, wyśmiać ze szczęścia, powtarzać niedowierzająco, w olśnieniu: „to ty, dziecino? — to ty, mamusiu?” — trzymały się, tuliły mocno w objęciach. Głowa pani Anety, niższej od córki, pachniała l'origanem tuż przy jej nozdrzach; ręce zaciśnięte na plecach, drżały. Pod kostjumem od pierwszorzędnego krawca i pod bluzką, uszytą przez Teresę w Kątach, stukwały mocno dwa serca, oddalone od siebie przez tyle, tyle lat!

Mały lift-boy, nudzący się śmiertelnie na machoniowej ławeczce koło windy, przetaił oczy i podniósł głowę. Dwie kobiety mówiły teraz obcym językiem, jednocześnie. Pytanie odpowiadało na pytanie, odpowiedzi krzyżowały się z sobą w powietrzu.

„Skąd się tu wzięłaś? Jakaś ty duża! Nie myślałam, żeś taka duża! Aniu moja! Mamusiu! Mamusiu!”

Drobna, czarnowłosa pani z numeru czternastego prześlizgnęła się obok nich, niedostrzeżona. Anna Bertini rzuciła jej przelotne, obojętne spoj-

rzenie. Cały świat nie istniał dla niej w tej chwili: widziała tylko córkę.

— I pomyśleć, że mogliśmy się rozminąć w tem wielkiem mieście! Ugo chciał jechać wprost do Rzymu! Jak ty nas odnalazłaś? Dziecino moja, dziecino...

Ania nawet nie zdążyła odpowiedzieć; matka pytała dalej nerwowo, tuląc jej ręce:

— Byłaś na górze? Widziałas go? Poznaliście się, prawda?

Miała ochotę skłamać, nie rozumiejąc, czemu... Powiedzieć, że nie była na górze... Ale pani Bertini mówiła gorączkowo, szukając śpiesznie w pamięci słów, których nie miała do kogo zwracać na obczyźnie:

— Przyjechaliśmy z Ameryki. Wielkie niebezpieczeństwo teraz, na morzu. Ciągłe burze i te... miny, wiesz? A przytem Ugo mocno chorował. Jesteśmy w Paryżu od tygodnia. Ugo ma koncert pojutrze... O Dio mio! Gdybym nie namówiła go, aby został...

Nagle pociągnęła Anię za rękę:

— Chodźmy prędko. On jest na górze. Widziałam na tablicy klucz. Córuś moja, córeczko! Boże mój, Boże! Całe piętnaście lat!

Biegła po schodach, jak młoda panienka. Wpadła do numeru, wołając głosem zdyszczanym:

— Ugo! Ugo! Ugo!

Z sąsiedniego pokoju ten sam silny głos wymamrotał coś opryskliwie.

— Ugo! — krzyknęła matka Ani i dodała po włosku: — mia figlia e qui!

Szpakowaty kolos wyłonił się z poza portjery. Rzuciła się ku niemu. Drobnemi, lalczynemi rękami wpila się w ramiona jego marynarki. Szarpała bury szewiot, powtarzając niecierpliwie, w najwyższem podnieceniu:

— E mia figlia! Capisce? E mia figlia, Ania!

. . . . .

Pani Mystkowska krążyła po ciasnym pokoiku, jak lwica w klatce. Na każdy odgłos kroków zdenerwowana dama zatrzymywała się w pozie pełnej dramatycznego wyrazu. Dochodziła siódma — siódma! Ania zaś wyszła przed obiadem „przejsć się trochę“. Nigdy jeszcze samowolna dziewczyna nie odważyła się na tylogodzinną nieobecność. Naogół te samotne wędrówki po mieście pani Benigna tolerowała z westchnieniem, jako nieuniknione zło... trudno młodą pannę przywiązać do fotela na sznurku! Spacerowały przynajmniej jedną dobrą stroną: nie kosztowały ani sous'a. Jednak tym razem Ania przekroczyła mocno granice dozwolone.

— Kwadrans po siódmej! — jęknęła wdowa, słysząc znów stąpanie po schodach.

Tym razem była to Ania.

— Trzeba nie mieć sumienia... — ozwała się pani Mystkowska, wytrzymawszy długą i efektywną pauzę.

Panna Gołębiowska, zdjawszy kapelusz, najspokojniej ściągała rękawiczki. Na zrządzenie była przygotowana. Czekaając, aż minie pierwszy impet wymówek, gryzła usta, a oczy jej się śmiały.

— Co ja przeżyłam! — uskarżała się teraz starsza dama, widząc, że poprzedni wykrzyknik nie uczynił należytego wrażenia. — Myślałam, że ci się przytrafiło nieszczęście, porwano cię, lub wpadłaś pod samochód! Sześć godzin poza domem! Sześć godzin poza domem bez uprzedzenia mnie! W czasach, gdy na miasto padają bomby... Gdzie ty byłaś, dziewczyno? Skąd wracasz?

Każdego innego dnia Ania wyśmiewałaby się w duchu z obaw swej opiekunki. Teraz jednak wykrzyknęła radośnie:

— Skąd wracam proszę pani? Od mojej mamy!

— Od kogo?

Gdyby oznajmiła: wracam z tamtego świata — w głosie wdowy nie brzmiałoby większe zdumienie.. Pani Mystkowska miała w tej chwili oczy okrągłe, jak nikłowe pieniądze i patrzyła niemi na Anię tak niedowierzająco, że trzeba było czempnąć, w kilku słowach opowiedzieć cudowną przygodę dzisiejszą.

— Rozumie pani chyba, że mogłam zapo-

mnieć o czasie, o wojnie, o całym świecie... Jeszcze teraz, gdy sobie przypomnę, że jeślibym dzisiaj nie szła przez Quai Voltaire...

— Co robiłaś na Quai Voltaire? — inkwizytorsko, z przyzwyczajenia wtrąciła pani Benigna, która wreszcie zdążyła złapać oddech.

— Co robiłam? — Ania miała ochotę wzruszyć ramionami, ale przypomniała sobie, że „naczenie poważne“ nie znosi tak prostackich manier. — Nic, proszę pani. Przechodziłam tamtędy. Gdybym sama wiedziała, dlaczego! Myślę, że to właśnie był palec losu. Na Quai Voltaire przeczytałam ten afisz...

Opisała obszernie swoje poszukiwania, wędrówkę po hotelach, spotkanie z matką. Zataiła tylko sumę dziewiętnastu franków sześćdziesięciu centimów, wydanych na taksówkę. W końcu wyjęła z torebki dwa bilety na koncert Ugone Bertini, który będzie śpiewał pojutrze. Pójdą obie z panią Benigną. A za godzinę matka przyjedzie tutaj, aby ją zabrać na kolację.

Spojrzała na zegarek, zbliżyła go do ucha:

— Jeszcze dwadzieścia pięć minut! — westchnęła. — A może pani wybierze się z nami? Będzie tylko mamusia, no i mój ojczym...

— Ja miałabym? — zaczęła wdowa i umilkła. Chciała powiedzieć: „nigdy nie siedziałam przy stole w podobnym towarzystwie“. W porę przypomniała sobie, że to trochę za ostro. „Ta osoba“

jest bądźcobądź rodzoną matką Ani. Odparła więc wymijająco:

— Dziękuję ci. Wolę wcześniej położyć się do łóżka.

Przebierając się w najlepszą swoją suknię (błękitno-szara popelina z koronkowym kołnierzem) Ania trajkotała bez przerwy. Mniejsza o to, że słuchaczką była osoba tak uczuciowo skostniała, jak wykopalisko z epoki dyluwialnej. Musiała się przed kimś wywnętrzyć. Po raz pierwszy od wielu lat mogła nareszcie mówić swobodnie o matce. Spędziły razem kilka godzin. Ugo Bertini ulotnił się, a one zaledwie to spostrzegły! Tyle było do omówienia! Tyle wycieczek w przeszłość, w przyszłość — że na terażniejszość nie pozostało już miejsca. Dopiero gęstniejący zmierzch przypomniał Ani panią Mystkowską.

— Zerwałam się, jak oparzona! — kończyła, zapinając ostatnie haftki. — Mamusia chciała mię koniecznie zatrzymać, a panią zawiadomić listownie... Ale ostatecznie umówiliśmy się za godzinę na dole...

Znowu spojrzała na zegarek.

— Jeszcze dziesięć minut. Lepiej zejść i zaczekam w bramie. A nuż mamusia zjawi się wcześniej?

Pani Benigna czuła, że grunt jej się z pod nóg usuwa. Trzeba było zaprotestować przeciw tej nocnej wyprawie... wyrazić swoje niezadowole-



nie... może wspomnieć o babce, która napewno nie byłaby uszczęśliwiona z takiego obrotu spraw; obawiała się jednak, że Ania tym razem wyłamie się z rygoru, nie usłucha — co naraziłoby niewątpliwie na szwank autorytet „duenji“.

Rzekła więc tylko z cierpkim wyrazem twarzy:

— Proszę cię, zachowuj się cicho, gdy wrócisz, bo pewno wrócisz późno. Wogóle należałoby może to spotkanie odłożyć do jutra...

Machnęła ręką.

— Zresztą, rób co chcesz. Skoro twoja matka tu jest, ja przestaję ponosić odpowiedzialność...

— Jest! Jest! — krzyknęła Ania, nadśluchując. — Dobrze, proszę pani! Wejdę tak cicho, że napewno pani nie zbudzę!

Cmoknęła w powietrzu pulchną rękę wdowy i jak huragan zbiegła ze schodów.

Pani Aneta czekała w samochodzie. Powitały się znów, jak po długim rozstaniu. Przytulone do siebie, gawędziły podczas jazdy urywanymi zdaniem, które co chwila gasły w nowych radosnych pocałunkach.

— Jakaś ty śliczna, mamusiu — rzekła raptownie Ania. — Jakaś ty śliczna i młoda! Jak ci pięknie w tym płaszczu!

— Doprawdy? A wiesz, Ugo także go lubi. Twierdzi, że mnie najlepiej w ciemnych bronzowych kolorach. Czy naprawdę dobrze jeszcze wy-

glądam, dziecino? Bo jednak... często wydaje mi się, że mocno postarzałam tego roku...

Lekko uróżowane usta drgnęły w bolesnym skurczu. W lekko podcieniowanych oczach mignął na chwilę ten sam wyraz, jaki miała wtedy, na schodach. Szepnęła nawpół do siebie:

— Cóż dziwnego? Ten czas tak leci... I tyle miałam zgrzyzot w ostatnich latach...

Potrząsnęła głową, jakby pragnąc odpędzić natrętne, gorzkie myśli. Uśmiechnęła się.

— Wiesz — zaczęła po chwili z cokolwiek sztucznym ożywieniem, — Ugo jest tobą poprostu zachwycony! On także nie przypuszczał, że z ciebie taka duża panna wyrosła! Pytał mnie nawet, ile ty właściwie masz lat, chociaż wie równie dobrze, jak ja...

Znów mgielka smutku w oczach. I zaraz innym, jaśniejszym głosem:

— Spotkamy się z nim za chwilę. Zobaczysz, jaki on miły. Bo ty go przecież nie znasz. Czasem wydaje się nieco szorstki, niecierpliwy i bezwzględny... Ale to takie zrozumiałe: artysta! Pomyśl, ta wieczna trema, to życie pełne wzruszeń, ciągłych przeskoków, niespokojne, szarpiące nerwy! Pojutrze znów ten koncert... Prawie żałuję, że mu nie odradziłam. Żebyś wiedziała, jaki on jest przedtem zdenerwowany! I to stale, przed każdym występem... Będiesz dla niego wyrozumiała, prawda, córeczko? Nie miej do niego żalu,

choćby... choćby nie okazał się zbyt uprzejmy względem ciebie i mnie... Potem to minie. Żebyś wiedziała, jak on potrafi być zachwycający, gdy jest w dobrym nastroju! Cały świat szaleje za jego śpiewem, a kobiety szaleją za nim samym! Teraz, w Ameryce Ugo był poprostu rozrywany. Pomimo wyjątkowych warunków, mimo że ludzie myślą i mówią tylko o wojnie, miał zawsze salę przepelnioną i owacje kwiatowe. W Bostonie, który jest jednym z najbardziej umuzykalnionych miast w Stanach Zjednoczonych, wyniesiono go poprostu na rękach. To też Ugo wpadł w wyśmienity humor. Kupił mi właśnie wtedy ten płaszcz, który mam dziś na sobie, przez cały tydzień ani razu się nawet nie zachmurzył... Żył ciągle wspomnieniami tego wspaniałego wieczoru. Zresztą Ugo jest naprawdę wielkim artystą. Przekonasz się sama, gdy go pojutrze usłyszysz. W tym wieku (choć nie jest jeszcze stary) zachować taką młodzieńczą czystość głosu, to do prawdy zdumiewające...

Ugo, Ugo, Ugo! To imię nie schodziło prawie z ust Anny Bertini. Powracało, jak refren, wibrowało we wszystkich uczuciowych tonacjach, dźwięczało jako motto do coraz nowych zwierzeń, opowieści, wyjaśnień.

Ania przyglądała się matce z serdeczną ciekawością. W blasku mijanych świateł ulicznych śledziła grę jej twarzy, tę niesłychaną szybkość

zmian od radości do smutku, od zapału do rezygnacji. Gdy auto stanęło przed *Café de Paris*, gdy przechodziły przez salę, podziwiała niezwykłą harmonijność ruchów, sposób trzymania głowy, suknię i uczesanie tej kobiety, na którą zresztą zwracały się wszystkie oczy. „Mamusia“ szła swobodnie, rozglądając się w prawo i w lewo, ale tak jakoś dyskretnie to czyniła, że zdawała się nie dostrzegać nikogo i nic poza wolnym stolikiem, do którego właśnie zmierzały. Kelnerowi kazała zastawić trzy nakrycia i przeglądając kartę, dalej informowała Anię półgłosem, że Ugo może spóźnić się parę minut, ale z pewnością lada chwila nadejdzie.

Jadły przekąski, uśmiechały się do siebie poprzez szerokość dzielącego je stołu i gawędziły dalej. Czasem któryś z uśmiechów pani Anety nie zatrzymywał się na twarzy Ani, tylko biegł przez salę, rozjaśniał się, napotkawszy spojrzenia, pełne zachwyty i gasł dopiero przy drzwiach wejściowych, gdzie coraz inni goście pojawiali się i znikali, ale żaden z ich nie był Ugonem Bertini.

W miarę upływających minut — uśmiechy mamusi stawały się coraz rzadsze i coraz krótsze, a piękne, nieznacznie tylko ołówkiem podkreślone oczy — coraz niespokojniejsze spojrzenia rzucały w kierunku drzwi.

— Widocznie coś ważnego musiało go zatrzy-

mać — odezwała się wreszcie głosem zdławionym. — Ale nadejdzie zaraz. Umówiliśmy się przecież dokładnie co do godziny i miejsca.

Minęło jeszcze kilka minut — i jeszcze kilkanaście. Ania, którą przestało interesować otoczenie, złożone zresztą w przeważającej liczbie z wojskowych, — zauważyła nagle, że twarz matki zszarzała i przybladła. Śliczna, urocza i tak przed chwilą niesamowicie młoda Anna Bertini czyniła teraz wrażenie osoby, której z każdą upływającą minutą przybywa conajmniej rok życia. Zdumiewająco szybko zmatowiały wilgotne, szafirowe połyski w oczach. Około ust, drgających i stulonych jakby do płaczu, — zarysowały się dwie cienkie brózdki. Pod dolną powieką utworzył się cień głęboki i ostry. Nawet na drobnych, nerwowo nad stołem zaciśniętych dłoniach pojawiły się żyłki błękitnawe. Nie uśmiechała się już wcale, nie patrzyła prawie na córkę, ustawicznie tylko zwracała głowę w tę stronę, gdzie powinien był się pojawić oczekiwany przybysz, który jednakże nie nadchodził.

Natomiast w pewnej chwili zjawił się kelner i podając list, rzekł wahająco, jak poprzednio Ania w hotelu:

— Madame Bertini?

Pani Aneta nerwowem szarpnięciem rozerwała kopertę, przebiegła pismo wzrokiem, a świadomość jej tak szybko ogarnęła treść tych paru

wierszy, skreślonych ołówkiem, że jednocześnie prawie rozległ się chrzęst zgniecionego gwałtownie bileciku i głos, pełen bezsilnej rozpacz:

— A, lotr!

— Co się stało, mamusiu? — spytała prawie szeptem Ania. Matka była tak blada i miała taki wyraz oczu, że dziewczynę ogarnął nagły lęk. Może w liście była jakaś okropna wiadomość? Może stało się wielkie jakieś nieszczęście?

— Nic, nic — odparła pani Bertini i nagle zwróciła się do kelnera z rozkazem tak głośno wypowiedzianym po francusku, że kilka osób przy sąsiednich stolikach popatrzyło ciekawie w ich stronę:

— Proszę zdjąć trzecie nakrycie. Już niepotrzebne. Proszę podać deser i rachunek. Prędko, prędko!

Po wyrazistej twarzy przebiegała teraz cała burza uczuć. Łzy walczyły zaciekle z resztkami woli, która nakazywała zdławić w sobie wybuch płaczu, zachować spokój, tak, przedewszystkiem spokój i takt w obecności córki i tyłu obcych ludzi. Jednakże nie zdołała powstrzymać potoku słów, tych strasznych, gorzkich, bolesnych słów, które w duszy Ani wyłobily pierwszą naprawdę niezatartą brózdę:

— Wiedziałam! Czulam, że tak będzie! Skorzystał ze sposobności! Wszystko sobie zgóry ułożył! Ach, nikczemnik! Wiedział, że będą z tobą, liczył

na to, że nie mogę go śledzić, szukać... Obmyślił doskonale swój plan... Co to za człowiek! Boże, co to za człowiek! I ja go ciągle Kocham, Kocham, ko...

Urwała, przytomniejąc nagle i spojrzała na córkę. Ania siedziała sztywno, wpatrzona w dłoń matczyną, która ciągle ścisnęła kurczowo nie-szczęsną ćwiartkę papieru. Nie zdawała sobie dokładnie sprawy z treści słów, czuła tylko, że ta biedna mamusia jest w tej chwili nad wyraz zbiedzona i że bezwiednie odsłoniła przed nią maleńki rąbek tajemnicy, kryjącej jakieś dziwne powikłania życiowe i kto wie — jak głęboką przepaść nieszczęścia?

Nie śmiała spojrzeć na matkę. Patrzyła tylko na jej rękę, mieszczącą w sobie jak gdyby symbol tych trosk, które sprawiły, że Anna Bertini ma czasem trzydzieści lat, czasem czterdzieści pięć — a czasem wogóle nie istnieje; wygląda jak ta kartka: były może na niej wypisane słowa wielkiej miłości, a ktoś je przebiegł oczami i potem zgniótl, przedarł i odrzucił daleko od siebie, jak wieść niepokojącą niemile i niepotrzebną.

---





ROZDZIAŁ VI.  
OCZY, KTÓRE DUŻO PŁAKAŁY.



Wydarzenia następowały po sobie z kinematograficzną szybkością. A więc najpierw te dwa dni, poprzedzające koncert. Dopiero znacznie później, w wiele miesięcy później, Ania zrozumiała, że owe dwa dni były niejako skondensowanym obrazem życia, jakie wiodła „mamusia“ u boku sławnego śpiewaka.

Wtedy — Ania była zanadto oszołomiona. Obiady i kolacje w restauracjach, wędrowki po wielkich magazynach, (trzeba było na gwałt sprawić najkonieczniejsze rzeczy, ponieważ odświętne stroje, szyte przez Teresę, a nawet szwaczkę w Warszawie, okazały się „nie do włożenia“) — a w międzyczasie tyle wzruszeń, obserwacji, tyle nowych twarzy, taki szumiący potok łez i uśmiechów, zachwyków i skarg — że dziewczyna nie zdołała ochłonąć po jednym, gdy nadchodziło drugie, — jeszcze dziwniejsze — i targało młodem sercem, jak silny wichur szarpie okno otwarte naościż.

W ciągu dnia, gdy gorączkowy stan rzeczy doszedł do punktu kulminacyjnego, Ugo Bertini był równie niewidzialny, jak poprzednio, z tą różnicą, że siedział od rana zamknięty w swoim numerze, robił inhalacje i łykał żółtka, przywołując od czasu do czasu żonę dla oznajmienia jej, że

chrypka wcale się nie zmniejsza i że pomysł tego koncertu powstał napewno za podszeptem diabelskim, a cała impreza skończy się wielkim skandalem i pogrzebem całej artystycznej kariery.

— Zobaczysz, będzie wszystko dobrze! Zobaczysz, mój najdroższy, że będzie wszystko dobrze! — pocieszała go pani Aneta po włosku, po francusku i po angielsku, bo ze zdenerwowania czy rozdrażnienia mieszały jej się wszystkie znane języki, któremi nauczyła się władać przez kilkanaście lat włóczęgi po świecie. Zanosila śpiewakowi nowe mikstury, skradała się na palcach, zamykając drzwi jaknajciszej i wybuchom niepokoju dawała folgę dopiero w obecności córki:

— Tak się boję! — łkała, tuląc ją w ramionach. — Może on się naprawdę źle czuje?

A po chwili mówiła już pogodniej:

— Ale on zwykle do ostatniej minuty jest taki. Dopiero gdy już wyjdzie na scenę...

Co kwandrans patrzyła na zegarek, wzdychając:

— Ach, żeby to już prędzej przeszło! Żeby już było po wszystkim! Dlaczego on się tak przejmuje tym koncertem? Jeszcze całe pięć godzin!

— Anna! — wołał tenor z drugiego pokoju głosem donośnym i dźwięcznym, mimo rzekomej chrypki.

Biegła tam copędzej, aby wysłuchać nowej porcji wyrzutów i najfantastyczniejszych pomy-

słów, — wracała z wypiekami na twarzy, przybita i niepewna:

— Odwołać koncert? Ale to przecież niemożliwe! To dopiero byłby prawdziwy skandal! Ja wiem, Ugo się uspokoi, wszystko pójdzie dobrze, jak zwykle... Ja wiem...

Potem raptownie przechodziła na inny temat, aby trochę rozerwać myśl:

— Czy ci tylko tę suknię na czas przyniosą? Musisz dziś dobrze wyglądać, Aniu! Musisz być śliczna! Będziemy siedziały razem w łoży; chciałabym, żeby cały świat powiedział...

Urywając w pół zdania, chwyciła córkę za rękę, pociągnęła ją w stronę lustra:

— Czy ty naprawdę jesteś do mnie podobna? Ugo twierdzi, że nie. Ja mam drobniejsze rysy. Powiedz mi, jak wyglądam? Czy bardzo źle? Powiedz mi zupełnie szczerze, błagam cię o to! Dzisiaj czuję się wyjątkowo brzydka i stara... Taka jestem zmęczona! Nie mogłam oka zmrużyć przez całą noc. Ugo zaczął się skarżyć wieczorem, że go coś w gardle drapie i oznajmił, że napewno nie będzie mógł śpiewać nazajutrz. A potem od samego rana gniewał się na mnie. Powiedział, że mi oczy podpuchły, że mam złą cerę... Powiedz, czy naprawdę wyglądam tak okropnie?

— Ależ ty jesteś śliczna, mamusi! — gorąco

zaprzeczyła Ania, całując jej policzki, pachnące kremem i pudrem.

Anna Bertini potrząsnęła głową z powątpiewaniem:

— Młodość! Co jabym dała za to, żeby mieć znowu dwadzieścia pięć lat, jak wtedy!

Ania wzięłaby z rozkoszą na swe ośmnastoletnie barki kilka tysięcy dni, które tak bardzo ciążyły biednej mamusi, ale to było przecież niemożliwe. Powtarzała więc tylko uparcie, z głębokim przeświadczeniem:

— Ty i tak nie wyglądasz na więcej. Jabym ci nigdy nie dała więcej, niż dwadzieścia pięć, albo trzydzieści lat!

— Naprawdę?

Matka uśmiechnęła się i pobiegła ku drzwiom, wołając:

— Ugo, wiesz? Ania twierdzi, że ja...

Ale zatrzymała się, wróciła na dawne miejsce, mówiąc nawpół do siebie:

— Chiara Bianotti nie ma trzydziestu lat. Ona ich nie ma *naprawdę*.

Klara Bianotti — była to czarnowłosa kobieta, która kładła kapelusz wówczas w numerze czternastym. Ta sama, która przyszła dwukrotnie w ciągu tego straszego dnia, potem przysłała jakieś lekarstwo, działające wprost cudotwórczo na struny głosowe, a potem — zjawiała się w poczekalni artystów, pierwsza wieszowała Ugonowi

olbrzymiego sukcesu i szepnęła mu w samo ucho, wspinając się na palce:

— Domani... Cinque ore... Nella mia casa...<sup>1)</sup>

— Si, si! — wołał zupełnie głośno, śmiał się rozpromieniony i przyjmował należne hołdy od całego szeregu osób, wśród których znaczną liczbę stanowiły kobiety.

Wtedy już — było po wszystkim. Uleciała gdzieś trema, odprężyły się nerwy, naciągnięte jak struny, aż do bólu. Z widowni dobiegało jeszcze echo oklasków i nawoływań. „Bis! Bis!“ ryczała wojskowo umundurowana galerja. Ugo Bertini wychodził wielokrotnie na estradę, kłaniał się, pokazywał na gardło, bezradnie rozkładał ręce, znowu się kłaniał i znikał za kotarą, gdzie w najciemniejszy kącik wtulona pani Aneta zarzucała mu ramiona na szyję, wołając głosem jeszcze pełnym radosnego wzburzenia:

— Widzisz? Wszystko jest dobrze! Oczarowałeś salę, Ugo! Byłeś nieporównany, mój najdroższy!

Coś jej odpowiedział z roztargnieniem, bo już napotykał dziesiątki par oczu skierowanych ku sobie, a wśród nich dwa czarne węgle, świecące czerwonym migotem źrenic nadmiernie rozszerzonych w tej atmosferze podniecenia i sławy, której koronę chyba stanowił wieczór dzisiejszy.

---

<sup>1)</sup> Jutro... piąta godzina... W moim domu...

— Wielki! Wspaniały! Nieporównany! — świergotały we wszystkich tonacjach głosiki mniej lub więcej dźwięczne. Ogromna orchidea znalazła się w butonierce artysty. Ręce, żądne *shake-hand'ów* z sławnym tenorem trzepotały się w powietrzu, jak ptaki.

Niezatrzymywana, niedostrzeżona przez nikogo, Ania wymknęła się z natłoczonego saloniku do szatni, gdzie oczekiwała na nią pani Mystkowska. Wiekowa dama po długich namowach i prośbach przyjęła wreszcie bilet w trzecim rzędzie i świeciła stamtąd garniturem koleczyków, wydobytych na tę okazję z irchowej torby — oraz szklami szylkretowego *face à main*, którem posługiwała się przez cały wieczór, nie odrywając go niemal od oczu.

Wdowa miała nad podziw łagodny wyraz twarzy, a ujrzawszy swą wychowanę, nie uczyniła nawet uwagi, tyczącej niestosowności stroju, (w tak młodym wieku jedwab, koronki i głębokie wycięcie) — tylko wycedziła nader łaskawym tonem kilka życzliwych uwag na temat dzisiejszego koncertu.

— To istotnie znakomity śpiewak. W arji z Toski był poprostu nieporównany. Takiego Cavaradossiego nie słyszałam, jak żyję — muszę to przyznać — choć miałam w życiu sposobność podziwiać niejedną europejską sławę.

Przez całą drogę powrotną analizowała walory



głosowe poszczególnych znanych sobie artystów, co pozwoliło Ani milczeć i przetrawiać wspomnienia tego wieczoru.

Na ciemnych, dość trzeszczących i stromych schodach pani Mystkowska zatrzymała się dla nabrania oddechu i oznajmiła uroczyście, że ostatecznie — poniekąd — można wybaczyć Anecie, gdyż czuwanie nad tak niepospolitym talentem i otaczanie go troskliwą opieką jest zaszczytną misją, złożoną w ręce kobiety przez Opatrzność i — poniekąd — usprawiedliwia nawet porzucenie domu i męża. Opatrzność, zdaniem wdowy, stawia na drodze artysty kobietę uczuciową i wrażliwą, która sercem ofiarnem... i tak dalej i tak dalej — aż do pierwszego piętra.

— Opatrzność! — podchwyciła w myśli Ania i czuła, że krew się w niej burzy. Czyżby Opatrzność zesłała również Klarę Bianotti i całą tę plejadę młodych i strojnych kobiet, aby czuwały nad talentem jej ojczyma?

Przypomniała sobie dokładnie chwilę, gdy Ugo Bertini zjawił się na estradzie. W obcisłym fraku zdawał się smuklejszy. Miał olśniewająco biały gors od koszuli i pewne siebie spojrzenie. Zanim odpowiedział ukłonem na rześiste oklaski, rozglądał się po sali, jakby szukając kogoś. Ania, która miała wzrok dobry, pogoniła oczyma tą samą drogą: wszędzie, gdzie bodaj na ćwierć sekundy zatrzymały się nieruchomo źrenice śpiewaka, sie-

działa jakaś dama, zarumieniona ze wzruszenia i uśmiechnięta. W momencie, gdy Ugo Bertini patrzył na nią, klaskała jeszcze zawzięciej, a usta poruszały się, wymawiając słowa, których treść musiała być w lot pochwycona i miła dla serca, bo artysta unosił nieco brwi i uśmiechał się już teraz *specjalnie* do tej pani, pomijając z chłodnym lekceważeniem resztę zebranych.

Najdłużej poruszały się usta i najmocniej błyszczały oczy Klary Bianotti, siedzącej w dalszych rzędach, ale widocznej na tle bezbarwnej ciżby ludzkiej, jak wielki, egzotyczny, fiołkowo-złoty kwiat. Uśmiechali się do siebie zupełnie jawnie i — według mniemania Ani — w jakiś szczególny sposób. Ta mimika niepokoiła i drażniła najwidoczniej mamusię, która nadaremnie usiłowała przed wyjściem z hotelu pokryć śmiertelną błądź twarzą warstewką rużu. Sztuczne rumieńce wyglądały chwilami jak dwa jaskrawe kółka wobec cieni, biegnących od skroni ku oczom i spływających wzdłuż linji nosa i ust aż na podbródek. Wargi pani Anety, również subtelnie powleczone karminem, straciły barwę, przygryzione aż do bólu w momencie, gdy jej spłoszone i półprzytomnie biegające oczy schwytały w przelocie tę niemą grę.

Takich spotkań wzrokowych, uśmiechów skrzyżowanych w powietrzu — Ania zauważyła sporo nawet podczas trwania koncertu. Śpiewak

brał jakąś wysoką nutę — i patrzył na fioletowe zjawisko w środku sali; przechodził w pianissimo — i przymkniętymi oczyma szukał Klary. Może tak było naprawdę, a może tylko imaginacja Ani snuła na tych niepewnych spostrzeżeniach wątle domysły. Niezdolna była odgadnąć całej prawdy, ale zaczęła wówczas pojmować — niejasno jeszcze i chwiejnie — dlaczego dusza mamusi była podobna do stawu w Starych Kątach. Staw był niewolniczo zależny od nieba; takim długim cieniem kładła się na jego powierzchnię każda przelotna chmurka, tak drżał od wiatru, taki się stawał szary i smutny w dżdżyste dni! Oczy mamusi bywały w słońcu szafirowe, wieczorem prawie czarne, a każda myśl i każde słowo, rzucone od niechcienia, odmieniało ich barwę w sposób szczególny.

Gdy Ugo Bertini śpiewał, błyszczały jak gwiazdy i zdawały się biedz naprzeciw, rozszczępiać każdą nutę na tysiące atomów dźwiękowych, całować je i pieścić. Każdy ruch głowy, każda zmiana pozycji — wywoływała w oczach mamusi całą gamę światła i cieni. Czasem wzrok mącił się, przygasał — a działo się to zawsze w związku z jakąś nutą mniej czystą i pełną od innych, albo z jakimś niepożądanym szelestem, łamiącym zaśłuchanie całej sali.

Ania patrzyła więcej na matkę, niż na znakomitego tenora. Podczas trwania koncertu łowiła

chciwie każdy przebłysk duszy matczynej, tej duszy, o której wiedziała tylko, że jest zbiedzona. Cóż mogły ważyć słowa, zamienione dotychczas? Dawały ledwie znikomy przedsmak jakichś poufnych i bardzo ważnych zwierzeń, które muszą nastąpić, jeśli odnalezienie wzajemne ma być zupełne. Przez krótki okres dwudniowego współżycia Ania zauważyła, że matka żywiłowo kocha ją i lgnie do niej, ale interesuje się i mówi najchętniej o wszystkim, co w jakikolwiek sposób ma styczność z imieniem Ugoną. W pierwszych chwilach nawet zrodził się w duszy dziewczyny jak gdyby lekki żal o to. Byłoby znacznie pogodniej w sercu i radośniej, gdyby padało więcej pytań: Jaka *ty* jesteś? Co myślisz, czujesz, co przeżyłaś? Otwórz mi swoje serce do dna. Powiedz mi wszystko o sobie, córeczko, przebiegnij ze mną razem daleką drogę lat minionych, wróć mi się cała, z najwcześniejszym dzieciństwem, z ocknieniem pierwszych myśli, ze światem, w którym żyłaś, z którego czerpałaś najpierwsze słodczye mądrych doświadczeń i gorycz rozczarowań!

Próbowała parokrotnie opowiadać o Starych Kątach, wspominała dziadka i babcię, w szereg bezładnych i szkicowych obrazków wplątywała Teresę i kształt jakiejś ulubionej jabłoni, imię jakiegoś dawno zastrzelonego psa i swoje własne poglądy na klasztorne metody wychowania.

Matka słuchała pilnie aż do chwili, gdy w jakiegokolwiek formie, realnej, czy też tylko myślowej, zjawiał się — Ugo. Wówczas mówiła:

— Ach, tak, kochanie. Opowiesz mi to później. Przecież nie rozstaniemy się już, prawda? Będziemy ciągle razem. Ale teraz...

I „teraz“ trzeba było załatwić jakąś sprawę, związaną z występem Ugona, albo kupić coś dla niego, albo przymierzyć suknię, której nie zdążył jeszcze widzieć i skrytykować.

Ania poczęła prawie nienawidzić tego człowieka. Był zanadto *wielki*, nietylko wzrostem. Zabrał zawiele miejsca w życiu matki. Brutalnie pousuwał z jej oczu i z jej serca wszystko, co nie miało ścisłego związku z jego wszechwładną osobą. Rzucał za mocny i za jaskrawy refleks na każdą myśl i czynność. Widziała w nim intruza, który nietylko wtargnął do rodzinnego domu Ani, zabierając jej matkę, jak swoją własność, ale nadal rozpychał się na każdym kroku, nie ustępował z drogi ani na cal i zawsze miał pierwszeństwo.

Jednak rozżalenie szybko ustąpiło miejsca ogromnemu współczuciu. Jakże bardzo, jakże gorąco pragnęłyby widzieć tę mamusię szczęśliwą przynajmniej i spokojną. Ale wybuchom krótkiej i naglej wesołości przeciwstawiły się równie nagle eksplozje, w których gorycz, przepelniająca serca, występowała z brzegów. Na taką właśnie chwilę

gwałtownej burzy trafiła Ania nazajutrz po koncercie, gdy koło trzeciej przyszła odwiedzić matkę.

Cały ranek musiała spędzić z panią Mystkowską, która obudziła się z jakąś fenomenalną migreną i narzekaniem na bliski atak wątrobiany. Trzeba było dawać proszki i zmieniać kompresy; nie mogła zostawić opiekunki w tak oplakanyim stanie i — klnąc w duchu swoje przymusowe więzienie — siedziała przy łożu boleści, które z pod stosu pierzyn i koców jęczało ludzkim głosem i rozbrzmiewało skargami do południa. O tej godzinie pani Benigna uczuła polepszenie, a nawet rychły powrót do zdrowia w postaci apetytu. Ania ugotowała kaszkę na maszynce i dopiero, gdy wdowa po spożyciu porządnej porcji zdradziła chęć do drzemki, ozwała się prosząco:

— Możebym teraz wpadła na chwilę do mamusi? Pani się prześpi tymczasem, a ja niedługo wrócę.

— Idź, moje dziecko. Czy ja ci wzbraniam? — odparła chora takim tonem, jakby chciała powiedzieć: Czy można żądać czegoś dla siebie na tym egoistycznym świecie?

Ania jednak skwapliwie skorzystała z przyzwolenia i w dwóch susach była już koło drzwi.

— Ale nie zasiadaj się tam! — dogonił ją głos płaczący. — Widzisz, że jeszcze źle się czuję...

Gdybym tu chociaż miała służbę, albo inną jakąś poczciwą duszę, prócz ciebie...

— Wróćę prędko! A jakby pani czego potrzebowała, proszę zastukać w ścianę do Mariette. Powiem jej, żeby dla pani zrobiła herbaty.

Dla pośpiechu wsiadła w *taxi* i po kwadransie stała już przed numerem mamusi. Z za drzwi zamkniętych dobiegł ją odgłos bardzo ożywionej rozmowy. Ania zastukała i weszła. Ugo Bertini ubrany w palto chodził wielkimi krokami po pokoju. Żona biegła za nim, wołając, prawie krzycząc w swoim francusko-włoskim *vola-pück'u*:

— Nie pozwolę ci, rozumiesz? Nie pozwolę ci! zabraniam ci zadawać się z tą panią! Dość tego! Czy ty naprawdę chcesz mię wpędzić do grobu? Ach, Boże, za co ja tyle znoszę od tego okropnego człowieka! Co za wstyd! Co za bezczelność! Jawnie, w mojej obecności, umawiać się na schadzki!...

— Sama sobie przeczysz, moja kochana. Schadzki są potajemne. Gdyby chciała spotkać się ze mną pokryjomu, to...

— Ona chciała! Chciała tego właśnie! To ty jesteś bezwstydny! Tak, bezwstydny, bezczelny i nie masz odrobiny serca! Ty jesteś...

Urwała, dopiero teraz dostrzegłszy córkę, stojącą nieruchomo, jak posąg, w kącie pokoju. Ania wprawdzie niewiele zrozumiała z całej tej namiętnej przemowy. Wiedziała tylko jedno: że

z pewnością jest w tej chwili zbyt czynnym świadkiem małżeńskich porachunków i że zjawiała się nie w porę.

Ale Ugo Bertini był właśnie innego zdania.

— Nareszcie! — rzekł, podchodząc ku niej z czarującym uśmiechem. — Nareszcie przyszła *signorina*... A myśmy już mieli posyłać... *La mamma* jest bardzo zdenerwowana, zapewne z niepokoju o panią. Czy to ładnie zapomnieć o niej, gdy się ma takie dobre, kochające serduszko?

— Nie mogłam wcześniej przyjść — rzekła Ania sucho, patrząc mu w oczy. — Moja opiekunka zachorowała.

— Opiekunka! Opiekunka!... — powtórzył Bertini swą twardą francuszczyzną. — Miejsce panny Ani jest teraz tutaj, przy matce. To mama powinna się opiekować swoją śliczną, taką dużą i śliczną córeczką.

— Mamusi! — zawołała Ania, całując ją i obejmując. — Chciałam przyjść jaknajprędzej...

— To nic! — wtrącił znowu tenor, uśmiechając się ciągle uprzejmie. — Nagadacie się teraz ze sobą. Ja nie będę przeszkadzał. Ulatniam się. Zostawiam wam swobodę na kilka godzin. A *riverla*, *cara signorina*! Bawcie się dobrze!

— Ugo! — szepnęła pani Aneta przez lzy.

— Czego sobie życzysz, moja droga? Żebym został? Nie, nie! Przyjdę cokolwiek później! Przykro mi, że muszę wyrzec się waszego towarzy-



stwa, ale tak się złożyło. Chwała Bogu, masz teraz córkę przy sobie, nie będziesz się czuła opuszczona.

Oczy Anety Bertini zapłonęły nagle; chwytając znowu Anię w objęcia i tuląc ją mocno do siebie, zawołała:

— Tak, to prawda! Mam teraz córkę! Nie będę więcej opuszczona! Nigdy! Nigdy! Możesz sobie iść, dokąd zechcesz, i robić co ci się podoba! Tylko nie wykręcaj się, nie szukaj wybiegów, ty okropny człowieku, ty...

— Excusez — zwrócił się do Ani, biorąc ze stołu kapelusz. — Moja żona jest dziś ogromnie rozdrażniona. To reakcja po wczorajszym wieczorze.

— Po wczorajszym? — krzyknęła boleśnie pani Aneta. — O nie... Po piętnastu latach, powiedz raczej. Po piętnastu latach... Ale nigdy dotąd nie bywałeś aż tak okrutny. Miewałeś dla mnie więcej szacunku... Znajdowałeś cieplejsze słowa, Ugo! Myślałam, że jednak mię kochasz... Myślałam...

— Radzę oszczędzić córce tej sceny rodzinnej! — szepnął po włosku. — Czy ty straciłaś zmysły? Jesteś szalona... Kobieta w twoim wieku mogłaby mieć trochę więcej zdrowego rozsądku i taktu. Robisz mi głupie i niepotrzebne awantury, nie zważając na obecność własnego dziecka!

— Powiedz, że mię kochasz... — odparła pro-

sząco, niemal pokornie. — Powiedz, że mię kochasz choć trochę, Ugo...

— Powiedziałem ci to piętnaście lat temu. Nie pamiętasz? A teraz dość. I żadnych scen, gdy wrócę. Żadnych wymówek i łez. Nawet nie masz pojęcia, jak sobie sama psujesz życie.

— On nawet nie ma pojęcia, jak jest potworny! — jęknęła osuwając się ciężko na fotel, gdy Bertini zamknął za sobą drzwi. — Ten człowiek naprawdę jest bez serca, albo też...

Urwała i wybuchnęła płaczem. Ania uklękła przy niej, objęła jej kolana. Płakały razem długo, nie mówiąc ani słowa. Po raz pierwszy były sobie tak nieskończenie bliskie. Przepaść, dzieląca ich dwa odrębne światy, przestała istnieć. Rozumiały się instynktownie — matka i córka — jak dwie najdroższe sobie istoty. Powoli łkanie matki poczęło się uciszać, gasnąć. Serce zbolale i poszarpane — ukajało się pod dotknięciem czujących i kochających dłoni, które były ciałem jej ciała, kością jej kości, w których krążyła krew jej krwi.

— Mamusiu moja! Droga, kochana mamusiu... — szepnęła wreszcie Ania.

Nie wstała z klęczek, podniosła tylko głowę i patrzyła na te biedne oczy, które wiele podobnie gorzkich łez musiały wylać w osamotnieniu, gdzieś na obczyźnie, bez jednej duszy kochającej

w pobliżu, w pustce okropnych i beznadziejnych godzin rozpaczy.

Pani Aneta przymknęła powieki. Jak słodko i boleśnie było słyszeć ten młody głos, pełen poważnego skupienia! Dwie wielkie, lśniące krople stoczyły się wolno po twarzy. Były to już ostatnie. Wyczerpała się na chwilę ich nieprzebrana krynica.

— Mamusiu, nie płacz już, nie trzeba — prosiła Ania. — Takbym chciała cię jakoś pocieszyć. Pomyśl, jestem przy tobie...

— Ja wiem — odparła po chwili z wysiłkiem. Chwytała oddech otwartymi ustami, starając się go więcej i głębiej zaczerpnąć. — Ja wiem, to straszne że właśnie ty... właśnie ty!... Ugo ma słuszność. Ja jestem stara, głupia kobieta Stara i niepoprawna... Lecz cóż mam robić? Nie mogę do tej myśli przywyknąć, nie mogę się pogodzić z tą straszną rzeczywistością. Poświęciłam mu całe życie. Przekreśliłam dla niego święte prawa i obowiązki. Kochałam go, kochałam go zawsze. A on? Może to mu się wydawało przez chwilę; może mi mówił prawdę wtedy, piętnaście lat temu... gdy byłam młodsza i piękniejsza, niż teraz. A on jest tak wrażliwy na kobiecą urodę! Jego tak razi każda zmarszczka, każdy rys nadchodzącej starości... Popsuło go powodzenie i pewność siebie. A ja nie mogę mu wybaczyć, że jest taki, jaki jest. Może, gdybym mu zostawiła całą swobodę...

Ale nie mogę, nie mogę się go wyrzec, nie mogę go utracić... I stąd cała ta męka...

Pochyliła się ku córce, wzięła w obie dłonie jej głowę, patrzyła długo zmęczonemi oczyma na dziecinną jeszcze twarzyczkę, z której ślady łez znikły tak szybko, jak deszcz wiosenny wsiąka w ziemię.

— Nie powinnam ci mówić o tem. Nie powin-  
naś nic z tego wiedzieć, nic. Ja wiem. I to jest  
jedno więcej cierpienie moje, mój grzech śmier-  
telny. Skrzywdziłam cię przed laty, dziecino  
moja... Porzuciłam cię... I teraz, gdyśmy się odna-  
lażyły po takiej długiej rozłące — znowu cię  
krzywdzę. Ranię twe młode serce, które powinno  
bić tylko rytmem radosnym... Wplątuję cię  
w bieg mego życia, wprowadzam cię w zakamarki  
mojego bólu, który jest moim własnym bólem  
i o którym ty nie możesz nic wiedzieć. To bardzo  
źle. To potwornie z mej strony. Ugo ma słusz-  
ność. Widocznie tracę zmysły.

— Jestem przecież dorosła, mamusiu. Mogę cię  
zrozumieć. Och, ja cię teraz dobrze rozumiem!

— Kochanie mojej! Życie moje! Pocięcho moja  
jedyna! — zawołała pani Aneta. — Jak ja mo-  
głam żyć dotychczas zdala od ciebie?

I nagle spytała z niepokojem:

— Czy ty mię kochasz?

— Ja? Mamusiu!

— Miałabyś prawo mię nie kochać. Czy by-

łam twoją matką? Dałam ci życie — to wszystko. Ale ty właśnie tego nie możesz pamiętać, ani odczuć. A później? Miałas trzy lata, kiedy cię opuściłam! Opuściłam cię, opuściłam! Inni ludzie wychowali cię, czuwali nad tobą, widzieli, jak rosłaś... Inni ludzie, nie ja! Mogłabyś mieć żal do mnie...

— Nie miałam żalu, mamusiu, ale tęskniłam za tobą.

— Człowiek tęskni tylko za tem, czego zaznał. A ty nie znałaś matki — szepnęła Anna Bertini. — Twoja matka poszła za swoim szczęściem... za kruchem szczęściem...

Oczy jej znów zmieniły barwę. Były niemal czarne, a twarz stała się nagle skupiona i uroczysta.

— Aniu! — rzekła głęboko wzruszonym głosem.

— Co, mamusiu?

— Musisz mi przyrzec jedno. Musisz mi przyrzec, że nigdy nie postąpisz tak, jak ja. Nigdy nie opuścisz swojego domu, chociażby ci się czasem wydawał nieznośny i obcy. Chociażbyś nie kochała swojego męża. Choćby ci się zdawało, że kochasz innego człowieka. To jest takie zwodnicze, córeczko! To przynosi tyle udręki! Po tem się nie przechodzi bezkarnie. Gdybyś ty mogła wiedzieć! Gdybym ja ci mogła wyliczyć wszystkie te chwile przeplakane, kiedy serce wyło z tęsk-

noty, kiedy za każdą cenę pragnęłoby się *wrócić!* Chociażby do tej samej przeszłości, dobrowolnie przekreślonej. Chociażby do tych samych ścian, które się wydawały ciasnem więzieniem! Gdy byłam w twoim wieku, rwałam się do życia, do świata! Zdawało mi się, że bez chwili wahania opuściłabym Stare Kąty, byle wyrwać się na szersze wody, zobaczyć jak się żyje gdzieindziej, zaznać jakichś wielkich, mocnych wzruszeń... Wyszłam zamąż, bo mi się wydawało, że to jest droga do swobody, do tych szerokich horyzontów. I cóż? Spostrzegłam wkrótce, że się nic nie zmieniło. Przybyły tylko nowe obowiązki, jeszcze więcej łańcuchów, jeszcze ciaśniejsze więzy... Szarpnęłam się raz, drugi — w sobie. A potem — zjawił się Ugo... Poszłam za nim, rzuciłam dom i ciebie. dawało mi się, że ten człowiek przesłoni mi sobą wszystko utracone, że się w nim zapamiętam, że zagłuszę wszystkie tęsknoty, wszystkie bóle...

Potrząsnęła głową:

— Ale to się mści, Aniu. Jakiś czas, może przez kilka lat, żyłam w otumanieniu, w olśnieniu. Zdawało mi się, że niczego nie żałuję, byle tylko nie myśleć, nie wspominać. To trwało aż do pierwszej chwili, kiedy poczułam, że się coś między nami łamie i kruszy, że czegoś nie dostaje... To były chwile, prawda. Mijały — i znów żyłam w złudzeniu, że jestem bezgranicznie szczęśliwa.

Ugo potrafi być tak uroczy — jeszcze i dziś — jeżeli go nikt nie opęta...

Wstrąsnęła się. Ania słuchała w milczeniu. Nie śmiała przerwać, zmącić choć jednym słowem tych wynurzeń. Dawaly jej nareszcie do ręki klucz od tajemniczej komnaty, której progu nie mogła nigdy przestąpić, a dokola której krążyła z dziecinną ciekawością. Więc taka jest *prawdziwa* historia matki! Więc tak wygląda wnętrze muszli, której szum wydawał się czarowną pieśnią morza? Ta strojna, piękna mamusia, oglądana zachwyconemi oczyma na fotografjach, wyczytywana w listach, wysłuchiwana w opowieściach — jakże bardzo jest biedna! Biedniejsza może od Teresy, której samotne serce wolniuteńko zamiera w ciszy i nie szarpie się wciąż, jak ryba pozbawiona wody i znów powracająca do niej na krótko, póki nowa fala nie wyrzuci na brzeg zmęczonej i bezwładnej...

Zmierzch już zaczął zapadać i pokój zwolna tonął w cieniu. Lśniły jeszcze bladym połyskiem jasne włosy Anny Bertini. Po długiej chwili milczenia zaczęła mówić, jakby do siebie:

— Te wszystkie młode, piękne kobiety! Nienawidzę ich! Gdyby przestały istnieć, Ugo byłby innym człowiekiem. To one zabierają mi go: na chwilę i dla zabawy, dla kaprysu, dla *mody*! To one wołają na niego syreniami głosami. On tylko słucha tych głosów, idzie za nimi... Nie ma

dość silnej woli by się oprzeć pokusom. A przecież on także nie jest już dzisiaj młody. Nie ma trzydziestu dwóch lat, jak wtedy, gdy po raz pierwszy spojrział na mnie ze sceny! Kiedyś — wiem: przyjdzie chwila, że wróci do mnie pokorny i zbiedzony. Już nieraz wracał. Wtedy będę może zdolna zapomnieć wszystko, wybaczyć mu z całego serca... Wtedy stanę mu się znowu potrzebna. Gdy oboje będziemy starzy... Ale dziś!

Czyjeś kroki rozległy się na korzytarzu. Matka Ani podniosła głowę, nadśluchując. Kroki ucichły zdala.

— Myślałam, że to Ugo — rzekła i uśmiechnęła się smutno. — Ale gdyby wrócił teraz, byłby w okropnym humorze. On niecierpi, gdy płacę i mam czerwone oczy. Niecierpi wymówek i skarg. Gdybym zawsze umiała być wesoła, udawać, że nie dbam o niego, robić dobrą minę, wtedy — kto wie? Ale to tak trudno, tak trudno! I coraz trudniej. Dziś mi już wszystko jedno, jak wyglądam. Niech sobie będę stara, niech zbrzydnę, niech mi się twarz pomarszczy, jak zwiędłe jabłko... Ty mnie będziesz zawsze kochała, prawda?

— Zawsze, mamusiu.

— I nie opuścisz mię? Zostaniesz ze mną?...

— Zostanę. Ale ty nie jesteś wcale stara, mamusiu. Jesteś młoda i śliczna i...



Pani Aneta roześmiała się poraz pierwszy tego dnia swobodnie i prawie wesoło.

— E, mówisz tylko tak sobie, żeby mi dodać otuchy! A mnie już dziś naprawdę wszystko jedno...

Wstała jednakże, zapaliła światło i podeszła do lustra. Od niechcienia poprawiła kilka niesfornych loczków, bacznie obejrzała ślady łez i sięgnęła po puder. Ania patrzyła zdaleka, jak matka pudruje nos, policzki, a nawet szyję. Twarz w lustrze poczęła się odmładzać, kąciki ust nie były już boleśnie wygięte ku dołowi, oczy powoli nabierały blasku i życia.

— Biedna mamusia! Moja droga, biedna mamusia — myślała Ania z rozczuleniem, podczas gdy Anna Bertini ukradkiem i nieśmiało zerknąwszy w jej stronę, przeciągnęła czerwoną pomadką po wargach. Różując lekko twarz, poczęła się tłumaczyć niezręcznie i wstydliwie:

— To tylko wyjątkowo, dlatego, że tak mizernie wyglądam. Ugo może nadejść. Nie chcę, by poznał, że płakałam. To go rozdrażnia.

Znowu krytycznym wzrokiem spojrziała w lustro:

— Jak myślisz? Możeby zmienić suknię? Pójdziemy razem na kolację, dobrze? Jeżeli wkrótce się nie zjawi, pójdziemy sobie we dwie. Nie będziemy czekały.

Ania spojrziała na zegarek:

— Pani Mystkowska jest chora — obiecałam, że wcześniej wrócę.

„Mamusia“ zachnęła się niecierpliwie:

— Ach, ta twoja pani Mystkowska! Powiedz jej wreszcie, że cię zabieram z sobą. Bo przecież ty pojedziesz z nami. To już postanowione. Nie mogłabym raz jeszcze cię utracić. To byłoby nad siły. Ty jesteś teraz wszystkim, co mię trzyma przy życiu... Ty jesteś moje szczęście, moja radość, mój cały...

Umilkła, bo drzwi otwarły się nagle.

— Ugo! — szepnęła, blednąc pomimo rużu.

Wszedł istotnie Bertini z pudełkiem cukierków i wiązką kwiatów. Trochę niepewnym wzrokiem rozejrzał się i spostrzegł Anię, stojącą pod oknem. Zauważył też nową suknię żony. Twarz mu się rozjaśniła, oczy wypogodniały odrazu:

— A! — rzekł wesoło i swobodnie, jakby przed paru godzinami rozstali się w najlepszej harmonji. — Przebrałaś się? To dobrze. Pójdziemy razem coś zjeść. Głodny jestem. Dwie godziny włóczyłem się po mieście.

— Klara cię nie poczęstowała herbatą? — spytała pani Bertini, starając się nadać tym słowom ton obojętny.

— Nie przypominaj mi tej głupiej sroki — mruknął, marszcząc brwi. — Mam po uszy samego jej imienia. Więc idziemy, prawda? Ślicznie ci w tej sukni, Annette.. Wartoby ją ludziom

pokazać, chociaż ten Paryż, teraz — brr! Z rozkoszą myślę o wyjeździe. No cóż, jesteście już gotowe? Nie traćmy czasu... „Signorina“ z nami naturalnie?

— Wyobraź sobie, musi wracać do domu — odparła żona, z daleko mniejszem rozżaleniem. — Obiecała pani Mystkowskiej. No, niedługo już będzie niańczyć tę nudną kwokę. Jedzie z nami, prawda Ugo? To już postanowione.

— Naturalnie, to już postanowione! — powtórzył, podchodząc ku Ani. — Ale niedobra, że nas teraz opuszcza. Tak się cieszyłem, że wreszcie pogawędzę trochę i poznam lepiej moją kochaną... kochaną...

Szukał francuskiego wyrazu, by zaznaczyć łączący ich stopień powinowactwa.

Ania patrzyła na tę dziwną parę ludzi z natężoną uwagą. Nie mogła jeszcze oswoić się z nagłą uprzejmością ojczyma i zmianą, jaka raptownie zaszła w matce.

Anna Bertini zdawała się w tej chwili zupełnie inną istotą. Wyglądała *naprawdę* na dwadzieścia pięć lat i miała *prawdziwe* rumieńce, jakie tylko dać może zdrowie i młodość. Nakładając kapelusz mówiła głosem radosnym:

— Najpierw odwieziemy Anię. Trudna rada, Ugo! Dziś będziesz musiał poprzestać na mojem towarzystwie! Anią nacieszymy się jeszcze, później...

Możnaby sądzić, że jest zadowolona z obrotu spraw. Bez cienia smutku, prawie z pośpiechem pożegnała córkę, wołając z głębi auta: Do widzenia, kochanie, do jutra!

Samochód zafurczał i odjechał, uwożąc dwoje uśmiechniętych, zadowolonych ludzi, którym życie zdawało się dopiero błyskać w całej swej krasie.

Ale biedna Ania nie mogła tak szybko otrząsnąć z serca przygnębienia; czuła na niem jakby cienką powłokę lodu; — to smutek minionych godzin zakrzepł nagle i rozpostarł się w duszy.

— Biedna mamusia! Biedna, biedna mamusia — szepnęła teraz, szukając poomacku klamki. Uśmiechnięta pani Bertini wzbudzała w niej takie samo współczucie, jak zapłakana przed chwilą i bezradna w swem nieszczęściu kobieta.

Pani Mystkowska nie spała. Urzędowym tonem stwierdziła ilość godzin i minut, które Ania przesiedziała u matki, ale nie mogła dłużej zrędzić, bo jej było śpieszno obwieścić pupilce nadzwyczajną nowinę:

— Wyobraź sobie, wkrótce po twojem wyjściu odwiedził mię ksiądz Franciszek. Ten sam, któregośmy spotkały w Vichy, pamiętasz? Że on mię tu odnalazł, to wprost zdumiewające, ale opatrnościowe! Za tydzień wracam z nim razem do kraju. Przekonał mię, że niema sensu dłużej czekać. W jego towarzystwie będzie nam raźniej i bezpieczniej. Bo zawsze dwie bezbronne, słabe kobiety...

— Za tydzień będę w Rzymie z mamusią! — pomyślała Ania i obwieściła wdowie swoje niezłomne postanowienie.

Nadspodziewanie pani Benigna oponowała słabo i raczej dla formy, niż z przekonania. Po wyjściu księdza przeliczyła raz jeszcze zawartość irchowej torby i doszła do wniosku, że pieniędzy ledwie starczyłoby dla dwóch osób na tę podróż daleką, a nie wolną zapewne od powikłań i nieprzewidzianych okoliczności. Nadzieja zmniejszenia kosztów w sposób tak uproszczony, jak zrzeczenie się obowiązków opiekunki na rzecz matki, przeważała szalę wahania:

— Spodziewałam się tego — rzekła więc tylko, wzdychając. — Nie zdaje mi się jednak, by skala i tryb życia, które wieść musi twoja matka, jako żona artysty, były odpowiednie dla ciebie...

Nie były odpowiednie. Ania czuła to dobrze. Nie były odpowiednie z innych względów, niż mniemała pani Benigna Mystkowska.

Od chwili spotkania z „mamusią“ skończył się bezpowrotnie okres życia, który Ania w swojej historii mogła uważać za beztroskie dzieciństwo.

Teraz — będzie tych trosk coraz to więcej. A przedewszystkiem jedna, obecnie najważniejsza: dać odpocząć tym drogim oczom, które dużo płakały.



ROZDZIAŁ VII.  
STARE KĄTY.





Jakiemi drogami wędrował ów papierowy go-  
niec? Jakim cudem, po tylu podróżach, odsyłana  
z miasta do miasta, z kraju do kraju, popstrzona  
pieczętkami, poprzecierana i brudna koperta do-  
szła wreszcie do miejsca przeznaczenia? Przez  
szesnaście zgorą miesięcy błąkała się po świecie,  
by w końcu pierwszego dnia wiosennego, wśród  
stosu gazet i bieżącej korespondencji, w jaskra-  
wym tłumie reklam i sensacji — zawitać w willi  
nad morzem...

Ania oglądała ten list z niedowierzaniem, jak  
zmaterjalizowaną zjawę raczej, niż realny przed-  
miot, należący do tego świata. Długo obracała  
w palcach białą niegdyś kopertę, ponadrywaną,  
pełną plam, śladów laku, adresów przekreśl-  
onych, coraz to innym, obcym charakterem na-  
gryzmołonych dopisków. „Nieobecna“ głosiła  
zblakła już nieco uwaga, pochodząca z poczty  
w Vichy. Dalej — roilo się od stempli francus-  
kich, szwedzkich, włoskich. Trudno je było prze-  
liczyć. Nazwisko „Mademoiselle Gołębiowska“  
było już prawie nieczytelne, przytłoczone litera-  
turą przygodną — a jednak dostrzegła je odrazu.  
Poznała te litery, biegnące pochyło w równych  
odstępach i zdumiała się, że martwy rysunek jej  
własnego imienia może tak silnie zatargać ner-  
wami i wyrwać z ust radosny, zdumiony okrzyk.

Zanim Ugo Bertini zdołał odcyfrować adres, zawołała:

— To do mnie! To list z domu!

Nie omyliła się. To *był* list z domu. Pisano go w początkach wojny, wysłano przez jakieś konsulaty, jakieś „wyjątkowe“ okazje, aby *napewno* doszedł jej rąk — i doszedł! Z wnętrza gorączkowo rozerwanej koperty posypały się cieniutkie karteczki, mnóstwo karteczek, podobnych ptakom zmęczonym daleką drogą — a każda niosła inną wieść:

„Niech cię Bóg błogosławi, droga Aniu — pisał maczkiem dziadzio na osobnym arkusiku, polinjowanym niebiesko — i niechaj tam daleko czuwa nad Tobą. Ufam Mu, że nic cię złego nie spotka, a łaska Jego za wstawiennictwem Matki Najświętszej sprawi, że nam powrócisz szczęśliwie.“

„Jesteśmy Bogu dzięki wszyscy zdrowi, ale nam bez Ani dziwno i smutno, a przez tę wojnę jeszcze i niespokój serce ogarnia, że Ania tak daleko została samiuteńka...“ — dopisała Teresa na marginesie listu babki, a spory kleks nietylko z atramentu pochodził. Spłakała się zapewne starowinka z wielkiej żalości, wspomniawszy swoje złotko i swój promyczek jasny.

„Józio chciał ci dosłać trochę pieniędzy, bo pewnie wam się kończą zapasy, ale nie wiemy

nawet, gdzie jesteś i jaką drogą to się da zrobić. Cała nasza pociecha i otucha w tem, że pani Mystkowska opiekuje się tobą. Inaczej oszaleć by można z niepokoju. U nas tu straszne rzeczy się dzieją. Twoją wierzchówkę zarekwirowali jeszcze w sierpniu. Jeździ na niej jakiś porucznik, podobno ludzki człowiek i konie bardzo lubi; to cię może pocieszy. Karol od pierwszego dnia ciągle na froncie — wyrwał się tu do nas na kilka dni, a i Witka lada miesiąc powołać mogą, choć jeszcze niepełnoletni. Ale teraz inne prawa. Tyle mamy niepokoju o najbliższych, do których ty przecież należysz, że wszystko w domu idzie na opak. Pierwszy raz konfitur z malin i renklodów nie smażyłam, — ale bo i po co? Kto wie, co z nami będzie? Inne zapasy robi Kublicka na własną rękę i po *sklepach*<sup>1)</sup> chowa potroszku, żeby w krytycznej chwili było co do ust włożyć. Las nam okrutnie wyrabali, a na co poszło to drzewo, nawet Ci w tym liście pisać nie mogę, bo by go jeszcze skonfiskowali za doniesienie o ruchu wojsk... Karol obiecuje, że go prześle przez swego znajomego, dyplomatę, — ale ktoby tam odgadł, czy Karol serjo obiecuje, czy żartem. Jutro w każdym razie wyjeżdża, więc mu te listy oddamy na los szczęścia. Może dojdą. Żeście też nie próbowały z Benigną wracać zaraz na pierw-

---

<sup>1)</sup> piwnicach.

szą wieść! Ale pewnie was ta wojna zaskoczyła, jak wszystkich. Bądź zdrowa, moja kochana Aniu i westchnij czasem przy pacierzu za twoją starą, często zrzędną, ale całym sercem oddaną Ci babkę  
Annę“.

Karol rozpiśał się najdłużej. Ten list Ania czytała, leżąc w bujającym fotelu na tarasie, który zdawał się zawieszony nad morzem. Łagodne, miękkie fale cicho lizwały urwisty brzeg. Po murze wkoło domu pięły się glicynje i beztrosko rzucały snopy upojnej woni słońcu prosto w twarz. Liljowy uśmiech kwiatów błękitniał w miejscach zacienionych; w świetle — zdały się osypane złocistym pyłem. Ten złoty pył drgał w całym powietrzu.

Fotel skrzypiał leciuchno — kołysał się jak łódka. Ania czytała po raz drugi i trzeci, odkładając kolejno w porządku ponumerowane karteczki.

„Wpadłem tu, jak po ogień, a teraz mi się zdaje, że chyba tylko po to, aby pożegnać Stare Kąty i ciebie — droga moja, najmilsza moja. Niech cię nie drażnią cztery ostatnie słowa. Powinnaś je wybaczyć, a raczej wysłuchać dobrem sercem, jak ostatniej spowiedzi.

Wiesz — nie jestem przecież sentymentalny, ale muszę przyznać, że stało się ze mną coś pasukudnego. Dziwna zmosfera siadła mi na duszę i dławi, odkąd w gorączkowym galopie przebieg-

lem dom — i ogród — i nasze ścieżki nad stawem — i nasze ścieżki w lesie... Słowem te wszystkie miejsca, gdzieśmy bywali razem. Jakie głupie uczucie — wspominać! Gdy dostaniesz ten list — o ile go dostaniesz i przeczytasz do końca — będę bardzo daleko od wszystkiego, co mi teraz duszę i nerwy nastraja na nutę rozmarzenia. A może już wogóle, *wcale nie będę?* Tam, skąd jadę i dokąd wracam, Aniu droga — wszystko pachnie prochem, ogniem, stęchłą ziemią — a to jest zapach śmierci.

Widzisz — jakby ci wytłumaczyć: nie byłem nigdy tchórzem, ani mam chorą wyobraźnię. Wcale nie wywołuję w sobie przykrych przeczuć ani się im poddaję. Ale, ot, człowiek sobie na przykład śpi jakimś tępym, kamiennym snem wśród piekielnego hałasu. Nagle budzi go cisza. Podejrzana cisza, która nie wróży nic dobrego. Ten sam człowiek, który usnął przy kołysance szrapneli i karabinów maszynowych, — wstaje, bo już nie może uleżeć, rozgląda się, wychyla głowę i patrzy w czarność nocy nieufnie. Węszy śmierć w ciemności, w tej martwej napozór pustce, w tem odrętwieniu, które jest przyczajoną do skoku, złośliwą i krwiożerczą bestją. Nie bał się śmierci w biały dzień, kpił sobie z fruujących, pogwizdujących koło ucha kulek — a teraz włosy jeżą mu się na głowie, zaś po plecach przebiega bynajmniej nie rozkoszny dreszcz. Bo

niewiadomo, skąd wyskoczy to, na co czekał, na co czekał bez lęku, ale w niemiłym naprężeniu nerwów: *ta jemu przeznaczona śmierć.*

Pierwsze tygodnie, spędzone na froncie, sprawiły, żem się już niemal oswoił z myślą: tak musi być. I gdy oto znalazłem się w domu, Aniu droga — jakoś głupio się czuję. Ten cichy dwór wydaje mi się przystanią nieprawdopodobnie bezpieczną, gdzie tylko z oddalenia dobiega pomruk wojny, gdzie podawnemu na wieczerzę podają zsiadłe mleko, lub kartoflankę, a przy stole mówi się tak samo o siewach, żniwach, orkach, stertach i tym podobnych tematach, które na ustach twoich wywoływały często uśmiech, a w oczach błysk złośliwy...

Kublicka biega podawnemu — trzaskaniem drzwiami prowokując przeciągi. Ma ten sam fartuch pasiaty, ten sam pęk kluczy i ten sam głos, świdrujący w bębenkach tęgie dziury. Teresa zjawia się i znika, jak duch. Częściej może, od dnia wybuchu wojny zamyka się na stryszku, to i cała odmiana. Dziadzio...

Ale masz przecież od nich wszystkich listy, więc wszystko wiesz. Tu wogóle na każdym kroku odnosi się wrażenie, że czas stanął, a ludzie, niby w bajce o śpiącej królewnie, zastygli — każdy w ruchu najcharakterystyczniejszym. Uf! Co za słowo! Dwadzieścia sześć liter połknęło drogo-cenną linijkę, na której, jak na wszystkich in-

nych, powinnaś wyczytać jedno tylko zdumione, smutne i — niestety! — prawdziwe stwierdzenie faktu: niema cię tutaj, Aniu!

Próżno zdeptałem wszystkie kąty w Starych Kątach, próżno wywoływałem w oczach choćby cień cienia tej jednej — nie, tej *jedynej* istoty, bez której, jak bez światła, wszystko straciło barwę. Jarzębiny wydają mi się bledsze, chociaż są tak samo czerwone, jak co roku w tej porze. A małe rajskie jabłuszka nie są już takie smaczne, jak wtedy, gdyśmy na nich szukali razem śladu dwóch przednich zębów matki Ewy. Zresztą niema pomiędzy niemi jabłuszka, w którym ty, Aniu, zatopilaś swe ząbki. Dałbym wiele, aby to jabłuszko dzisiaj odnaleść. Możebym je zabrał ze sobą jak talizman, jak wspomnienie beztroskich dni, jak — symbol. Widzę ze zgrozą, że staję się sentymentalny. Cóżes ty uczyniła, dziewczyno, że wgrzyłaś mi się w serce aż do bólu, aż do jęku tęsknoty, aż do absurdu?...

Bujasz kędyś po świecie i pewno o mnie nawet nie wspomniesz. „Wyprysnęłaś z kominka“ moja droga Iskierko! Spełniło się twoje pragnienie: szukasz tych nadzwyczajnych przygód, uczysz się życia... — może je nawet zaczynasz sylabizować — i to się dzieje het, w jakiejś nieokreślonej, niedostępnej dla mnie przestrzeni. I to się dzieje zdala odemnie! Dorastasz z każdym dniem. Serce twoje...

Ach, nie! Terazbym pragnął, by spało jaknajdłużej. Niechbyś i Ty zasnęła w odrętwieniu i nie zbudziła się przedwcześnie, na obcy głos. Jeżeli można coś bardziej nienawidzieć niż wojnę — nienawidzę tych wszystkich ludzi, którzy Cię otaczają. Nienawidzę nawet Twych własnych myśli, bo mi Cię kradną potroszeczką, codziennie. Jeżeli skończy się kiedyś wreszcie ten czarny, ślepy korytarz, jeśli znów wyjdę na światło dnia Bożego, — jeżeli wrócę i odnajdę Cię w Starych Kątach — czy też oczy Twoje powiedzą mi, jak dawniej, całą przesliczną prawdę o Twojem sercu?

Wierzaj mi, najdroższa moja dziewczynko, nie powinnaś gniewać się za ten list. Choćby Cię nawet uraził, — nie należy złorzeczyć człowiekowi, stojącemu... jakby tu powiedzieć, żeby nie brzmiało za patetycznie: w obliczu śmierci! Nie sądzę, że chcę wzbudzić w Tobie współczucie i wyludzić cokolwiek ponad zasługę! Właściwie jestem pełen najlepszych myśli i mam głęboką wiarę, że się jeszcze w tem życiu spotkamy. Nie widzę konieczności, abym zginął... Może zginie jutro kolega Iks, a pojutrze kolega Igrek — ale oni pewnie rozumują tak samo i wierzą w swoją gwiazdę, jak ja wierzę, iż się tu, w Starych Kątach, odnajdziemy po jakichś miesiącach, czy latach. Żebyś tylko zachowała swe dawne serce! Już niczego narazie mocniej pragnąć nie mogę



i nie śmiem. Żeby chociaż Ciebie nie odmieniło nic, jak nic się nie odmienia tu, gdzie wyrosłaś.

I cóż Ci jeszcze powiem? Wszystko jest zanadto jaskrawe, albo zanadto mdłe; myśli, umoczone w atramencie, bełkocą jak pijane, a gdy je będziesz czytała po iluś, iluś dniach, wytrzeźwieją i staną się sztywne, wyciągnięte w surową linię czarnych literek, jak żołnierze przyuczeni do dyscypliny.

Ha! cóż robić! Wyznałem Ci na samym wstępie: rozkleił mię, rozhartował ten krótki pobyt w domu, gdzie wszystko zalatuje przeszłością, jak szafa babci zalatuje lawendą, a strych Teresy — myszami. Sądziłem, że choć przez kilka dni odechnę, a zamiast oddychać — wzdycham tylko! Wzdycham nad sobą i do Ciebie, za przeszłością i do przyszłości.

Jesteś w głębi duszy zacnem stworzeniem: westchnij i Ty do Pana Boga, żeby mi zesłał, jeśli nie Ciebie samą, to choć choć myśl Twoją na pociechę. Ja ją pochwycę w lot, choćby nikła była, jak pajęczyna — rozepnę na niebie moich marzeń i przez nią patrzeć będę na świat ze stęchłego okopu, z zionącej zaduchem chaty, z rozkisłej drogi naszych wielogodzinnych marszów — słowem z nizin tej całej gehenny, jaką przechodzi przez poetów nimbem sławy, a w rze-

czywistości kurzem i robactwem ozdobiony żoł-  
nierz — wierny Ci zawsze i niezmiennie Twój  
Karol“.

---

Wezuwjust, władca lazuruwej zatoki, który dnia tego od rana dobrotliwie pykał sobie z niewidzialnej fajeczki — rozwiął się nagle we mgle, przysłaniającej Anine oczy.

Poprostu — przestał istnieć razem ze swym charakterystycznym profilem, razem z gromadką porozrzucanych w dole domków i łagodną, mięką linją cudownie modrej wody.

Wszystkie zmysły, — wzrok, dotyk, słuch — dostały nagle skrzydeł: jak zmęczone długą podróżą ptaki przysiadły na konturach znajomych drzew; zsunęły się po czubach lip stuletnich ku załamanej linji dachu, zajrzały do wnętrza domu, wciągając w nozdrza nieuchwytny, a przenikliwy zapach zbutwiałych tkanin. Czułe i pamiętliwe ucho odróżniło cichutki trzask stoczonego przez robactwo kantorka od innych, znanych szmerów, których tam pełno:

— Cyt! — wyseplecił alabastrowy zegar z połączanemi filarkami, zanim zdecydował się chrapliwym dyszkantem wydzwonić którąś tam w życiu godzinę.

— Tak! — stuknęła uchylona połowa okna i zawtórował jej stłumiony, szklany śmiech szyby.

— Czego znów? — burknęły zniecierpliwione drzwi, pozwalając wszakże drobnym i przyśpieszonym krokom prześlizgnąć się po trzeszczącej podłodze.

Na ścianach tkwią te same zawsze obrazy: Madonna w popękanych ramach; — księżę Józef na białym koniu, wyprostowany jak struna, skacze w nurty Elstery; — stado krów holenderskich w malowniczych grupach pasie się spokojnie na łące, gdzie rosną niebotyczne dęby; — kilka prababek z łabędziami szyjami, kilku pradziadków w kontuszach wodzi uważnemi oczyma za każdym żywym mieszkańcem — i wreszcie wspaniała „Chór kapucynów“, sławetny obraz, chluba domu, zajmuje prawie całą ścianę i dzięki mistrzowskiej perspektywie, tworzy jakby przedłużenie pokoju...

Za chwilę jakiś znajomy głos zmąci na dobre pozorną ciszę. Ktoś krzyknie: „Nastka!“ albo: „Elżbieta!“ kto odpowie: „Idę już, idę!“... Zafurkoczą perkale i wełniaki, zadudnią stwardniałe od „bosaka“ pięty — i już się zacznie rozgwar powszedni. Czerstwe, zdrowe policzki gospodyni nabiorą ceglanej barwy od wykrzykników soczystych. Ktoś w przedpokoju zawadzi o szaragi i przeklnie własne niezdarstwo. Komuś się we drzwiach noga potknie na wysokim i wyslizganym progu. Kogoś będą szukali nadaremnie z la-

mentem i utyskiwaniem, że był przed chwilą, a teraz, jakby w ziemię się zapadł...

I wreszcie ktoś wypowie jedno króciutkie imię, które fruwa, jak motyl, przysiadając na coraz innych wargach:

— Ania...

-----

Pogrążony w letargu, milczący wulkan znów dymił lekko, leciuchno, otaczając się błękitnoszarą mgiełką; znowu pięły się po murze liljowo uśmiechnięte glicynje; znów było słońce — i taras kamienny — i ciche morze w dole.

Bujający fotel zakolysał się mocniej. Ania przy-mknęła oczy.

Ach, jeszcze trochę, jeszcze choćby minutę pomarzyć! Jeszcze pod powiekami zatrzymać jasny obraz snu, który był kiedyś życiem, lub raczej życia, które się dzisiaj snem wydaje.

Jak tam jest teraz? W tej chwili? Jabłonki pewno jeszcze nie kwitną, ale może zaczynają kwitnąć czereśnie. Tak jest czyściutko w starym sadzie od pobielonych świeżo pni, tak zielono od młodej trawy, tak błękitnie od wiosennego nieba! Szpaki ścigają się w powietrzu z przeciągłem, nieco drwiącym pogwizdywaniem. Co chwila krótkie, czarne skrzydełka przecinają ukośnym lotem gmatwaninę cienkich gałązek. Od strony

łąk i stawu dobiega nieśmiały jeszcze, próbny re-  
chot żabi.

I któż to przechadza się po ścieżce? Siwiejąca,  
gęsta szczecina włosów, wielbłądzia pelerynka,  
ten dobrze znany, powolny, starczy chód... Słońce  
obwieszcza z dumą, że już południe, więc usta  
dziadzi napewno szepczą pierwsze słowa Zwia-  
stowania:

— Anioł Pański...

Ale w tej samej chwili, jak z pod ziemi, wy-  
rasta pisarz Kozakiewicz. Głośno coś krzyczy  
(choć trudno rozróżnić słowa) i wykonywa  
śmieszne gesty rękami. Zapięta pod szyję kurtka  
znamionuje brak kołnierzyka. Kołnierzyk — Ania  
wie o tem dobrze — wyszorowany do czysta  
szczoteczką, suszy się w tej chwili na oknie ofi-  
cyny...

Pogwarzyli — pisarz uklonił się służbiście i po-  
biegł dalej. Dziadzio zaczyna od początku:

— Anioł Pański zwiastował Najświętszej Pan-  
nie Marji...

— ...i poczęła z Ducha Świętego — dodaje  
w myśli Ania, bo znowu coś przeszkodzi...

A właśnie! Rozkołysał się dzwonek podwó-  
rzowy, szarpnięty dłonią ekonoma: Dy-dy-dyń!  
Dy-dy-dyń!

— Schodź-cie z pól! Schodź-cie z pól! Na  
o-biad! Na o-biad! — skanduje miarowo Ania,

jak wtedy, gdy biegła w sandałkach i niebieskim, wiecznie o coś rozdartym fartuszku.

Schodzą się zwolna wszyscy domowi; nadciąga zgrzany i spocony Józef: tam przy pługach słońce mocniej przypieka, niż w cieniu lip. Teresa prze-myka się bocznymi „steczkami“, zapędzając przed sobą stadko dojarek. Już się w kredensie roz-wrzeszczała Kublicka:

— Skaranie boskie z wami! Oka spuścić nie można! Spałyby do obiadu przy tych statkach! Niedojdy! A wieczorem do łóżka nie zapędzisz!

— ...A Słowo ciałem się stało i mieszkało między nami... — kończy dziadzio w skupieniu; za-wraca od czereśni ku domowi i już niemal na progu odmawia ostatnią „Zdrowaśkę“ wraz z „Wiecznem odpocznieniem“.

— Jeszcze dziadziu! jeszcze małą chwileczkę! — chciałyby prosić Ania, lecz nagle łyzy cisną się do gardła, tamując mowę...

Szepcze więc tylko bezładnie, w rozżaleniu serdecznem, że kocha wszystkich, że tęskni, że chce pozostać z nimi w Starych Kątach... że kocha nawet Karola, bo go jej strasznie żal; że nawet... że nawet...

Ale rzeczywistość nie zna litości. Nadchodzi nieubłagane w postaci przyciszonych kroków, pochyla się nad bujającym fotelem, patrzy czarnymi oczyma i pyta w obcej mowie:

— Co to? Sama? Tyle godzin? I smutna?

Głowa Ugoni Bertini schyla się jeszcze niżej, gorące wargi szepczą blisko, dotykając włosów nad uchem:

— Smutna? Dlaczego? *Perché?*

Ania robi ogromny wysiłek, by wtłoczyć z powrotem pod powieki dwie drżące już na samych rzęsach łzy.

Ale nieznośny, wszędobylski wzrok już wydarł tajemnicę Aninym oczom. Mięki, jak gdyby z aksamitu utkany głos śpiewaka powtarza, akcentując po aktorsku nutę zdziwienia:

— I nawet płacze?

Teraz niema innego wyjścia. Trzeba tylko zakryć rękami twarz i tłumić gwałtem ten dziecinny, głupi płacz, który chce koniecznie głośnym szlochem wybiec na usta i wstrząsa ramionami, głową, całą postacią.

Dłonie Ugoni Bertini usiłują rozerwać muszlę zaciśniętych kurczowo palców, z pomiędzy których toczą się teraz jedna po drugiej perliste łzy. Głos coraz bardziej zdumiony, skanduje ze współczuciem tępe i niedorzeczne pytanie, które musi pozostać bez zrozumiałej odpowiedzi:

— *Perché, Fanciulla? Perché?*<sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Dlaczego, dziecino? Dlaczego?





ROZDZIAŁ VIII.  
ŚPIEWAĆ! ŚPIEWAĆ!



Mimo sukcesów paryskich, gwiazda Ugoni Bertini poczęła gasnąć w Medjolanie. Były naturalnie i oklaski i kwiaty — i tłumy wielbicielek o żrenicach rozszerzonych z zachwytu. Po skończonym przedstawieniu wywoływano śpiewaka mnóstwo razy i omal nie wyniesiono na rękach.

Ale po raz pierwszy w dwudziestoletniej karierze artysty — prasa podała wiadomość o jego przyjeździe i trzech gościnnych występach — z pewną rezerwą. Nie szczędzono mu pochwał, wspomniano o triumfalnym tournée po Ameryce, ale były też i napomknienia o podróży, która zapewne spowodowała lekki ślad znużenia w śpiewie, zawsze jeszcze pełnym siły i dramatycznego wyrazu.

„Bertini — pisano — posiada wyborną szkołę, która mu pomoże zapewne przez długie jeszcze lata zachować dawną czystość tonu. Na wczorajszym przedstawieniu znakomity artysta był jednak niedysponowany, co się dało odczuwać zwłaszcza w długiej i męczącej arji“... i tak dalej — i tak dalej... Wśród pochwał i zachwyty przewijały się niekiedy ostrożne zastrzeżenia, niby pierwsze srebrne nitki w kruczej czuprynie.

Bertini wpadł w szal wściekłości.

— Co oni wypisują! — krzyczał nazajutrz po koncercie, wymachując plikiem pomiętych gazet tuż przed nosem wystraszonej pani Anety. — Ja byłem niedysponowany? Nigdy nie czułem się tak dobrze usposobiony! Chcą mi wmówić, że tracę dawną czystość głosu? Ale pismakom gazeciarskim nie uda się wmówić tego publiczności, która przecież, sama widziałaś...

— Byłeś wspaniały, Ugo! Wspaniały, jak zawsze!... Raz jeden tylko głos ci się troszeczkę załamał, ale to napewno z tremy. Taki byłeś zdenerwowany...

— Z tremy? Czy słyszałaś kiedykolwiek, przez piętnaście lat, bym z tremy wziął jedną nutę fałszywie? A te osły...

— Nie przejmuj się, najdroższy! — błagała pani Aneta. — Jesteś trochę zmęczony, to dlatego... I ostatniemi czasy piłeś za dużo wina. Wiesz, jak ci szkodzi...

Wtedy Bertini popadł w rozpacz. Zamknął się w swoim pokoju i zapowiedział, że nie chce widzieć nikogo, chociażby nawet sama królowa holenderska przyszła złożyć mu wyrazy uznania.

Po dwóch dniach zawezwał swego impresarjo, kazał mu odwołać wszystkie występy w Medjolanie i w Rzymie, podarł w drobne kawałki kontrakt na piętnaście koncertów i oświadczył, że w najbliższym czasie opuści zapewne ojczyznę.

Wieczorem odezwał się ponuro:

— Mieli rację. Czuję, że tracę głos.

— Co też ty wygadujesz, Ugo! — krzyknęła pani Aneta. A po chwili zaczęła go namawiać, by zawezwał lekarza.

Dał się nakoniec przekonać i przyjął do wiadomości djagnozę, że struny głosowe są w porządku. Lekka chrypka jest objawem przejściowym. Możliwyby jednak pomyśleć o dłuższym odpoczynku, gdzieś w ciszy, w dobrym powietrzu no i — rozumie się, — trzeba unikać alkoholu, zbyt długich rozmów, zadymionych sal, kurzu...

Po parotygodniowych poszukiwaniach znaleziono w okolicach Neapolu śliczną willę nad morzem. Pani Aneta chciała ją wynająć na kilka letnich miesięcy, ale Bertini zawołał:

— Na rok! Na cały rok! Może się przez ten czas skończy przekłeta wojna. Wyjedziemy. Tymczasem chcę prowadzić życie spokojne, osiadłe, jak zacny *bourgeois*, nie jak wiatronogi artysta! Dość mam włóczęgi po świecie. Odpocznę, zacznę ćwiczyć, a jeśli się przekonam, że śpiewam gorzej, niż przed rokiem, rzucam scenę do djabła. Słyszysz, Anna? Nie będę przecie patrzył na zmierzch mojej sławy, mojego powodzenia, moich...

— ...podbojów... — myślała Ania, patrząc na Ugona z pobłażliwą pogardą, jak na wielkie, niedobre dziecko, które nieświadomie tyle krzywdy wyrządza wokół.

Ale pani Aneta piła chciwie treść słów, które dla niej zapowiadały wymarzoną oddawna, wytęsknioną i wypieszczoną w myślach przemianę. Ugo — mizantrop! Ugo — zamykający się w ciszy domowego ogniska! — Ugo — stający się jej niepodzielną własnością...

Domatorskie skłonności Bertiniego nie trwały jednak długo. Willa pod Neapolem przestała być niebawem niezdobytą fortecą. Jeden, drugi bilecik od dawnej wielbicielki, której dom, naturalnie, stoi otworem dla wielkiego artysty... Jedna, druga herbatka, po której dał się nareszcie uprosić i śpiewał... aby zbierać nowe burze oklasków i wzbudzać bezkrytyczny zachwył. „Niezrównany Bertini“ był znów bożyszczem, zapraszany, rozrywany, uwożony autem albo powozem na prywatne wieczory w domach, gdzie, — jak się prywatnie dowiadywała jego żona, — flirtowały z nim po dawnemu co piękniejsze i młodsze neapolitanki...

W okresie, gdy Bertini stawał się rzadkim gościem we własnym domu, nadchodziły dla Anie ciężkie czasy. Ileż to razy, wchodząc zrana do pokoju matki, — zastawała ją we łzach, lub tak zmienioną, skamieniałą w niemej rozpaczce po jakiejś gorzkiej scenie, że trzeba było wielu słów — i próśb — i pieśczoł, — by odciążyć nieco to biedne, zbolące, wiecznie w mękach niepokoju trzepoczące się serce.

Ania intuicyjnie odgadła, że nad istotą tak bezradną trzeba roztoczyć czułą, niemal macierzyńską opiekę. Początkowe zwierzenia „mamusi“ miały charakter wybuchowy, pani Bertini wstydziała się ich już za chwilę i bolała nad tem w głębi duszy, ale ta biedna dusza miewała też pływki mielizny, które niedoświadczonem nawet okiem można było bez trudu przeniknąć aż do dna; niektóre troski mamusi były drobne, jak piasek, a nawet kolorowe, jak kamyczki, służące do zabawy dzieciom. Dysproporcja pomiędzy faktem, a wrażeniem, jakie wywierał, była niekiedy w oczy, budząc na ustach uśmiech współczucia, graniczącego z litością. Za blahostkę, jak i za głębszą ranę, zadaną sercu i godności — płaciło się w efektywnej walucie najprawdziwszych pod słońcem łez.

Jedną z pierwszych „zdobyczy“ Ani stało się przeświadczenie, że nieszczęście właściwie nie istnieje. Nabiera kształtu i wagi dopiero w związku z danym ludzkim organizmem i zależnie od jego odporności przysłania świat, albo staje się tylko drobną przykrością, jak naprzykład ukąszenie komara.

Szczęście i nieszczęście mamusi było zawsze największego kalibru. Często odsuwała je od siebie ruchem lekkomyślnym i beztroskim, jak dziewczynka odkłada „na później“ trudne zada-

nie, które nazajutrz będzie musiała rozwiązać przy tablicy.

„Jutro“ — w pojęciu Anny Bertini miało granice rozciągliwe. Zdawało się niekiedy, że nigdy nie nadejdzie, albo że już przemija. Twarz tej czterdziestoletniej kobiety była żywym odbiciem jej duszy: patrzyło z niej cierpienie dziecinnymi oczyma i uśmiechała się radość w drobnej siateczce zmarszczek.

— Wyobraź sobie! — żaliła się któregoś ranka przed Anią. — Ugo znowu wrócił o jakiejś niemożliwej godzinie i napewno pił dużo wina, chociaż mi przysięgł... Zaciągnęli go, naturalnie, bawił się dobrze i zapomniał o swych postanowieniach... Ten człowiek nie ma za grosz woli! Żeby tak lekkomyślnie narażać zdrowie! I w dodatku taki szkaradny czas... Cud będzie, jeśli nie przemókl w powrotnej drodze i nie dostanie kataru!

Tego samego zaś wieczoru, gdy Bertini, przepawszy „katzenjammer“ zaproponował wspólny obiad w restauracji, rozpraszały się niepokoje, milkły wyrzuty i pani Aneta wołała, klaszcząc w ręce:

— Doskonale! Rozerwiemy się trochę! Tylko pamiętaj, Ugo, żeby było *Lacrima Cristì!* Koniecznie musi być *Lacrima Cristì!*

Deszcz mżył tak samo i szkaradny wiatr dął od morza, ale przecież miało się iść we trójkę, tylko we trójkę z Anią, a to było nazbyt silną



pokusą. Kilka kieliszków wina, wypitych pod kontrolą, nie mogło przecież zaszkodzić zdrowiu, a przejazd w aucie zamkniętem nie groził zaziębieniem i chrypką.

Ale tam, w modnej restauracji, rozpoczynało się nowe pasmo udręki. Każdy ukłon Ugo, złożony jakiejś nieznajomej kobiecie rozpałał w oczach „mamusi“ blade płomyki niepokoju. Każde niedosłyszane słowo rozmowy, prowadzonej w przejściu pomiędzy stolikami z młodą i ładną sąsiadką, — szarpało i rozstrajało nerwy na cały wieczór.

— Chodźmy stąd! — mówiła pani Bertini. — Tu jest niemożliwie gorąco i muzyka zbyt hałaśliwa.

— Bardzo dobra orkiestra — oświadczał Ugo. Czuł się wybornie w tej atmosferze i nawet mówiąc do żony, nie przerywał wymownej gry spojrzeń w stronę sąsiedniego stolika, przy którym jakaś miejscowa piękność uśmiechała się do niego zalotnie, spijając drobnemi łyżkami swoje wino.

— Błagam cię, Ugo, zapłać rachunek i jedźmy już do domu! — prosiła po chwili pani Aneta. — Czuję, że jeszcze trochę, a dostanę migreny.

— Głowa cię boli? W takim razie wracaj z Anią, weź proszek i połóż się do łóżka. Albo najlepiej pojedź sama! — radził Bertini dobrodusznie i mrużąc jedno oko, dodawał:

— My tu sobie jeszcze trochę posiedzimy z „córeczką“, prawda?

Ania energicznie przeczyła głową na znak, że nie zostanie i rzucała mu spojrzenie, pełne oburzenia. Ale wówczas mamusi przechodziło zmęczenie i siedziały wytrwale aż do chwili, gdy Ugo dostatecznie uprzykrzył sobie niemy flirt, albo poprostu obliczył, że w tym „rodzinnym“ nastroju nie uda się go posunąć ani na jeden krok.

W takich mniej więcej okolicznościach upływały pierwsze miesiące współżycia z rodzicami. Klócili się, robili sobie „sceny“, mieli do siebie ciągle wzajemne pretensje i żale, a wówczas Ania czuła się skrępowana i zbyteczna, jak piąte koło u tego skrzypiącego powozu. Albo też państwo Bertini odnajdywali kiedy niekiedy harmonijny rytm życia. Wtedy zapominali o wszystkim i — aż do chwili, gdy powiał inny wiatr, — rozczulali się jedno nad drugim, gruchali, jak gołąbki, układali plany na przyszłość. Moment zgody między matką a ojczymem uwydatniał jeszcze bardziej szczupłość miejsca, wyznaczonego Ani w ich życiu. Czuła się znowu niepotrzebna i w dodatku zupełnie osamotniona.

W takich chwilach wybiegała myślą ku Starym Kątom. Coraz żywszych, coraz jaśniejszych barw nabierały najpospolitsze wspomnienia. Najobojętniejsze twarze stawały się naraz miłe i drogie. Poprostu — coraz bardziej tęskniła za

domem dziadków i ta nostalgia uzewnętrzniała się rozmaicie: w samotnych wędrówkach po mieście, w starannie ukrywanych łzach, a czasem — w śpiewie.

Dawniej śpiewała często. Były to przeważnie proste piosenki, zasłyszane tam i sam, nucone w ogrodzie i przy robótce, nad stosem dziurawych pończoch, lub nad półmiskiem agrestu, przeznaczonym do drelowania. Słowa same wybiegały na usta, melodia rwała się wpół taktu i powracała natrętnie, lub też nagle, bez żadnej przyczyny skoczny oberek przechodził w poloneza, krakowiak w polkę, a „jeszcze jeden mazur dzisiaj“ — zakończony rzewnie i pianissimo, ustępował miejsca ulubionej piosence, którą w Starych Kątach wszyscy — od dziadziostwa począwszy, a skończywszy na Kublickiej i Nastce — śpiewali mniej lub więcej poprawnie:

*Za Niemen hen precz!  
 Koń gotów i zbroja  
 Dziewczyno ty moja,  
 Uściśnij — daj miecz!*

Zdarzało się nawet, że naprzykład Ania rozpoczynała najniewinniej, obrywając przed domem bratki:

*Za Niemen hen precz!  
 Koń gotów i zbroja  
 Dziewczyno ty moja...*

Melodję podchwytywał przechodzący opodal Józef i hucząc gromkim tonem: „*Za Niemen, za Niemen i pocóż za Niemen?*“ — pojawiał się w stodole. Tam pisarz Kozakiewicz, notując kredą na drzwiach wymłócone worki jęczmienia, dośpiewywał pod płowym wąsem:

„*Czy świat tam piękniejszy...  
Kwiecistsza tam błoń?...*“

A po paru godzinach piosenka powracała znowu pod ganek w piskliwej interpretacji Mani, albo Elżbietki, które przyniosły ją z wieczornego udoju.

„*Koń gotów i zbroja, dziewczyno ty moja, uściśnij — daj miecz!*“ -- słyszały na dobranoc te same kępy bratków, przetrzebionych w południe rękoma jaśnie panienki.

Dobrze było śpiewać jabłoniom w sadzie i świerkom w lesie. Drzewa słuchały pilnie i roznosiły daleko wieść, że ktoś „jechał borem lasem, przywierając z głodu czasem“, albo że: „Jabłoneczka zakwitła, czerwone jabłuszka miała“...

Smukłym, milczącym cyprysom i gajom oliwek, które Ania lubiła dlatego, że cokolwiek przypominały wierzby, mogły się również podobać polskie piosenki, ale najbardziej przypadły do gustu Bertiniemu. Dzień, w którym wysłuchał z sąsiedniego pokoju rzewnej inwokacji do „fijo-

lecka“ stał się bodaj punktem granicznym nowej ery i był brzemienny w konsekwencje.

Owego popołudnia, czesząc włosy przed lustrem, Ania rozśpiewała się pełnym głosem. Sądziła, że jest sama, że nikt nie słyszy, a zresztą — było jej to zupełnie obojętne. Czula potrzebę wyśpiewania się, więc dobywała z pamięci słowa ulubionej piosenki, posyłając ją morzu, skałom i kwiatom pomarańcz, okalających dom:

*Hejże ino fijolecku leśny,  
Czemużeś sie nie rozwinął wcześniej,  
Inoś czekał, aże rosa wzejdzie...*

Obcym, niezrozumiałym słowom towarzyszyła melodja zmienna i tęskna, jak woń fiołków. Znakomity śpiewak nie myślał czekać, aż się ostatnia nuta roztopi w ciszy przedwieczornej; wszedł do pokoju bez ceremonji, wołając:

— Ależ to nadzwyczajne! Cudowne! Wspaniale!

— Co się stało? Co jest wspaniale? — krzyknęła przestraszona Ania.

Bertini jednym wprawnym rzutem oka ogarnął sytuację: ów „nieporządek miły“, ręcznik na ramionach panienki, stos szpilek i grzebieni na toalecie, a przedewszystkiem gruby, rozpleciony warokocz, lśniący w barwach zachodu, jak szczere złoto. Uśmiechnął się i odparł:

— Ta piosenka, ten głos, te włosy... Wszystko razem!

— Ach, mój Boże! — jęknęła Ania — przecież ja jestem nieubrana... To jest właściwie...

— Proszę mi łaskawie darować. Nie spodziewałem się, że „Fanciulla“ siedzi tu sama jedna...

— Trzeba było zastukać — odparła, naprędce splatając włosy. — Przed chwilą myślałam głowę...

— Ja zaś moją zupełnie straciłem! — rzekł z patosem.

Popatrzyła na niego ironicznie, zła, że Bertini ani myśli wynosić się z pokoju. Zamiast w kierunku drzwi, podszedł ku niej i powtórzył:

— Straciłem głowę wobec tylu niespodziewanych wrażeń! Co to była za piosenka? Nie wiedziałem, że „córeczka“ tak ślicznie śpiewa! Czekam na „bis“.

— Nie umiem śpiewać, a tembardziej na rozkaz.

— Ja nie rozkazuję, ja proszę.

Stali naprzeciw siebie w złocistej smudze światła. W tej chwili weszła pani Aneta. Wróciła właśnie do domu. Nie zdjęła jeszcze kapelusza. Zatrzymała się na progu, zdumiona:

— Cóż wy tu... spiskujecie? — rzekła wesolo i pogroziła palcem mężowi: — będziesz mi teraz rodzoną córkę bałamucił?

Był to okres idealnej harmonji małżeńskiej i trwał niezwykle długo, bo już od paru tygodni,

których nie zmącił żaden cień. Pani Aneta rozkwitła znów i odmłodziła. W jasnym kostjumie, z chmarą niesfornych złotych loczków, zaróżowiona od wiatru, wyglądała na rówieśnicę Ani. Śmiejąc się, powtórzyła:

— Spiskujecie? Może przeszkadzam?

— Rozkaż swej córce, aby zechciała zaśpiewać. Od kwadransa napróżno o to proszę — odparł Bertini.

— Aniu, zaśpiewaj! — zawołała bez namysłu, całując ją. — Zaśpiewaj nam, skoro on prosi. Co ci to szkodzi?

— O, właśnie! Co jej to szkodzi? Piosenkę, w której się zakochałem...

Ania uśmiechnęła się: przez chwilę błysnęła jej myśl, aby zaśpiewać — chociaż słowa zrozumie tylko mamusia — popularny „Wlazł kotek“ mazurski:

*Dudni woda, dudni,  
W cembrowanej studni.  
Zakochać się łatwo  
Odkochać się trudniej...*

Ale spojrzawszy na twarz Ugona, straciła ochotę do żartów. Kiedyś, kiedyś jeszcze widziała takie spojrzenie... Ach, te czarne oczy, podobne do krągłych czekoladek i tak samo łatwo roztopiające się, słodkie, prawie lepkie... Można je chwilkami znienawidzić!

— Aniu? — rzekła matka pytająco i z lekką wymówką w głosie. To było niepojęte dla niej: ociągać się, gdy Ugo prosi o jakąś tam piosenkę...

Ania odwróciła głowę ku oknu, szukając w pamięci słów. Ostatnie blaski słoneczne ślały się zlocistemi smugami po gładkiej powierzchni morza. Na niebie, między chmurami, błyszczał seledyn, w chmurach czaiła się purpura i fiolet. Patrząc na tę wspaniałą paletę barw, przypomniała sobie, jak się to kiedyś wróżyło w Starych Kątach:

— Będzie jutro wiatr — pomyślała — ale pogoda pewna.

I nagle słowa same wybiegły na usta:

*„A gdy będzie słońce i pogoda, słońce i pogoda...”*

— To inna melodja — szepnął Bertini, ale śpiewała dalej pełnym, coraz pełniejszym głosem, nie widząc już, nie słysząc nikogo, zapatrzona we wspomnienie jakiejś odległej chwili, kiedy było wiosenne słońce i pogoda — słońce i pogoda w zielonym sadzie, w sercach, w duszach, w każdym zakątku myśli...

Przyczajony pomiędzy cyprysami cień podniósł głowę ku górze, jakby pragnąc wyrzeć, kto tam w obcej, nieznaney mowie ciska snopy słów, pełnych promiennej jasności. Pochyliły się nisko nad morzem różowe chmurki, a wiatr odniósł daleko ostatnie słowa:

*„Będziemy se ku sobie pomykać”...*



O mocny Boże! Jakże dawno śpiewało się te słowa, głosem zdyszczanym od biegu, w rozsłonecznionym sadzie, komuś bardzo miłemu naprzekór!... Z całych sił, pełną piersią, aby napewno usłyszał... Kiedy to było? Na krawędzi wiosnianych lat... Po tamtej stronie przepaści!

Ania umilkła i stała wciąż nieruchoma pod oknem. Usta jeszcze drżały od nagle doznanego wzruszenia, powieki przymykały się same, jakby je raził odblask różowej luny.

Bertini kiwał głową i mruzczał półgłosem:

— Co za skala! Mezzo-sopran, czy alt? Ależ ta „ragazza“<sup>1)</sup> ma całe niebo możliwości przed sobą...

— Prawda, że ślicznie śpiewa? — podchwyciła z dumą pani Aneta. — Ma taki miły, świeży głosik...

— Miły? Świeży? Moja droga, wybacz, ale w tych sprawach ja wydam lepszy sąd od twego. Ona ma głos, rozumiesz? *Głos*, a nie głosik. O tem trzeba pomyśleć. Tego nie wolno zaniedbywać...

— Chcesz powiedzieć, że powinna uczyć się śpiewu?

— Co to powinna! Ona *musi* się uczyć. I to natychmiast.

— Słyszysz, Aniu?

Bertini odetchnął i rzekł z powagą, uroczyście:

— Sam się tem zajmę.

---

<sup>1)</sup> dziewczyna.

— Ty, Ugo?

— Rozpocznijmy naukę od jutra.

— Tybyś ją uczył, Ugo? Ty sam? Ależ... Aniu, czy słyszysz? Ależ to niesłychane! Aniu, słyszysz? Ugo, który nienawidzi dawania lekcyj, który odmawiał nawet amerykańskim milionerkom!...

— ...musiały być brzydkie, jak grzech śmiertelny! — przemknęło Ani przez głowę. Aż ją zdumiał własny sceptycyzm. Ugo Bertini, wielki Ugo Bertini odkrył w niej talent! Chce ją sam uczyć! Bertini we własnej osobie! Czy to było do pomyślenia tam, w Kątach?!... I coby na to powiedzieli dziadzio, babcia, a przede wszystkim — Teresa?! Czy nie zęgałaby się krzyżem świętym, szepcząc: „W Imię Ojca i Syna... Co mi też Ania za niestworzone bajki wyplata...“

Pani Aneta mówiła dalej gorączkowo, rozpromieniona, pogłaskana w swej macierzyńskiej dumie, wniebowzięta poprostu:

— Jakie to szczęście dla niej! Ugo, czy ty to powiedziałaś naprawdę? Czy ona ma naprawdę tak nadzwyczajny głos? Odezwij-że się wreszcie! Jabym na twojem miejscu...

— Powinnam szaleć z radości — pomyślała Ania. — Co mi się stało? Czemu nie umiem cieszyć się, jak mamusia?

Oderwała się wreszcie od futryny okiennej i szła powoli, aby się przytulić do matki i zadać Bertiniemu najmniej chyba potrzebne pytanie:

— Naprawdę? Podobała się moja wiejska piosenka?

— Nie gadać głupstw, nie rezonować, Fanciulla! Stań spokojnie, o, tu przy mnie i — śpiewać.

— Jeszcze to samo?

— Wszystko jedno — rzekł niecierpliwie, prawie szorstko. — Można to samo. Ale z głębokim oddechem, pełnym głosem... Zrozumiano?

Musztrował ją pół-żartem, pół serjo, pouczał, jak ma trzymać głowę, otwierać usta. Zaśpiewała kilka pierwszych taktów zupełnie źle, matowo i sennie. Bertini przyłożył rękę do jej gardła. Głos Ani zadrgał i załamał się. Urwała.

— Spójrz, Anette! Przełękła się! Ma tremę. to dobry znak. Będzie z niej artystka. Nie jestem tem, czem jestem, jeśli z niej nie zrobię wielkiej artystki. Słyszysz, Fanciulla?

Wstał z miejsca i zaczął chodzić po pokoju, gestykując. Na wyrazistej, aktorskiej twarzy malowały się wszystkie uczucia: od radości aż do rozpacz. Mówił nawpół do siebie, szybko, nerwowo i głosem nazbyt podniesionym, jakby pragnąc zagłuszyć inne obrazy, cisnące się przed oczy:

— Śpiewać! Co za cudowna moc w tem jednym słowie! Śpiewać na wielkich scenach, śpiewać całemu światu! Ach, gdyby nie ta głupia, przeklęta wojna! Ale przecież kiedyś się skończy... Pojedziemy, Fanciulla, pojedziemy! Zobaczysz

życie od najpiękniejszej strony! Od strony sławy! Zobacysz kiedyś sama, co to za rozkosz — panowanie nad salą pełną ludzi, których twój głos prowadzi, dokąd zechcesz, poza samą rzeczywistość! Te nuty, rzucające w ciemną przestrzeń widowni, są jak złoty pomost do ludzkich serc! W śpiewie zawiera się wszystko, co warto kochać! Śpiew — to młodość i miłość i tęsknota... Nie warto żyć, by kochać! Warto żyć, aby móż śpiewać! *Vivere per cantare! Cantare!*<sup>1)</sup>)

Ręce pani Anety, złożone jak do modlitwy, majaczyły w zapadającym szybko zmroku. Ręce Ani, oparte o poręcz fotela, zsunęły się wzdłuż ramion matki aż ku jej sercu.

Ugo Bertini stanął, podniósł głowę, obiema dłońmi przycisnął czoło:

— Śpiewać! Śpiewać! — powtórzył w uniesieniu. — Gdybym mógł dzisiaj śpiewać, jak piętnaście lat temu! Jak pięć lat temu! Ten mój młodzięczy głos, który się wyginał jak stal, ale się nigdy nie załamał... Ona nie wie, *ragazza*, że nic nie umie i że wszystko można zdobyć, gdy się ma czas przed sobą! Młodość! Młodość... Mnie nic jej nie powróci, chociaż mam sławę i rutynę i doświadczenie... Ach, dobra szkoła! Umiejętność! Rutyna... Pragnąłbym dzisiaj śpiewać tak, jak ta

---

<sup>1)</sup> Żyć, aby śpiewać.

ragazza przed chwilą: głupio, niezdarnie, dziko, ale pełną piersią, ale — młodo!

Ania patrzyła na Ugonę osłupiałemi, zdumionemi oczyma. Po raz pierwszy dojrzała w nim człowieka, który nad czemś cierpi i kocha — nie tylko siebie i stojące na jego drodze kobiety, — ale coś stokroć większego i wartego miłości: — swoją sztukę. Po raz pierwszy znienawidzony prawie brutal i egoista — mąż nieszczęśliwej mamusi — znalazł iskierkę współczucia w sercu dziewczyny. Więc i jemu także dolega coś? Więc i jego także trawi jakaś nieobjęta ludzką mową niedola? On się też męczy, jak mamusia. jak Teresa... Jak wszyscy!

— Śpiewać! — powtórzył jeszcze raz Ugo Bertini, ale już ciszej. — Czyżbym był już naprawdę za stary, aby zaśpiewać jak ta mała... Jak Ania?

Wyciągnął rękę i przekręcił kontakt na ścianie. Potok światła z elektrycznego żyrandola raptownie zalał pokój. Oświecił wyniosłą postać Ugonę i jego szpakowate skronie. Oświecił też złocisty warkocz Ani i dwie lzy, które z oczu jej matki padły na splecione lalczyne ręce:

— Vivere per cantare! — szepnęła pani Aneta głosem tak zdławionym, że słowa te wsiąkły w ciszę i nikogo z niej nie wyrwały. — A ja żyję tylko po to, aby go kochać...



ROZDZIAŁ IX.  
WULKAN.





— Mamusiu...

— Co, kochanie?

— Muszę z tobą pomówić.

Dłonie pani Anety, gładzące rozpalone czoło córki, znieruchomiały nagle. Twarz drgnęła, skurczyła się boleśnie w przeczuciu spodziewanych, nieuniknionych słów, które padną za chwilę. Ania uniosła głowę z poduszki, jeszcze całej mokrej od łez. Rękoma oplótła czyję matki, przytuliła policzek do jej ramienia i powtórzyła z wysiłkiem, ale spokojnie:

— Muszę z tobą pomówić.

— Teraz, zaraz?

— Tak, mamusiu.

Anna Bertini spróbowała jeszcze odwlec tę chwilę, oddalić kielich z ostatnią kroplą goryczy bodaj na kilka godzin. Szepnęła:

— Głowa cię boli, dziecko. Jesteś zupełnie chora. Pomówimy później, później... o wszystkim... Teraz odpocznij sobie, staraj się zasnąć...

— Nie, mamusiu. Nie usnęłabym zresztą napewno. Muszę ci zaraz powiedzieć coś ważnego... coś niezmiernie ważnego. Tylko, mamusiu, pamiętaj: to już postanowione. To już nieodwołalne.

Pani Aneta przymknęła oczy. Zdało się jej, że

to ktoś inny, nie ona sama, wyrzekł głosem zdławionym i obcym:

— Mów...

Nie odrywając rąk od szyi matki, Ania przechyliła w tył głowę. Spojrzała poważnemi oczyma na tę drogą twarz, tak bardzo bladą i zmienioną, na te rysy ukochane, wyostrzone długiem, niemem cierpieniem. Przez chwilę we wzroku młodej dziewczyny odbiło się wahanie. Ale przeszło. Łagodnie, cicho, lecz stanowczo powiedziała:

— Mamusiu, ja stąd wyjadę.

Stało się. Padło najokropniejsze słowo, to spodziewane, to, które *musiało* przyjść, jako jedyne możliwe rozwiązanie rzeczy zawitych, dręczących, koszmarnych. I nie wywołało krzyku protestu, choć nie wydarło z piersi westchnienia ulgi. Nic. Milczenie.

Zasłony w oknach kołysały się, jak przed chwilą, poruszane niewidzialną dłonią wiatru. Ten sam wiatr muskał pieśczołliwie gałązki pnących róż, zagładających do pokoju. Ten sam wiatr, który niedawno, kilka godzin temu zaledwie zerwał się z drzemki z wnętrza wygasłego krateru i sypnął w oczy Anine rudo-burym pyłem. Jakże mięko falowały teraz firanki! A za oknem, w oddali, rozbrzmiewał czyjś beztroski śpiew. To pewnie ten sam co i przedtem ulicznik, na bronz spalony *lazzarone*, leżąc na urwistem wybrzeżu, dokańczał ogromnego stosu pomarańcz,

które spożywał od świtu, rozrzucając niedbale łupiny dookoła i nucąc w krótkich przerwach tego zajęcia:

*Addio la bella Napoli,  
Addio, addio!...*

Ania drgnęła i powtórzyła mocniejszym głosem:

— Tak. Muszę wyjechać.

Znów milczenie, najstraszliwsze milczenie, kryjące w ciszy swej bezradną zgodę — i dopiero po chwili wątle pytanie:

— Dokąd?

— Wszystko jedno, — odparła Ania, czując, że teraz już lżej mówić. Słowa, przechodzące przez gardło, nie dławily tak i nie grzęzły w ustach.

— Wszystko jedno. Do kraju, do Starych Kątów... Gdziekolwiek.

I znów tylko spojrzenie matki, błagające o litość. Nie pytały te oczy: „Dlaczego?“ Nie mówiły: „Zostań, dziecino moja, zostań ze mną!“ — prosiły niemo i pokornie: Zrozum. Ty rozumiesz, prawda? Rozumiesz...

Tak, Ania rozumiała. Rozumiała teraz tak wiecie i tak dalece, że palce jej, zablakane we włosach biednej „mamusi“ dopełniały pieśczęoty słów:

— Nie masz pojęcia, jak mi ciężko... Rozstać się z wami! Z tobą, moja najmilsza, moja naj-

droższa mamusiu... Ale nie mogę tu pozostać! Nie mogę, nie mogę, nie mogę!

Powtórzyła te słowa kilkakrotnie, jakby pragnąc usypać z nich mocną tamę, wytrzymała na zaklęcia i prośby, które nie nastąpiły. Pani Aneta wciąż suchemi oczami patrzyła w jeden punkt, poza głową córki widniejący na ścianie. Był to mały krążek światła, wywołany odbiciem się promieni słonecznych w kryształowym wazonie. Krążek ów drgał i mienił się barwami tęczy.

— Żółty i czerwony we środku, a fioletowy po brzegach... — mechanicznie coś powtarzało w starłej na miązgę świadomości, zaś usta spytały lakonicznie i blado:

— Kiedy chcesz jechać?

— Jutro, pojutrze... Jaknajprędzej.

— Jaknajprędzej! — powtórzyła matka jak echo. — Ale to przecież nie da się przeprowadzić tak łatwo. I jakże ty pojedziesz — sama? Trzeba mieć pozwolenia, dokumenty... I jakże ty...

Nagle pękło milczenie. Rozpacz zerwała pieczęć ze słów niewczesnych, obolałych przeszłością, oblepionych krwią już zakrzepłą i krwią jeszcze żywą, gorącą, która buchnęła wartką lawą z przygasłego w sercu, zmartwiałego do niedawna wulkanu:

— I tak było dobrze! Tak jasno! Już zaczynałam wierzyć, że stał się jakiś cud! Dziękowałam losom za wszystko: że mi ciebie zwróciły... i że

Ugo porzucił scenę... I że tu jesteśmy, jakby odcięci od świata... Nawet od wojny. Wierzyłam już... tak już wierzyłam — że nic nam nie zagraża, że wszystkie łzy zostały wypłakane... Że będzie wreszcie jakieś wymarzone szczęście i spokój... I teraz — Aniu! Aniu! Ja wiem, to jest potworne, ale nie mogę cię zatrzymać... Nie mogę krzyknąć: Nie jedź! Nie mogę nic uczynić, co by nie powiększyło nieszczęścia... Wyjechać razem z tobą? Brak mi sił... Zostać tu? Zostać przy nim, dopóki się nie zagoi ta świeża rana... Ale nie mogę go porzucić! Nawet teraz... I może teraz właśnie będę mu jednak potrzebna...

Płakała, zanosila się wprost od płaczu i tuląc Anię coraz mocniej do siebie, jęczała wśród łkań:

— Ach, ten człowiek! Ten człowiek! Tak wszystko zburzyć... Tak podeptać!.. Tak zniszczyć czyjeś życie i swoje własne! I to właśnie teraz, gdy mogło być tak dobrze... Gdy zaczynało być dobrze...

---

Mówiła prawdę biedna mamusia.

Z początku było dobrze, nawet ogromnie dobrze. To, co miało wybuchnąć, jak wulkan, nadciągało powoli, czało się w jakimś niedopowiedzianem słowie, przebłysnęło czasami w jakimś niezauważonem spojrzeniu. Była w atmosferze duchowej taka sama pogoda lazurowa i modra,

jak nad słodką, jasną zatoką; rozpoczęła się nawet — na gorejącem tle wojny — istna sielanka w cichej willi, którą zamieszkiwało troje najszczęśliwszych pod słońcem ludzi.

Tak z początku sądzili, tak chcieli wierzyć, a potem — kłamali sobie nawzajem. Wszystko, co działo się na świecie, podpływało do brzegów tej spokojnej przystani i znów cofało się w głąb, w inną rzeczywistość. Czytywano gazety, biadano, gorączkowo oczekiwano wieści. Ale były także dni, poświęcone jedynie słońcu i czarownej beztrosce. Jak w bajce, układało się wszystko najpiękniej i najpomyślniej. Dysonanse zjawiały się jedynie po to, by tem lepiej uwydatnić harmonję.

Bertini poweselał, był „przemily“ jak nigdy. Nawet Ania myślała coraz częściej, że mamusia ma słuszość. On potrafi być tak uroczy, jak nikt, chociaż miewa swoje dziwactwa i swoje „gorsze“ chwile, gdy jest — nieznośny. Ale od pewnego czasu „gorsze“ chwile zdarzały się rzadko, a i wtedy nawet nie psuły pogodnego nastroju.

— Trzeba się z tem pogodzić wreszcie — rzekł kiedyś — starzejemy się Anno! Trzeba sobie powiedzieć „basta“ i nie wymagać wiele dla siebie. Ot, jest na szczęście z nami ta „ragazza“... Jak się bardzo zatęskni do przeszłości, wystarczy popatrzeć na nią. W tych oczach błyszczy

prawdziwa młodość, niefałszowana, nie udawana, jak nasza.

— Moi wy staruszkowie! — śmiała się Ania.

Śmieli się wszyscy troje. Śmiała się nawet „mamusia“, młoda i śliczna jak nigdy. Śmieli się bezsensownie, długo, z całego serca. A potem poszli zgodnie na spacer, bo trzeba przecież pokazać „córeczce“ trochę świata.

Przypomniano sobie raptownie, że przecież Ania właściwie nic dotąd „na serjo“ nie widziała.

— Przysłali tę figurynkę w szczelnie opakowanym pudełeczku z etykietą: „Nowość ze Starzych Kątów“. Stało to sobie u stóp boskiego Wezuwjusza i buzię otwiera ze zdumienia... — żartował Bertini, ciesząc się zachwyta mi Ani tak mocno, jakby skierowane były do niego. — Niechże się przynajmniej dobrze napatrzy i nadsziwi, by kiedyś mogła powiedzieć, że zna te cuda, o których ludzie piszą i śpiewają na całej kuli ziemskiej...

Zawieziono więc Anię samochodem wzdłuż zatoki Amalfi, by sobie zapamiętała zasadniczy koloryt Włoch południowych; do świątyni w Paestum i do Pompei, by zobaczyła przeszłość w ruinie i przeszłość zabalsamowaną; do muzeów, — aby zdobyła przeświadczenie, że czas w ramionach sztuki wogóle nie istnieje. Wszystko, co było, jest i będzie — dawno wyryte zostało mar-

murowemi zgłoskami w jednym przegięciu biodra greckiego posągu i wyśpiewane w jednym konturze etruskiej wazy.

Zwiedzono wreszcie grootę lazurową i grootę psią, która najmniej podobała się Ani, była bowiem ciemna i duszna i pachniała mniej więcej tak, jak pachnie przed wiosną piwnica w Starych Kątach, gdy kapusta i brukiew zaczynają gnć na potęgę.

Za to jaszczurki w Paestum miały złociste, mądre oczy i prawie nie uciekały, a z Wezuwju-  
szem stałe działy się rzeczy przedziwne: to się zmieniał w rycerza, miał nad głową wspaniały, biało-szary pióropusz; to otaczał się dymem, jak serpentynami, to stał w pogodnem niebie zadumany i cichy, potulny, niby jagnię, nikomu krzywdy uczynić niezdolne, ani nawet o niej zamyslać...

Wycieczki odbywały się przeważnie popołudniu. Rankami była pańszczyzna, czyli gamy.

— Do-re-mi-fa-soll!... — śpiewała „Fanciulla“ bez przekonania, czasem poprostu nieuważna, leniwa, — doprowadzając Bertiniego do pasji, albo zła, że znów jej kazał powtarzać „do-si-lasoll“... Jak gdyby od sposobu wzięcia tych nut zależały conajmniej losy Europy środkowej.

— Kto tak śpiewa! — krzyczał, podczas gdy Ania gapiała się na ściany, poziewając ukradkiem. — I ona chce zostać artystką!



— Ja wcale nie chcę! — odpowiadała i gubiąc się w przypadkach i konjugacjach, tłumaczyła na język włoski polskie przysłowie: — Każdy ptak śpiewa, jak mu dziób wyrósł. Mnie moje śpiewanie wystarcza najzupełniej.

— Ale mnie nie wystarcza! Capisce? Ach, cattiva, cattiva ragazza! <sup>1)</sup> Mieć głos, jak południowe słońce i — świdrować nim dziury w bębenkach! Jeszcze raz, od początku!

— Chodźmy lepiej na spacer, Ugo! — prosiła. — Słońce tak ślicznie świeci...

Wzruszał ramionami, gniewał się, mruzczał — ale koniec końców szli daleko — „kędy oczy poniosą“, — brzegiem morza, albo wgląd tego cudnego ładu, który pachniał, napęlniając oczy szmaragdem, złotem i błękitnem.

Wieczorami odbywały się inne lekcje. Bertini uczył Anię swojej mowy ojczystej. Pani Aneta robiła koronkową serwetkę, spojrzeniem pełnym dumy i niewysłowionej radości ogarniając dwie głowy, pochylone ku sobie w świetle lampy nad podręcznikiem. Dwa głosy powtarzały kolejno, lub unisono:

— *Io amo*

*Tu ami*

*Egli ama... <sup>2)</sup>*

---

<sup>1)</sup> zła, niedobra dziewczyna!

<sup>2)</sup> Ja kocham, ty kochasz, on kocha.

— A jak będzie czas przeszły? — pytał Ugo.

— Io... amava...

— Dobrze, dobrze, śmiało! — żartował. — czy to tak trudno powiedzieć gramatycznie, choćby nawet „Fanciulla“ nikogo nie kochała?

I raptownie padło pytanie:

— I czy też nie kochała się nigdy, w nikim?... Ani troszeczkę?

— To nie należy do gramatyki — odpaliła, piekąc tak zwanego po polsku „raka“.

— A więc pytam prywatnie.

— Teraz jest lekcja.

— W takim razie po lekcji, prawda? Po lekcji powie mi „Fanciulla“ na ucho, czy to rzeczywiście możliwe, aby tam, w waszym kraju, serce mogło pozostać, jak śnieg, do dziewiętnastej wiosny życia...

— Dajże jej spokój, Ugo! — wtrąciła pani Bertini, „widząc, że Ania znów oblewa się łuną różową. — Cóż to za indagacje?

Ale on już zapomniał o wszystkim. Podniósłszy oczy do góry, powtarzał zadumany:

— Dziewiętnaście lat! Dziewiętnaście lat!... I pomyśleć, że ja też miałem je kiedyś...

Dla nabrania wprawy w konwersacji, Ania musiała opowiadać. O czym? Naturalnie — o czym by? O Starych Kątach. Bertini zanosił się od śmiechu, gdy po raz pierwszy przełożyła po swojemu na język włoski tę nazwę. Opowiadała

o dziadku, o starym dworze, o domownikach. Brakło jej słów, więc dopełniała gestami poważne luki w zdaniach. Opisywała z przejęciem, jakie tam w Kątach panują obyczaje: wszyscy obowiązkowo muszą się schodzić na wspólne modlitwy. Zwłaszcza nabożeństwa majowe i odmawianie różańca w październiku trwało poprostu bez końca.

— I trzeba było klęczeć?

— Naturalnie.

— Codzień przez pół godziny?

— Czasem daleko dłużej.

— Ależ to straszne! — wołał — mogła sobie „ragazza“ odcisnąć kolana. Biedne kolanka, pewnie bardzo bolały?

Ten żartobliwie - poufały ton nie podobał się Ani. Odrazu odbiegała ją ochota do śmiechu. Odpowiadała z powagą, mierząc Ugonę nieżyczliwym spojrzeniem:

— To dobra gimnastyka dla ciała i dla duszy.

— Oh? Doprawdy?

Śmiał się i dodawał, składając ręce:

— Błagam o przebaczenie. Zapomniałem, że w Starych Kątach wszystko jest najmądrzejsze i najlepsze...

— Bo tak jest! — ucinała krótko.

Często umyślnie podżartowywał z jakiejś drobnostki, która w uczuciach Ani nabierała natychmiast cech niemal świętobliwych. Ze wzrokiem

roziskrzonym broniła „swego domu“. Pani Aneta uśmiechała się z rozmarzeniem do własnych wspomnień, a Bertini wtrącał półgłosem:

— Ktoby przypuścił, że ta jasnowłosa dziewczynka potrafi gniewać się z takim temperamentem!

Czasami pani Aneta przerywała zawziętą dysputę, mówiąc:

— Dosyć już, dosyć! Doprawdy, wydaje mi się, że mam nie jedno, ale dwoje dużych, niegrzecznych dzieci!

Wszystkie te żartobliwe utarczki i dziecinne przekomarzenia się, zakończone ogólną weselością, należały do rytuału i stanowiły część najszczęśliwszej epoki.

Drobne utarczki, pojawiające się na tem pogodnem niebie, rozwiewał jeden uśmiech, lub jedno słowo z ust „Fanciulli“. To, że Bertini z najlepszego humoru przechodził nagle w nastrój niemal tragiczny, nie budziło niczyich obaw. Taki był przecież zawsze od najdawniejszych czasów. Nawet w domowem zaciszu zostawało w nim coś z aktora. Lubił i musiał zawsze grać, choćby sam z sobą, chociażby publicznością była jedynie własna żona. Teraz audytorjum powiększyło się o jedną istotę i oto wobec tej młodziutkiej dziewczyny wszystkie dawniejsze *atuty* okazały się nagle... blotkami. Znakomity artysta rzucił karty, którym zawdzięczał niejeden sukces i jał śpie-

wać w minorowej tonacji ulubioną od jakiegoś czasu piosenkę; różne jej warjanty miały jedno motto: Jestem stary. Zaczynam tracić głos. Ta mała przewyższy mię o całe niebo; wkrótce ona dojdzie do szczytów, podczas gdy ja...

Wzdychał, wznosił oczy ku niebu i powtarzał po raz dziesiąty:

— Tak. To już dziś dla mnie widoczne. Stoję na pograniczu klęski. Bo kto nie idzie naprzód w sztuce, ten się cofa.

Pewnego dnia znowu poprosił Anię, by zaśpiewała jedną ze swych dawnych piosenek. Słuchał z przymkniętymi oczyma, a gdy skończyła, zawołał:

— Nie mówiłem? Ona nie idzie naprzód: ona biegnie! Za kilka lat...

Wtedy to — wtedy — pani Aneta ozwała się niespodziewanie:

— Kto wie, co będzie za kilka lat.

— Jako... co będzie?

Bertini siedział na fotelu, mamusia, pochylona nad stołem, układała kwiaty w wazonie. Twarz miała w cieniu, a pomimo to Ania dostrzegła ów przekorny uśmiech, towarzyszący słowom:

— Może wyjdzie zamąż? Może już będzie miała swój własny dom, dzieci...

Nie było w tej odpowiedzi nic niezwykłego. Nie było żadnej wyrafinowanej okrutnej myśli, nie było zbrodni. Czemu więc twarz śpiewaka zmie-

niła się tak strasznie? Pobladł i nie panując nad głosem, krzyknął:

— Co powiedziałaś? Ania miałaby...

Pani Aneta uśmiechała się jeszcze pogodnie i cierpliwie:

— Przecież to chyba naturalne, że pragnęłabym tego dla niej. Przeznaczeniem każdej kobiety...

Urwała, bo wieko fortepianu trzasnęło przeraźliwie. Bertini wstał, oparłszy na niem obie pięści. Twarz traciła powoli bladość, lecz w oczach migotał wściekły gniew. Patrzył na żonę bez słowa przez chwilę, wreszcie wysyczał:

— O, ja wiem! Dla ciebie szczyt szczęścia, to spētać czyjąś wolność! Przeznaczenie kobiety! Przeznaczenie każdego człowieka, to iść za głosem powołania. Ona będzie artystką, ona musi zostać artystką! To jest jej przeznaczenie!

Stał pochylony nieco naprzód, wystukując palcami na lśniącej politurze jakiś wściekły akompanjament do własnych myśli.

Pani Bertini rzekła głosem cokolwiek drżącym:

— Nie rozumiem, Ugo, co ci się stało? Czy powiedziałaś coś złego?

— Ty nigdy nie wiesz, co mówisz — mruknął.

— Gdybym mogła przypuścić, że tak się przejmiesz na samą wzmiankę o zamążpójściu Ani, nie poruszyłabym nigdy tej *drażliwej* kwestji — odparła z kolei pani Aneta głosem podnieconym.

Wtedy wreszcie odezwała się Ania:

— Moi państwo, co to ma znaczyć? Słucham, jak się sprzeczcacie i — doprawdy — nie rozumiem, o co wam chodzi? Przecież chyba w tych sprawach mnie przedewszystkiem wartoby spytać o zdanie. Otóż oświadczam niniejszym — czy słyszysz Ugo? — oświadczam, że marnej doczekasz się ze mnie pociechy. Śpiewać lubię, ale tylko dla siebie... No, ostatecznie dla was także czasami. Ale nie czuję najmniejszych skłonności do występowania na scenie. A co do zamążpójścia...

Zawahała się:

— Narazie mi to nie grozi. Ale się nie zarzekam na przyszłość. *Chi lo sa?*<sup>1)</sup>

Drobne to zajście zostało więc zlikwidowane. Bertini podchwycił żartobliwy ton Ani, mamusia miała już oczy pełne dobroci i spokojną, uśmiechniętą twarz. Ale na dnie duszy pozostał jakiś czad.

— Co się z nim dzieje? — rozmyślała tego wieczoru pani Aneta. — Czemu się uniósł gniewem na samo przypuszczenie, że Ania mogłaby nas opuścić? Wogóle, Ugo zanadto się przejmuje wszystkim, co jej dotyczy. Zawsze, zawsze to samo: egzaltacja, brak miary w każdym uczuciu...

Znała dobrze ten brak miary w uczuciach swego męża.

Bertini długo jeszcze wałęsał się po ogrodzie, oznajmiwszy, że głowa go boli, że w mieszkaniu

<sup>1)</sup> Kto to wie?

jest duszno i że miał dziś zamało ruchu. W jakiejś chwili znalazł się w pobliżu okna, nieszczelnie zasłoniętego roletą. Przez szparę widać było lampkę na nocnym stoliku i jasną głowę Ani; profil jej rysował się mocnym konturem na ścianie. Czytała coś i usta jej niekiedy poruszały się lekko, jakby szeptem powtarzając niektóre zdania.

Bertini sam nie wiedział, jak to się stało, że podszedł jeszcze bliżej, aż do samego parapetu okna i rzucił od niechcienia, półgłosem:

— Ania!

Wymawiał to imię swoiście, mięko, jakby w niem była zgłoska „j“. Powiedział „Anja“ i w tej samej chwili uświadomił sobie, że popełnia gruby nietakt. Ale już było zapóźno. Panienska usiadła, zgarniając koldrę na piersiach i zawołała:

— Kto tam?

— Nie bać się. To ja. Dlaczego „Fanciulla“ nie śpi i czyta po nocy?

— Jeszcze mi się spać nie chce — odparła. — A dlaczego Ugo, zamiast iść spać, chodzi po ogrodzie i straszy spokojnych ludzi?

— Spaceruję sobie — rzekł, aby coś odpowiedzieć. — Co „ragazza“ czyta z takim zajęciem?

— List.

— Zawsze ten sam list z domu?

— Zawsze.

— To chyba niezwykle zajmujący list?



— Dla mnie bardzo — odpowiedziała coraz mocniej zdziwiona, że Ugo nie odchodzi od okna.

Bertini poczekał jeszcze chwilę, poczem rzekł:

— Dobranoc, Fanciulla. Radzę iść spać.

— Dobranoc, Ugo!

— Buonanotte!

— Buonanotte.

Poszedł sobie nareszcie. Ania usłyszała trzask drzwi wejściowych i milknące w głębi mieszkania kroki. „Ci mężczyźni są zawsze jednakowi“ — przemknęło jej przez myśl — lubią wystawać pod oknami i wszczynać nocne pogawędki. Czego on chciał właściwie? Po co te zapytania?

Włożyła do koperty list Karola. Intermezzo z Bertinim obudziło w niej wspomnienie chwili, gdy w podobnie księżycową noc inny ściszony głos wypowiedział jej imię. Jakże to było straszliwie dawno! Co porabia w tej chwili Karol? Czy myśli o niej? Czy pamięta? Czy zawsze kocha ją wiernie — „aż do grobowej deski“?... Nie zastanawiała się nad tem zbyt długo bo mocny, zdrowy sen kategorycznie dopomniiał się o swoje prawa.

Nazajutrz — i na trzeci dzień — i przez cały następny tydzień — Bertini był jakiś nieswój. Zdawało się, że unika rozmowy, zarówno z żoną, jak z Anią. Unikał nawet ich towarzystwa. Wychodził z domu na całe popołudnia, przestał nawet ściśle pilnować godzin lekcji. Pani Aneta rzekła któregoś dnia do córki, nie patrząc na nią, ale

z takim akcentem, jakby chciała zapytać: Czy to nie z twojej przyczyny?

— Ugo znowu zaczyna kaprysić. Boję się, że już sobie uprzykrzył nasz obecny tryb życia.

Westchnęła i dokończyła ciszej:

— I tak, dziwnie długo to trwało.

Tego samego popołudnia zjawił się niespodziewanie dość wczesnie i oznajmił żonie ponuro:

— Telegrafowałem do mego impresarja.

— Po co? — spytała niespokojnie.

Wzruszył ramionami:

— Trzeba wreszcie coś postanowić. Dostyc tego próżniactwa. Nie jestem przecież jeszcze dymisjonowanym śpiewakiem!

Mówił tonem podrażnionym, jak człowiek, któremu coś dolega, a wszyscy domownicy postokroć dopytują o jego samopoczucie.

Wieczorem usiadł przy fortepianie i zaczął nucić, jedną po drugiej, swe popisowe arje.

Pani Aneta snuła się po domu tak cicho, jakby miała obawę, że spłoszy własny cień. Przystawała na progu i przez szparę we drzwiach patrzyła na męża wylękłemi i smutnemi oczyma. Powietrze było parne, jak przed burzą i duszna woń kwiatów, przepelniająca mieszkanie, wzmacniała jeszcze ten dziwny nastrój, w który padły wreszcie jasne, dźwięczne słowa z ust Ani:

— Jeszcze tę arję z Toski, Ugo! Tę z ostatniego aktu, dobrze?

Bertini wziął kilka akordów, podniósł głowę... I nagle zaczął śpiewać pełnym głosem, jak w teatrze przy podniesionej kurtynie: „O dolci baci“...

W miarę, jak rosła siła tęsknoty w słowach pieśni, rósł i potężniał głos wielkiego tenora; w najwyższych akcentach bólu doszedł do najwyższego napięcia. Drżały na konsolach porcelanowe figurynki i żyrandol jął dzwonić szklanymi pałeczkami. Śpiew uderzał w sufit i ściany, rozbijał się o mur, powracał nową falą i rósł ciągle, aż wreszcie załamał się, rozprysnął w szlochaniu, którem nabrzmiały ostatnie, ściszone już, sieroce nuty finału.

Długo jeszcze wibrowało powietrze, unosząc na swych przezroczystych skrzydłach jęk duszy zbolelej i młodości, która żegna się z życiem. W jakiejś wreszcie chwili drżące wargi pani Anety wyszeptaly:

— Ugo! To było cudowne! To było piękniej, niż wtedy w Paryżu... niż kiedykolwiek...

Oczy Ani, podobne do oczu matki, błyszczały jak dwa drogie kamienie, oprawne w heban rzęs. Ku tym oczom pobiegło spojrzenie Ugoni i utonęło w nich triumfalnie, a słowa miały tylko zewnętrzzną formę pytania:

— Ha! Fanciulla? Umiem jeszcze zaśpiewać? Nie jestem jeszcze starym gratem, któremu może zbraknąć tchu?

— Któż to mówił, Ugo? Chyba ty sam, gdy cię

zaniepokoi chwilowa chrypka — krzyknęła pani Aneta i wyciągnęła do niego obie ręce.

Nie zwrócił żadnej uwagi na jej serdeczne słowa. Wstał od fortepianu i podchodząc ku Ani, zawołał:

— No, powiedz szczerze: słyszałaś kiedy, bym piękniej zaśpiewał tę arję?

— Nie mogło być piękniej, — odparła, patrząc mu prosto w oczy.

— Śpiewałem dziś na twój rozkaz, Fanciulla... Mięki głos zniżył się do szeptu:

— ...i dlatego, by ci powiedzieć, że jeszcze lepiej mógłbym to śpiewać do ciebie, kiedyś, na wielkiej scenie, wobec tysiąca osłupiałych z zachwyty widzów... I że to jest prawdziwe powołanie kobiety: podnosić ducha ku szczytom, a nie pętać go i przyginać do ziemi! Rozumiesz mię Fanciulla? Prawdziwy artysta musi być wolny, jak ptak, musi mieć zawsze niepodcięte skrzydła, gotowe w każdej chwili do górnego lotu, do najwyższej ekstazy!

Obie kobiety знаły już te wzniosłe nastroje Bertiniego. Mimo to, Ania słuchała z oczami pełnymi podziwu, a pani Aneta z rozpaczą, że wygasły pozornie wulkan znów daje znać o sobie lawą gorących słów. Tak bardzo wiele ucierpiały w życiu jej nerwy od tych ognistych wybuchów, że nagle ocknął się w niej bunt:

— Milcz! — zawołała i nagłym rzutem naprzód

znalazła się pomiędzy mężem a córką. — Dość tego, Ugo! Dość tych bredni!... Nie mąć w głowie memu własnemu dziecku! To są słowa, Aniu! Próżne i puste słowa... Dlatego tak donośnie dźwięczą! Ach, Ugo! Z ciebie jest naprawdę wielki artysta, ale i nie mniejszy kabotyn! Zawsze grałeś samego siebie i upajałeś się sobą! Ja ci pozwalałam na twoje „górne“ loty, choć wiem, jak każdy z nich miał na imię... Bo cię kochałam! Bo widziałam w tobie artystę, któremu wiele wolno. Nawet deptać bezkarnie po mojem sercu! Nawet zniszczyć doszczętnie moje życie... Ale teraz...

Zachłysnęła się krótkim szlochem i mówiła dalej gorączkowo, połykając słowa, urywając sylaby, cała zmieniona w tarczę, która musiała za wszelką cenę obronić tych dwoje najdroższych sercu ludzi, — przeciw nim samym.

— Nie wierz mu, Aniu! — prosiła. — On kłamie, jego słowa kłamią, jego serce kłamie! On kocha tylko siebie — nawet w sztuce! Nie trzeba pięknie mówić, należy pięknie żyć... Ach, Ugo, Ugo! Po co ty oszukujesz nietylko siebie, ale i to dziecko, które nic jeszcze nie zrozumiało... Jesteś już stary, — tak, stary wobec niej, — a ciągle ci się zdaje, że szczęście, to szereg jakichś cudownych przygód miłosnych, z których każda jest pierwszą i nie będzie miała następnych! Twoje życie, Ugo, to także *Wielka Scena*, na której tylko zmieniają się primadonny w tych samych rolach! Ale ja nie

pozwolę, rozumiesz, nie pozwolę, byś prawil brednie o „powołaniu“ mojej córce, która mogłaby równie dobrze być twoją córką... Ile ty masz lat, Ugo! Ile ty masz lat! I zawsze jesteś ten sam, zawsze ci się wydaje, że tylko ty masz niestrudzone skrzydła, a czas jest ślepy i bezbronny wobec twych coraz nowych pragnień, coraz nowych wzlotów na szczyty! To nie ty, to — *ona* ma dzisiaj życie przed sobą! Ania! To *jej* niewolno przysłaniać dłonią oczu i wmawiać zdradliwemi szeptami: „tylko sztuka jest pięknem, tylko mój śpiew jest sztuką!“ Życie ma tyle barw... Jedne jaskrawo krzyczą, a inne modlą się cicho i też są komuś miłe... Ach, Ugo, — stary już jesteś i może nigdy się nie dowiesz, ale ta dziewczyna już dzisiaj wie, że jest inny świat, ten, z którego tu do nas przyszła, ten sam, z którego ty mię niepotrzebnie wyrwałeś...

Ucichła nagle. W jej oczach malowało się teraz przerażenie i prośba o litość. Może powiedziała zbyt wiele? Może padły słowa, których już niepodobna cofnąć i po których niema przebaczenia?

Ale Ugo Bertini milczał. Nie wpadł, jak zwykle, w szal wściekłości, gdy próbowała zatrzymać go na krawędzi jakiegoś nowego uwielbienia w nowem uosobieniu. Nie powiedział grubjańsko: Jesteś głupia i płytką; lub: Popatrz w lustro; lub: Dałabyś wreszcie spokój z temi twojemi urojeniami! Stał pochylony, jak winowajca, ze wzro-

kiem osłupiałym, z twarzą szarą i nagle postarzałą. Dopiero po długim, długim milczeniu rzekł cicho:

— Masz słuszność, Anette. Jestem już stary... i niepoprawny... Zawsze kłamałem innym i sobie... Ale to już skończone. Może się nigdy nie ulecę, ale nie będę więcej kłamał. Ani przed sobą, ani przed tobą...

Spojrzał na Anię i zawahał się:

— Chyba może przed nią. Ale to tylko dlatego, Anette, by się nie przestraszyła mojej prawdy i nie chciała uciekać przed nią w świat... Byłoby nam obojgu smutno bez ciebie, Fanciulla — i zanadto samotnie...

I nie tego Ugoną Bertini przestraszyła się Ania. I nie owego wieczoru postanowiła wyjechać, wyjechać dokądkolwiek, byle prędzej... Zrozumiała konieczność ucieczki o wiele później, po wielu dniach pozornej ciszy i wielu słowach, które spływały na dno duszy, jak krople wody, aż nagle okazało się, że żłobią na niej ślad głęboki, bolesną drogę do nowych łez „mamusiu“ i do pierwszych jej własnych.

Na szczycie wulkanu, patrząc oślepleni z płaczu oczyma w przepastną głąb milczącego krateru, pomyślała Ania po raz pierwszy mocno i nieugięcie, zanim przyszła to matce powtórzyć:

— Mamusiu, ja stąd wyjadę...

Wezwujsz tego dnia był pogodny i cichy jak

niebo, w które patrzył otchłanną głębią swego tajemniczego wnętrza. Nic nie zapowiadało wybuchu.

I twarz Uгона była cicha i pełna skupionej uwagi, gdy się pochylił ku Ani, by jej dopomódz wchodzić po sypkiem zboczcu góry. Nic nie zapowiadało wybuchu, ani tego nagłego pocałunku, który spadł na usta dziewczyny i nietylko przytłoczył je, zmiażdżył ciężarem obcych warg, ale obrócił w ruinę całą dotychczasową egzystencję trojga ludzi.

Następne godziny i lzy, w przyszłości wyplakane, miały już inny posmak. Czarny lej Wezwuszowego krateru był pierwszym niemym świadkiem walki, która się rozegrała w tajni serca, zanim rozdarły milczenie pierwsze słowa zwrócone do matki:

— Muszę z tobą pomówić.

---



ROZDZIAŁ X.

REMINGTON STANDARD TYPEWRITER  
NR. 10.

<http://rcin.org.pl>

Stara i rozklekotana maszyna, nosząca napis: Remington Standard Typewriter Nr. 10 stoi pod trzecim oknem, licząc od drzwi wejściowych i do ósmej rano wypoczywa pod czarną pokrywą z lakierowanej blachy.

O późnym świcie jesiennym, gdy na ulicy palą się jeszcze nieliczne latarnie, wchodzi woźny. Niedbałym i znudzonym ruchem omiata biurka i stoły, czasami też miotką z wystrzępionych i brudnych piórek przeslizgnie się po wieku, osłaniającem spracowane klawisze; potem sukna, przyciśnięte stopami w grubych dziurawych pantoflach wędrują po froterowanej posadzce. Najwięcej roboty jest zawsze z wydepaną przez interesantów ścieżką, prowadzącą od drzwi wzdłuż drewnianej barjery, która dzieli długą salę na dwie części. Zwłaszcza w niepogodne, jesienne dni, zacierając liczne ślady błota, naniesionego przez klientów, woźny Hipolit mruczy pod nosem:

— Cholera z tą publiką! Nogów nawet nie wytrą na dole...

Z wybiciem ósmej pracownicy biura są już w komplecie. W zaspanych oczach od pierwszej minuty maluje się znużenie i troska; czasem padnie jakieś zgryźliwe słowo, czasem schyleni

nad sąsiadującymi biurkami koledzy rzuca kilka zgorzkniałych zdań o drożyznie, o wątpliwej podwyżce płac, o niemożliwości kupna ciepłego ubrania nawet na raty. W miarę, jak mała wskazówka zegara posuwa się ku górze, milkną prywatne rozmowy, słychać szelest papierów, nieustanne trzeszczenie maszyn i rosnący za drewnianą balustradą gwar głosów. Oczekująca na swoją kolejkę publiczność kaszle, chrząka, ziewa, klóci się z urzędnikami i drepce po wyznaczonej sobie przestrzeni. Wogóle — zachowuje się niesfornie, to też woźny Hipolit spogląda na ów szary tłum z nietajoną pogardą. Od czasu do czasu pada czyjeś nazwisko, — wtedy robi się małe zamieszanie: ktoś przepycha się naprzód, toruje sobie drogę łokciami, ktoś potrącony robi cierpką uwagę o braku kultury w dzisiejszych czasach, ktoś woła: „Ja także od godziny tu stoję!“ — i znowu gwar powraca do normalnego napięcia, szeleszczą przewracane papiery, stukają Remingtony i Underwoody, skrzypią stalówki.

Urzędniczka, zajmująca miejsce pod trzecim oknem (licząc od drzwi wejściowych!) nie zajmuje się nastrojem sali i rzadko rozmawia z kolegami. W krótkich przerwach, gdy palce skończyły wystukiwać jakąś kolumnę cyfr i beczynnienie opadły na kolana, młoda osoba odwraca głowę ku oknu i poprzez zmętniałe szyby śledzi strugi deszczu, lub drganie pyłków słonecznych

na tle zawsze tych samych, brudnych i odrapanych murów. Nawpół jeszcze dziecinna twarz ma wyraz dziwnej powagi. Oczy patrzą uparcie w przeciwległe okno, za którem majaczy biała sylwetka dentystki, dłubiącej pacjentom w zębach od dziewiątej do drugiej i od czwartej do szóstej. Ale oczy niezawsze widzą ów monotony obraz: często są zadumane i nieobecne w tej brzydkiej, szarej i nieciekawej dzielnicy warszawskiej, tak dalece nieobecne, że dopiero obcy głos tuż nad samem uchem rozbrzmiały, przywraca im barwę rzeczywistości.

— Panno Anno, czy rachunek dla firmy X już gotowy?

Wtedy po plecach panny Gołębiowskiej zbiega króciutki dreszcz. Ręce odruchowo opiera na klawiszach Remingtona, objaśniając matowym głosem:

— Właśnie przed chwilą Hipolit zaniósł go do podpisu.

I pochylona nieco naprzód, zakłada pośpiesznie kalkę pomiędzy dwa arkusze papieru, aby za chwilę znów rozpocząć nerwowe a monotonne wystukiwanie cyferek i liter, słów i liczb...

Ale i wtedy można być nieobecną, można — w zewnętrznem skupieniu zmysłów dotyku i wzroku — podróżować w przestrzeni i czasie, wmyślać się w poszczególne fragmenty minio-

nych dawno przeżyć, wykrzesywać je nanowo z przeszłości.

Remington Typewriter Nr. 10 nie jest wrogiem tych odkradzionych rzeczywistości chwil. Największym wrogiem są niedziele, które jak słupy migające za oknem wagonu, znaczą daleką drogę, odbytą w niepowrotnym kierunku i wyszarpując z życia, niby liście z jesiennych drzew, drobne okruchy czasu, oddzielając przeszłość coraz to szerszym pasem granicznym.

Remington fiołkowemi rzędami równiutkich rubryk uwiecznia jakieś zlecenia, jakieś bilanse i jakieś notowania giełdowe, a myśli w jednym drgnieniu powiek są już bardzo daleko i jak mrówki, oblegające smutny zewłok owadzi, krzątają się pośpiesznie około uporządkowania poszczególnych scen i obrócenia martwych wspomnień w czyściutki, suchy szkielecik.

Jak to było? Czy na początku padały same zwykłe słowa, odskakujące od świadomości, jak piłki tenisowe od siatki? Czy nic nie poprzedziło momentu, w którym *pewność*, jak błyskawica, przeszła mroczną otchłań przeczuć?

Jak było?

Remington trzaska sucho metalowemi czcionkami w arkusz papieru, pochylają się i prostują plecy kolegów, za drewnianą przegrodą tłoczy się niecierpliwe mrowie ludzkie, a myśli Ani już

zupełnie spokojnie i równo kołyszą się na falach błękitnej zatoki, widzianej zgóry — tam...

---

Wyszli o dość niezwykłej porze — przed pierwszym śniadaniem. Uniknęli w ten sposób pytań, ale z okna pierwszego piętra pogonił za nimi wzrok mamusi, zrezygnowany i bezsilny, jak spóźniona prośba: Jeśli możecie, — zawróćcie z drogi...

Nie zawrócili. Od poprzedniego wieczoru Ania miała już jasną świadomość, że nie jest tylko, jak dotychczas, świadkiem, ale zaczyna być aktorem tragedji, czy też melodramatu, który dojrzewał tak powoli do swych ostatnich scen. I stało się, że pusta ciekawość wzięła górę nad szlachetnością serca. Ania pragnęła teraz *wiedzieć*, jaki naprawdę jest Ugo.

Owego wieczoru siedzieli sami po spożytym w milczeniu obiedzie. Pani Bertini odeszła do swego pokoju bez słowa. W przyszłości nieraz Ania miała zadawać sobie bolesne pytanie, co przeżyła ta biedna, udręczona dusza w pustce czterech ścian, której nigdy nie mogła znieść cierpliwie, nawet w okresach zupełnego spokoju i beztroski. Ale ostatnimi czasy tyle się działo rzeczy dziwnych, że nagła mizantropja „mamusi“ nie dziwiła nikogo.

Ugo patrzył na Anię przymrużonemi oczyma.

Czuła ten wzrok, ale nie chciało jej się odwrócić głowy od niewyraźnej w mroku, bladej smugi, łączącej niebo z morzem. Ze słodkiej zdrętwiałości wyrwało ją dopiero pytanie:

— O czym?

Odparła z roztargnieniem:

— Co takiego?

— O czym myśli Fanciulla?

Milczała. Wtedy Bertini powiedział, nie spuszczać z niej wzroku:

— Założę się, że zgadnę: naturalnie, o domu. I o tym liście, chowanym tak starannie między kartkami książki, czytowanym codziennie, jak ewangelja.

— Och — westchnęła Ania. — Była już o tem mowa, jeśli mię pamięć nie myli. Zaczynasz być nudny w roli tkliwego opiekuna, Ugo.

Nie zwrócił uwagi na uszczypliwy ton, spytał po swojemu, porywczo:

— Może się wreszcie dowiem, od kogo był ten list?

Wzruszyła tylko ramionami.

— Powiedz przynajmniej otwarcie: kochasz go?

Słowa te zaskoczyły ją. Dopiero po chwili milczenia rzekła sztucznie spokojnym głosem:

— Kogo?

— Wiesz dobrze! Tego, który napisał list.

Wtedy — tak, wtedy — podniosła na niego badawczy wzrok. Wolno i z namysłem powie-



działa po włosku to krótkie zdanie; przerąbało dziewiczy las jej własnych myśli i stało się powodem, że nazajutrz — skończyła się tragedia, czy melodramat.

Powiedziała tylko:

— Nie wiem. Być może.

I w tej chwili przeraziła się własnych słów, tak dziwnie obco zabrzmiały wobec tego człowieka, który nagle począł się śmiać i zawołał:

— *Ecco la donna, la quale mi dice la verità!*<sup>1)</sup>

Nie śmiał się już. Tarł czoło dłonią i szeptał nawpół do siebie:

— Naturalnie, kochasz go. Jakżeby mogło być inaczej. Oddalenie, to jedna racja więcej. Kochasz go i myślisz tylko o nim, wtedy, gdy ja...

Urwał, aby niespodziewanie zakończyć wykrzyknikiem pełnym rozpacz:

— *Ahi lasso!*<sup>2)</sup>

Stropiona, nie wiedziała co odpowiedzieć, jak się zachować. W myślach dudniło podejrzenie, że ten człowiek zgrywa się w tej chwili, jak stary amant na deskach teatralnych. Ale w takim razie... w takim razie... I nie zdołała dalej posunąć swoich wniosków, gdyż Bertini w tej samej chwili podszedł do niej nagle uspokojony, ujął obie jej ręce i rzekł serdecznym tonem:

---

<sup>1)</sup> Oto kobieta, która mówi mi prawdę.

<sup>2)</sup> Ach, ja nieszczęśliwy!

— Nie gniewaj się, Fanciulla. Widzisz, to zaskoczyło mię tak nagle! Wyobrazilem sobie, że cię utracę zaraz, natychmiast, jutro... A przecież to nieprawda! Jutro będziesz tu z nami i pojutrze i codzień, aż do dnia, kiedy...

Znowu zabłysnął mu wzrok. Ania szepnęła:

— Nie rozumiem nic, Ugo...

— To dobrze. Nic się przecież nie stało, Fanciulla. To lepiej. Nie zmieniło się nic, nieprawdaż? Widzisz, byłem zawsze trochę szalony. I egoista. Chciałbym cię zatrzymać przy sobie, jak swoją drugą młodość. Ale kto chce mieć zbyt wiele, nie ma nic.

Westchnął i powtórzył:

— *Chi troppo vuole, niente ha.* Ale już dobrze. Kochaj sobie, Fanciulla, kogo chcesz. Czy pragnę dla siebie wielkich rzeczy? Ot, być w pobliżu ciebie... Ogrzać stare serce przy blasku twoich oczu. Widzieć, jak patrzysz na ten piękny świat...

— Mamusia schodzi z góry — szepnęła, nagle zmieszana.

— Niech sobie schodzi. Wiesz co, Fanciulla? Pojedziemy jutro gdziekolwiek. Ot, choćby na Wezuwjuusz. Nigdy jeszcze nie byłaś nad samym kraterem. Pojedziemy sobie raniutko, we dwoje...

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, więc powtórzył z naciskiem:

— Tylko we dwoje. Pogadamy spokojnie...

Trzeba było zaprzeczyć. Trzeba było zawołać:

nie! Ale Ugo ścisnął jej rękę w chwili, gdy Anna Bertini otwierała drzwi od salonu. Zdołał tylko wyszeptać:

— *Non le dir nientel*<sup>1)</sup>

---

Remington Typewriter Nr. 10 klekocze dalej. W biurze gwar wzrasta; nic dziwnego — południe. Ludzie wchodzą, wychodzą, słychać zniecierpliwione głosy i szczęknięcie szklanek z herbatą. Woźny Hipolit ruchem majestatycznym przesuwa się między rzędami stołów. Przystaje koło Ani, pytając:

— Będzie pani piła zaraz, czy później?

Młoda stenotypistka odpowiada, nie odwracając oczu od maszyny:

— Proszę postawić na oknie.

Pochyla się i sprawdza ostatnią pozycję: 13.695? dobrze. Trzyście tysięcy sześćset dziewięćdziesiąt pięć i trzydzieści fenigów. Doskonale. Teraz od następnego wiersza, w tejże rubryce..

Tramwaj przejeżdża pod domem, ściany drżą lekko i dźwięczą mocniej łyżeczki na szklanych spodkach. Ania powtarza raz jeszcze, dla pewności, aby się nie omylić: Dwa tysiące pięćset czterdzieści jeden — i wystukując kolejno cyfry, myśli ze zdziwieniem: czy to możliwe, żeby od dnia

---

<sup>1)</sup> Nic jej nie mów.

„powrotu“ minęło sześć miesięcy? Sześć miesięcy od tamtej chwili i trzy miesiące biura...

Na dworcu w Rzymie, gdzie miało nastąpić ostateczne rozstanie, mamusia mówiła wśród łez:

— Darować sobie nie mogę, że cię nie ubłagałam, abys wzięła więcej pieniędzy. A jeśli coś ci przeszkodzi dojechać aż do Katowów? Teraz nie można nic przewidzieć...

— Nie kłopotz się, mamusiu. Dam sobie radę. Mogę przecież pracować.

— Ach, dziecino moja, dziecino..

Pani Aneta uśmiechnęła się przez łzy. Już dobrze, dobrze...

— I pamiętaj, kochanie, napisz...

— Tak, tak...

— Napisz choć z drogi, parę słów.

— Tak mamusiu. Napiszę.

Gdy nadeszła godzina odjazdu, z oczu Anny Bertini rzucił się nowy potok łez. Na wargach już — już zadrżała prośba: Ach, gdybyś mogła zostać! Pomimo wszystko! Co ja pocznę bez ciebie — z *nim*?...

Ania wychyliła się z okna wagonu i tuląc do ust obie ręce matczyne, szepnęła:

— Zobaczysz, mamusiu, zobaczysz! On się teraz zmieni, będzie dobry dla ciebie.. Będzie cię kochał, mamusiu, jak dawniej.. Przyrzekł mi to...

Pani Aneta przymknęła zapuchnięte od płaczu powieki, połykając w milczeniu słone łzy. Ugo

przysiął jej córce... Ach, Boże! Boże! Boże! I taki przytem biedny, pożałowania godny... Pierwszy raz w życiu czynił wrażenie człowieka, który cierpi naprawdę.

Bertini sam robił starania, sam użył wszystkich wpływów, rozwinął całą energję i dokonał rzeczy niesłychanej: dzięki jego stosunkom dało się uzyskać powrót przez Szwajcarję. Ania często wspominała tę chwilę, gdy po tygodniowej nieobecności zjawił się wreszcie z upragnionemi dokumentami. Zdawało jej się, że inny, nieznany dotąd człowiek wszedł do pokoju. Położył na stole plikę papierów i rzekł:

— Wszystko załatwione, mimo, iż moi rodacy potracili głowy z radości z powodu spodziewanej ofensywy na przedmieście Gorycji. Oto dokumenty dla ciebie. Możesz jechać, chociażby jutro.

Głos mu się trochę zmienił przy ostatnich słowach, ale twarz pozostała spokojna.

— Dziękuję — powiedziała nieśmiało, bo nie mogła znaleźć innych słów, któreby nie dotknęły bolesnej, zbyt jeszcze świeżej rany.

Podszedł ku niej, wyciągnął rękę i spytał po dawnemu, pół-żartem, ale uśmiech był smutny śmiertelnie:

— Cóż? Zadowolona ze mnie Fanciulla?

Milczała, coraz bardziej zakłopotana. Wtedy ozwał się, poważniejąc:

— Nie trzeba na mnie patrzeć takim wzrokiem, Fanciulla. Przecież robię, co w mojej mocy, prawda? Nie należy się znęcać nad człowiekiem, który dałby pół życia, aby odzyskać to, co utracił tak niebacznie, tak głupio, w jednej minucie zapomnienia...

— Myślę, Ugo, że lepiej nie poruszać tych wspomnień. To byłoby najlepiej dla nas obojga. Dla wszystkich... — dodała po chwili.

Pokiwał głową.

— Ach, jak to łatwo rozkazać: zapomnij! Ty może to potrafisz, Fanciulla. Ja nie. Wyjedziesz i już w drodze otrząśniesz z siebie przykre wspomnienia. Bo ja dla ciebie — już dzisiaj — jestem tylko przykrem wspomnieniem. Epizodem, który pragnęłabyś jaknajprędzej wykreślić z życia.

— Nie — zaprzeczyła gorąco. — Mylisz się, Ugo! Nie jesteś epizodem. To nie dlatego... to nie dlatego...

— Fanciulla!

— Cicho — zawołała, walcząc ze łzami. — Cicho, na litość Boską! Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że każde słowo, które pada z moich i twoich ust — jest czemś potwornem?

— Masz słuszość — westchnęła. — Jest czemś potwornem moja miłość do ciebie. Jest potworną karą, potworną, choć sprawiedliwą. Przeszedłem pół wieku życia, kochając wiele kobiet, lecz nie

kochając ani jednej kobiety. Dziś to przyszło, aby stać się wyrzutem i męką...

— Kłamiesz! Nie oszukuj sam siebie! To kłamstwo!

— Nie, to jest smutna prawda. Rozumiem ją do głębi, gdy utraciłem wszystko, nawet twój szacunek, Fanciulla. Człowiek w moim wieku, który nie umie się opanować, który postępuje, jak student, gorzej — jak bezrozumne zwierzę...

Urwał i spuścił głowę.

Zamyśliła się. Po długiej chwili milczenia rzekła powoli, ważąc słowa, nadlatujące dalekiem echem z przeszłości:

— Dziadek mój zawsze powtarzał, że tylko Bóg ma prawo sądzić człowieka, bo nawet kapłan nie ma tej siły, aby karać, — zadaje tylko pokutę. Ale człowiekowi na to dana jest wolna wola, by pragnął rzeczy godziwych, a zwalczał złe i grzeszne uczucia, myśli, uczynki... To, co się stało, jest nieszczęściem nas wszystkich i musimy je wszyscy odpokutować. Ale ty tego nie zrozumiesz, Ugo. Tak myśleliby moi bliscy, tam, w Kątach...

— Owszem, rozumiem twoje życzenie i spełnię je, jak spełnię wszystko, czego zażadasz. Odbędę moją pokutę, aby ci dowieść, jak ogromnie...

— Cyt! — szepnęła, podnosząc palec do ust. — Nie mów nic więcej. Niech to będą ostatnie słowa.

— Niech to będą ostatnie — powtórzył, jak echo.

Nazajutrz wyjechała z matką do Rzymu, by

stamtąd ruszyć dalej. Nie odwiózł jej, pozostał w pustym domu.

— Tak lepiej — rzekł. — Będę śpiewał wszystko, co najbardziej lubiłaś, myśląc, że ty mię słuchasz ze swojego pokoju, Fanciulla...

Nie odrzekła już nic. Skinęła tylko głową na znak, że niechaj już tak będzie, skoro mu to ulgę przyniesie. Ale gdy tam, w Rzymie, pociąg ruszył zwolna i począł się oddalać, zawołała na cały głos i z takim akcentem żalu, że obejrzało się kilka osób, stojących na peronie:

— *Mi rammentero sempre di voi!* <sup>1)</sup>

Był to czas przyszły pierwszej konjugacji, okrutna *forma riflessiva*, której nauka długo i mozolnie wchodziła Ani do głowy przy akompanjamentcie śmiechu, żartów, a czasem nawet — lez.

Pani Benigna Mystkowska posiadała własną nieruchomość przy ulicy Pięknej — i to wydało się Ani zrządzeniem samej Opatrzności, gdy po długich tarapatkach dotarła wreszcie *do siebie*, czyli do Warszawy, bo tu się okazało, że dalej ma narazie drogę zamkniętą.

Zostawiwszy rzeczy w hotelu, udała się natychmiast do byłej swojej opiekunki w nadziei, że

<sup>1)</sup> Będę zawsze o was pamiętać.



przynajmniej zasięgnie u niej języka, gdyż inna pomoc bogatej wdowy zdawała się czemś niedosiężnym dzięki samolubstwu i chorobliwemu wprost skąpstwu.

Pani Mystkowska była w domu. Siedziała właśnie przy porannem śniadaniu. Na widok wchodzącej otworzyła usta, mrugnęła powiekami i odstawiając filiżankę, zawołała:

— Wszelki duch! Ania! A ty co tutaj robisz?

— Właśnie wróciłam przed godziną.

W miarę, jak Ania opowiadała o swej podróży i zamiarze przedostania się do Kątów, twarz otyłej damy poczęła się przedłużać, wyrażając nieomal przestrah. Dowiedziawszy się, że dziewczyna nie bardzo wie, co począć dalej, gdyż Kąty leżą na „frontowym“ odcinku i są narazie w strefie niedostępnej dla zwykłej śmiertelniczki, — przybywającej notabene z Włoch! — pani Benigna dała wyraz swojemu niezadowoleniu:

— Zawsze byłaś samowolna i lekkomyślna, moje dziecko — rzekła surowo — ale twój ostatni pomysł jest poprostu... szalony! Jakto? Mając spokojny dach nad głową u twoich rodziców, opuszczasz ich nagle i zjeżdżasz gdzie? Tu właśnie, skąd mybyśmy się wszyscy wyrwali z najwyższą ulgą! Śliczne czasy! Czy ty wiesz chociaż, moja droga, co to jest okupacja? Chleb na kartki, niczego się dokupić nie można, a to co jest, sprzedają pokryjomu na wagę złota! Lu-

dzie nie mają co do ust włożyć, chodzą obdarci i głodni, a ona zjawia się w Warszawie, jak gdyby nigdy nie! I co ty teraz myślisz robić ze sobą?

— Postaram się — odparła Ania, machinalnie przyglądając się cukiernicze i stercie świeżych bułeczek na stole pani Mystkowskiej. — Postaram się przedostać do Kątów. Może otrzymam w jakiś sposób pozwolenie.

— Do Kątów! Do Kątów! Nie tak to łatwo, jak myślisz. *Oni* (tak stale wyrażała się o Niemcach) pilnują ściśle rozporządzeń i jeśli czegoś nie wolno — nie wskórasz nic. Ale a propos Kątów: czy już wiesz, że twoja babka umarła?

— Babcia... umarła?

— Tak, tej wiosny. Donieśli mi o tem przez okazję. Jeden niemiecki oficer, bardzo uprzejmy człowiek, który tu u mnie mieszkał w zarekwirowanym salonie..

— A dziadzio, proszę pani? A wszyscy inni?

— Widzę, że ty nic nie wiesz, moje dziecko — odparła pani Benigna z nutą współczucia. — Świętej pamięci twój dziadzio przeniósł się do wieczności jeszcze zeszłego roku, tak jakoś w jesieni... Ha! Doczekali złotego wesela przy huku armat i poszli jedno za drugim... Andzia troszkę zamarudziła, ale ona zawsze miała żywotniejszą naturę, podczas, kiedy ten święty człowiek...

A chłopcy? O Karolu nic ci powiedzieć nie mogę, — został po tamtej stronie — to tak jakby na innym świecie. Może i żyje, czego mu szczerze życzę, chociaż to był lekkoduch i szaleniec, tak jak i ty. Witek podobno uciekł do legjonów jeszcze zanim się rosyjska armja cofnęła. Józef, słyszę, żeni się, albo już się ożenił z jakąś panną z sąsiedztwa, która do Rosji uciekała i nie zdążyła uciec, bo Niemcy wkroczyli na dziedziniec. Kto teraz w Starych Kątach siedzi, nie wiem — bo podobno dwór moskale spalili, odchodząc, a zresztą była to istna rudera. Wątpię, aby się Józef odbudował. Zresztą teraz nie takie czasy. Pieniądzy nie ma nikt, podatki z nas ściągają, rewizje robią, nic się przed *nimi* nie ukryje. Czy dasz wiarę, że klamki musiałam odśrubować, bo były męsiężne, a *oni* wszystko zabierają. Schowałam dobrze, ale ciągle się boję, że stróż wyda, albo jaka służąca w kamienicy wypaple. Teraz nikomu nie można ufać. Wojna strasznie zepsuła ludzi. Żal mi cię serdecznie, moja droga, bo nie bardzo widzę, co z sobą teraz poczniesz...

Ania słuchała, słuchała, słuchała. Zdawało jej się, że puszczone w Starych Kątach młyn i że to on tak terkocze, mieląc na mąkę jej własną duszę, serce, wszystkie nadzieje. Jakto? Więc przez tych parę lat stało się tyle rzeczy strasznych i niepowrotnych?... Niema dziadzia i babci... Niema Karola... Niema nikogo, nikogo, nikogo! Żyła so-

bie wygodnie w oddaleniu, podczas gdy tu spalono dwór! Dwór w Starych Kątach!... I to wszystko opowiada pani Benigna tak spokojnie, jakby zupełnie normalną i powszednią było rzeczą, że wszyscy najbliżsi przestali istnieć, a została tylko troska o klamki...

„Naczynie poważne“ jakby rozumiejąc ten niemy wyrzut, zaczęło nagle z innego tonu:

— Widzisz, moje dziecko, ciebie to pewno dziwi, że ja tak wszystko *pêle-mêle*... Ale co ja przeżyłam za dni! Wróciłam z księdzem Franciszkiem, pamiętasz go? — bez wielkich przygód, ale na samą ofenzywę! Niemcy byli tuż pod Warszawą... Te ściany, o, te ściany — wskazała dębową boazerję — trzęsły się od huku olbrzymich dział! Dwa dni przesiedziałam w piwnicy... A potem — było jeszcze gorzej. Moja kochana, cóż chcesz! Wojna to straszna rzecz. Wszystkie osobiste nie-szczęścia bledną wobec tej ekonomicznej ruiny, jaką przechodzi nasz kraj... Widzisz, co ja tu piję? Kawę zbożową. A jakże, paloną z żyta, które mi ta pocziwa Antosia przeszmurowała ze wsi. I bułki ona piecze, z mąki, zdobywanej cichaczem, po funcie...

Teraz wydało się Ani, że głos wdowy podobniejszy jest do młynka od kawy. Tak samo trzeszczał i wyrzucał słowa, niby skruszone na ciemny miał ziarenka.

Pani Mystkowska umilkła wreszcie i spojrzała na dziewczynę dość niespokojnie:

— No i powiedz? Co teraz myślisz robić? Ja bym cię z chęcią wzięła do siebie, ale mam czterech lokatorów w sześciu pokojach. Ani się ruszyć. Wybrałaś się z przyjazdem, niema co mówić! I skąd ci to przyszło do głowy? Nieraz myślałam o tobie: ta miała dobry instynkt i szczęście! Odnaleść matkę w takiej krytycznej chwili i pojechać z nią sobie do Włoch, podczas gdy my, to jest ja z księdzem Franciszkiem...

— We Włoszech także wojna — rzekła Ania, sztywniejac z minuty na minutę. — A przyjechałam właśnie dlatego, że każdy w ciężkich czasach chce wrócić do siebie...

— Chce! — z gniewem zawołała wdowa. — Nie wiadomo, czy ci się to uda. Zresztą, kogoż tam znajdziesz? Z Józefem, jeśli się jeszcze nie ożenił, to nawet, nawiasem mówiąc, nie wypada młodej panie pod jednym dachem. Chociaż to niby kuzyn, ale zawsze...

— Więc zostanę w Warszawie.

— Ciekawam, u kogo? Ja, powtarzam, niewiele mogę ci dopomóc, bo sama ledwie żyję w tem okupanckiem piekle...

— Dziękuję — przerwała Ania sucho. — Ja wcale nie przyszedłam prosić panią o cokolwiek. Chciałam się tylko dowiedzieć... Przepraszam panią najmocniej za to niespodziewane najście.

Kawa pewnie wystygła. Proszę wybaczyć, że przerwałam śniadanie tak niewczesną wizytą. Żegnam panią.

— Czekażże! — zawołała wdowa, zaskoczona nieco i zmieszana. — A to w gorącej wodzie kąpana! Zupełnie dziad Ksawery! Cóż ci nagle tak pilno?

— Mam wiele spraw do załatwienia.

— Czekaż. Te sprawy nie uciekną. Gdzie mieszkaś?

— Narazie w hotelu. Ale dzisiaj przeniosę się do koleżanki.

Sama nie wiedziała, skąd jej nagle wpadła na myśl ta „koleżanka“.

— Hm. A pieniędzy masz dosyć?

— Tak.

— Napewno dosyć?

— Niech się pani nie martwi. Mam tyle, że mi wystarczy najzupełniej. Dam sobie radę.

— Hardo się stawiasz, moja panienko — rzekła wdowa, ale mocno udobruchanym tonem.

Zachowanie Ani, jej stanowczy głos i krótkie, dumne odpowiedzi, zmiękczyły serce pani Benigny bardziej, niżby to uczyniło kołatanie o pomoc. W tej chwili otworzyłaby nawet zasobną w złote rulony szufladę. Ściskając swoją eks-pupilkę rzekła serdecznie, prawie czule:

— Ale pamiętaj, drogie dziecię, gdybyś znalazła się w trudnem położeniu, przyjdź tutaj. Ciężko

mi, jak wszystkim zrujnowanym i bezbronnym kobietom, ale przecież możesz liczyć na moją pomoc i radę. Ile ty właściwie masz lat?

— Kończę latem dwadzieścia jeden.

— Jak ten czas lecił! — westchnęła pani Mystkowska. — Byłam pewną, że masz najwyżej dziewiętnaście.

— Miałam tyle, gdy wojna wybuchła... — szepnęła Ania i czując, że ją ogarnia wzruszenie, które odbiera hart ducha, pożegnała pośpiesznie wdowę.

— A możebyś cokolwiek przegryzła? — dogoniło ją w przedpokoju pytanie.

Nazajutrz po nieprzespanej nocy i wielu, wielu łzach, które nareszcie w hotelowym numerze mogły płynąć swobodnie — miała już twarz spokojną, choć przybladłą — i nowy w oczach wyraz.

Przedewszystkiem rozpatrzyła się gruntownie w sytuacji. Pieniędzy na miesiąc, dwa — może wystarczy. Ale w tem mieście trudno liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Do pani Benigny nie będzie „kołatała“, chyba w ostateczności, a do Kątów nie pojedzie, bo...

Nie dlatego, że tam jest Józef, być może jeszcze nieżonaty, co niepokoiło panią Mystkowską — choć i to także... — ale dlatego, że tam nikogo z bliskich już niema.

Nikogo! Nikogo!

---

I potem — te wędrówki. Bez znajomości, bez stosunków. O! tak, chodziło się naoslep... Jedne, drugie drzwi... Jedno, drugie pytanie. I w końcu:

— Czy nie mogłabym otrzymać posady?

— Jakie kwalifikacje pani posiada?

Kwalifikacje? Ania początkowo bąkała:

— Skończyłam pensję siedmioklasową... Znam dobrze francuski, trochę niemiecki i.. włoski...

— Na maszynie pisze pani?

— Nie.

— Hm. To szkoda. Gdyby pani pisała na maszynie...

Wreszcie — doszła do wniosku, że przecież to takie proste: trzeba się tylko nauczyć.

Biegły dni. Nauka pochłonęła sporo pieniędzy i czasu. Rano i popołudniu Ania wystukiwała wytrwale po dziesięć, po dwadzieścia, po trzydzieści razy różne dziwaczne słowa. Coraz prędzej. Coraz bieglej. Wiezorami — niekiedy — śpiewała w swojej ciasnej kliteczce na czwartym piętrze: „O dolci baci..“

„Klitezka“ była właściwie pracownią malar-ską z oknem w dachu, który mocno zaciekał. Ale komorne wynosiło zabawnie niską sumę. Trzeba się było oszczędzać. W końcu maja — sprzedała Ania palto zimowe, ostatni dar mamusi. W połowie lipca dostała wreszcie posadę. Narazie — tylko zastępstwo.

Powtórzył się normalny dialog:



— Jakie pani posiada kwalifikacje? Referencje? — pytał ktoś łysawy w binoklach.

— Znam dobrze francuski, trochę niemiecki, włoski i — piszę na maszynie.

— Ach, tak. Może pani zgłosi się za miesiąc.

Oczy młodej dziewczyny musiały mieć szczególny jakiś wyraz, bo pan w binoklach pomyślał chwilę i rzekł:

— Zresztą, niech pani przyjdzie jutro. Właśnie nasza urzędniczka zaczyna urlop. Narazie pani zastąpi ją przez miesiąc. Później... Hm. Zobaczymy.

I nazajutrz Ania zasiadła w dużej sali, pod trzeciem oknem (licząc od drzwi wejściowych!). Przyglądano jej się dosyć ciekawie, zagadywano przyjaźnie. Była, owszem, poprawna w stosunku do kolegów i koleżanek, ale — małowówna i zawsze jakby trochę obca. Obowiązki swoje spełniała starannie i punktualnie. Codziennie o ósmej Remington Typewriter Nr. 10 rozpoczynał swój monotonny klekot, który tutaj nie raził nikogo.

Natomiast zawsze raził — a czasem wprost fizycznie bolał Anię.

Patrząc na zapotniałe od deszczu okna, albo na zgarbione plecy swoich kolegów, myślała czasem z głuchą rozpaczą: Więc tak już zawsze? Od ósmej do czwartej... Od ósmej do czwartej... Dzień w dzień?

— Tak-tak-tak-tak — stukał Remington.

„Tak-tak-tak-tak“ — trzeszczało w mózgu, a myśli krzyczały: nie! nie!

Dawna daktylografka wyzyskała swój urlop w celach matrymonjalnych. W sierpniu wyszła za urzędnika pocztowego. Ania utrzymała się na posadzie.

To było szczęście — naturalnie. Nie potrzebowała kołatać do pani Mystkowskiej i kłopotać się co będzie jutro. Jutro — będzie to samo co zawsze od ósmej rano: tak-tak-tak-tak...

A później, spacer po mieście. Czasem Łazienki, czasem — Wisła. Czasem ot tak, bez celu. A później — czwarte piętro. Kolacja na maszynce i dużo, dużo czasu do wmyślenia się w dziwne koleje ludzkiego życia.

Nie szukała znajomości, nie przyjaźniła się z nikim. Wystarczał jej tłum obcych ludzi przez szereg godzin, a potem — pustka czterech ścian, wypełniona tak przedziwnie, tak szczelnie, że chwilami było w niej gwaro, jak w Kątach na Wielkanoc, gdy zjeżdżało się całe sąsiedztwo — i proboszcz — i parę osób z miasta — i chłopcy ze szkół.

Mijały dni, tygodnie. Zmieniały się pory roku i lokatorowie „kawalerskich“ pokoi na czwartym piętrze. Zmieniał się nawet repertuar piosenek, wyśpiewywanych sobie i wielkim, ciekącym szybom pracowni — i jeszcze komuś za ścianą.

Pewnego razu — (Ania miała katar i chrypkę

i od czterech dni zamilkła) — ozwało się stukanie. Otworzyła, trochę zdziwiona. Za progiem stał ktoś w mundurze wojskowym. W pierwszej chwili Ania zadrżała: — Karol? — przemknęło jej przez myśl. Ale to nie był Karol. Młody człowiek zasalutował i postąpił o krok naprzód:

— Jestem porucznik Lipka — rzekł.

Milczała wyczekująco, więc zrobił jeszcze dwa kroki, (był już w pokoju) i przy blasku ogarka na stole z niedopitą szklanką herbaty, wydeklamował:

— Przepraszam, że się ośmielam... Jestem Lipka, Kazimierz Lipka, porucznik.

— Widzę to — pomyślała, bo miał na kołnierzu odznaki oficerskie.

— Pani jest zapewne zdumiona — ciągnął ów Kazimierz Lipka — że, chociaż nieznajomy, ośmieliłem się wejść... Pani zapewne nie wie: od niedawna sąsiadujemy ze sobą.

— Ach... — rzekła Ania i podniesionemi wysoko brwiami dała do zrozumienia gościowi, że czas najwyższy, aby wreszcie wyjaśnił przyczynę swojej niespodziewanej wizyty.

Porucznik był cokolwiek zmieszany, ale nagle wypalił całkiem poprostu:

— Od czterech dni nie słyszę głosu pani! Bo u mnie słyhać doskonale przez ścianę każdą nutkę! Myślałem, że pewno pani chora, albo stało się co...

Uśmiechnęła się mimowoli. Porucznik Lipka wziął to za dobrą wróżbę dla siebie:

— Pani śpiewa, jak słowik... To jest, chciałem powiedzieć: cudownie! Dlaczego pani od kilku dni nie śpiewa?

— Jestem zaziębiona — rzekła grzecznie, ale z rezerwą. — Mam chrypkę.

— A co! Wiedziałem, że coś jest nie w porządku.

I znów odrazu, prosto z mostu zagadnął:

— Co pani bierze? Nic? To źle! Trzeba coś brać koniecznie!... Taki głos! Gdy miałem w zimie bronchit, doktor przepisał mi lekarstwo. Mam gdzieś receptę. Ale niech pani zaczeka, zaraz wrócę! To pachniało anyżkiem, było nawet dość smaczne... Proszę poczekać parę minut!

Parę minut trwało okrągłe pół godziny. „Słowik? — sąsiad? — anyżek?“ myślała Ania. Wzruszyła ramionami i wzięła książkę. Wreszcie porucznik Kazimierz Lipka wpadł do pokoju, jak bomba, wymachując jakąś flaszeczką.

— Marudzili, szelmy, w aptece, że świat się kończy! Kląłem, ale co było robić! Przyprawiali. Niech pani weźmie zaraz, dobrze? Dwadzieścia kropel w łyżce wody. Ma pani łyżkę?

— Mam — odparła Ania, zupełnie oszołomiona. — Ale, doprawdy...

— Bo można i w kieliszku. Ja mam kieliszki, cały tuzin. Proszę, niechże pani wypije. Gdzie

jest woda? Tu, w dzbanku? Doskonale! O, służę... raz, dwa! To nie jest przykre w smaku, prawda? Pachnie anyżkiem...

Musiała wypić i podziękować. Porucznik skłonił się szarmancko.

— Będę szczęśliwy, jeżeli to lekarstwo pomoże. Tu, na recepcie, jest przepis. Co trzy godziny, zdaje się. A jeśliby pani czego potrzebowała, to, — śmiało, proszę zastukać w ścianę! O, w tę! Sąsiednie drzwi, numer czterdzieści siedem. Nie powinna pani jutro wychodzić z domu. Pani pracuje w biurze? To nic, niech pani napisze kartkę, ja zaniosę. Trzeba się zaszanować. Moje uszanowanie pani. Polecam się, do usług. Jutro, jeżeli pani pozwoli, wpadnę spytać o zdrowie.

Była tak oszołomiona, zahukana, zagadana przez tego zabawnego sąsiada, że zupełnie straciła rezon. Bąkała: „tak“ i „dziękuję“ i „proszę“ zupełnie machinalnie, bez związku; zresztą odpowiedzi wypadaly nie w porę, gdyż porucznik ćwierkał, jak wróbel, tyle tylko, że niskim głosem.

Nazajutrz, idąc do biura, spotkała go na schodach. Dźwigał właśnie butelkę mleka i jakieś paczki.

— O! — krzyknął — wyszła pani! To bardzo źle! Właśnie niosłem śniadanie dla pani i dla siebie. Mój ordynans — bo ja mam ordynansa — jest idjota. Woląłem przydygować sam, niż czekać, aż ten cymbał...

— Bardzo panu dziękuję — rzekła Ania -- ale to zbyt uczynna uprzejmość z pańskiej strony. Śniadanie jadłam już. A teraz śpieszę się do biura.

— Czyli innymi słowy: — z drogi, mój panie? Ha! Obowiązek. Rozumiem. A brała pani przynajmniej moje lekarstwo?

— Brałam.

— Ile razy?

— Dwa razy.

— Hm, za mało...

— Kiedy nie mogłam więcej! Obudziłam się tylko raz w nocy... — roześmiała się Ania.

— Ano, racja i to. Ale z głosem już jakby lepiej. A co! Może pani zaśpiewa dziś wieczorem!

— Dziś chyba jeszcze nie. Ale jutro, pojutrze...

— Wie pani — krzyknął — że ja od tygodnia nawet nie chodzę na karty! Koledzy wrzeszczą: Zwarzowałaś? Mnicha z siebie robisz? A ja boję się ruszyć z domu, bo może pani zaśpiewa... Proszę mi wybaczyć, że ja tak wszystko, co w głowie, to i w mowie! Ale to szczerą prawdą. Jestem oczarowany! Oczarowany!

— Patrzcie... Tym moim podśpiewywaniem?

— Śpiewem, panią, no — wszystkim! Teraz na przykład słońcem, choć mało grzeje!

Nie zauważyła nawet, że z butelką mleka w jednym ręku, a paczkami w drugim odprowadził ją na sam dół, gawędząc bez przerwy. W bramie uklonił się, mówiąc:

— Nawet nie mogę rączki ucałować milej sąsiadeczce!

I pokazał bezradnie swój prowiant.

Tego dnia Remington Typewriter Nr. 10 stuknął, jak i poprzednich dni, do czwartej popołudniu. Ale panna Gołębiowska uśmiechnęła się kilka razy do własnych myśli. Musiały być weselsze niż zazwyczaj.

Zauważono to nawet w biurze. Ktoś szepnął:

— Taka ładna panna. Szkoda, że się obnosi ze swoją godnością, jakby spadła z księżycy na ten padół lez i paskarstwa.

Wieczorem Ania zaśpiewała „na próbę“ kilka taktów jakiejś swojskiej piosenki. Nie szło. Ale już w kilka dni później śpiewała pełnym głosem: „O dolci baci“...

Opodal, na jedynem, więc honorowem, krześle siedział z przymkniętymi oczyma porucznik Kazimierz Lipka. Usta miał półotwarte z zachwytu, nogę założoną na nogę. Chłonał chciwie melodję znaną sobie i obce brzmienie słów.

Gdy umilkła, zawołał:

— Zaśpiewała pani tak cudownie, jak nigdy!

— Trzeba śpiewać dla kogoś — pomyślała Ania.—Ugo miał słuszność; trzeba śpiewać dla kogoś, chociaż... to niezawsze musi być ktoś kochany...

I odwróciła głowę, by jej nowy sąsiad nie dostrzegł lez, które zakręciły się w oczach.





ROZDZIAŁ XI.  
ZIELONY ZESZYT.



---

...Choćby w myślach była pustka i przeraźliwy chłód, choćby wszystkie uczucia skrzepły i skurczyły się do rozmiarów tępej rezygnacji — pod dotknięciem małych rąk topnieje lodowata skorupa, szczelnie pokrywająca serce i stwierdzam ze zdumieniem, że potrafię się jeszcze uśmiechać.

Te małe, różowe paluszki! Mają cudowny dar wygładzana surowej zmarszczki między brwiami; ich dotknięcie jest samo przez się ukojeniem.

I te bezsilne ramionka, które jeszcze nie umieją przygarnąć, ani odtrącić!... I te przedziwne oczy, powleczone - cieniutką, szklaną błonką: mają barwę ni-to błękitną, ni-to szarą. Mają barwę nieskończoności. Jakże nieskończenie są mądre te oczy, nie znające w życiu nic jeszcze, oprócz światła dnia, światła lampy i kształtu piersi matczynej... Trzeba tylko umieć w nich czytać.

Marysia patrzy baranim wzrokiem, nuci sennie „aa-a!“ i cmoka, albo cierpliwie porusza wózek, — a nie domyśli się, że dziecku coś dolega.

Bo ta drobna twarzyczka nie krzywi się bez istotnej przyczyny, a wyzwolony z małych płuc okrzyk jest protestem przeciw niemiłemu zetknięciu z mokrą pościelą, albo świadczy o ja-

kiemś zaburzeniu w małym brzuszku, albo po prostu: sygnalizuje uczucie głodu, który drzemał sobie wewnątrz stulonej buzi i ocknął się na dobre z chwilą otwarcia powiek.

Ten różowy cud zrodzony w mękach bólu jest tak skomplikowanym zjawiskiem i tak kruchym, że chwilami ogarniał mnie ślepy lęk. Były noce, podczas których co kilka minut siadałam na łóżku nasłuchując, czy motyli oddech nie ucichł; dotykałam rączek, zwiniętych w pięstki, by po raz setny sprawdzić, że są ciepłe... Przerazał mnie płacz dziecka i przeżywałam tortury niepokoju gdy sen trwał, mojem zdaniem, zbyt długo...

Aż dziw, ile ta kruszyna, której istnienie liczy się jeszcze na dni, tygodnie, miesiące, — zajęła miejsca w życiu. Poprostu zapanowała wszechwładnie w domu. Wszystkie czynności życia skupiły się koło niej. Nawet godziny wypoczynku wypełniła marzeniami o sobie.

Niema czasu na roztrząsanie zagadnień, czy miłość, szczęście i t. d. Dzień został pokratkowany, jak szachownica, a każde pole zajął jakiś szczegół z życia dziecka: karmienie, kąpiel, sen, czasem — jakaś przelotna choroba, lekarstwo — i znów karmienie, znowu sen...

Prawie nie zauważa się upływających godzin, dni rozgranicza tylko kalendarz. Prawie niema pór roku. Brudne kupy śniegu stały na ulicach i drzewa zaczynają powolutku zielenieć; tutaj —

wpuszcza się wiosnę oberluftami w przepisanych godzinach: wszechwładnym panem i sędzią jest termometr... On nakazuje, lub zabrania napalić w piecach, twierdzi, że należy jeszcze podegrzać wodę...

---

Mój Boże! Kiedy to ja ostatni raz widziałam kawałek nieba nieogrodzony murami?

Owszem pamiętam: na świecie rozszalał się październik orgją barw. Byłam już wtedy, jak się wyraził mój mąż „na ostatnich nogach“. Raptem, któregoś dnia, owładnęła mną nieodparta pokusa: pójść daleko, za miasto... Zobaczyć pola zorane i mgły na łąkach... Może chciałam to wszystko wchłonąć w siebie jednym spojrzeniem i jednym szerokim odetchnięciem — pożegnać?

Kałuże na drogach miały kolor bławatków. Brzozy wyglądały, jak zapalone świece. Wróciłam zziębnięta, obłożona, lecz z jakimś świętem w duszy. Naturalnie, wszystko to, co przyniosłam w sercu i w myślach, stopniało już na progu:

— Zwarjowałaś! — krzychał pan małżonek. — Ty doprawdy miewasz pomysły!

Chodził po pokoju, zdenerwowany i rzucał mi groźne spojrzenia. Buty skrzypiały niemilosierdzie i gasł mi w oczach obraz płonących drzew, zalanych potokami wymówek:

— I jeszcze sama jedna! Teraz! Jak nic mo-

głaś się potknąć, upaść na jakiś kamień... Czy ty to rozumiesz, kobieto? Jeśli już tak koniecznie zachciało ci się lazić po błocie, mogłaś poprosić panią Mystkowską, albo jaką znajomą, żeby ci dotrzymała towarzystwa!

Nie przyszło mu nawet do głowy, że mogliśmy pójść na spacer — we dwoje.

Ha! Minął przecież okres, w którym pan porucznik lubił prezentować kolegom i znajomym ładną żonę w Alejach. Te czasy należały już do przeszłości, tak samo jak i „artystyczne“ herbatki, gdy musiałam popisywać się śpiewem na rozkaz „pana i władcy“ jak uczona papuga...

A przytem... tak, zapewne, w tych miśsiącach nie wyglądałam zbyt ponętnie. I byłam często smutna.

— Nie przejmuj się tem — mawiał niekiedy dobrotliwie, bo miewał momenty łaskawego dla mnie współczucia. — To przejdzie i znów będziesz podobna do człowieka. Tymczasem szanuj zdrowie, żebyś mi jakiej biedy nie narobiła.

Naturalnie. To takie proste: powiedzieć „dbaj o siebie“, cmoknąć powietrze w pobliżu mojej głowy i pójść do kolegów na karty...

Och, bynajmniej nie to, że „narażenie nie jestem podobna do człowieka“ przejmowało mię grozą. Tylko myślałam z przerażeniem, że w małżeństwie przychodzą widocznie takie momenty, kiedy miłość od nienawiści dzieli zaledwie jeden krok—

i że ten krok stanowi o całej przyszłości dwojga ludzi.

Nie chciałam nienawidzić mego męża — o nie... Rozpaczliwie broniłam swoich złudzeń, choć czynił wszystko, by się rozprysły, jak szkło; wma- wiałam w siebie z uporem, że Kazio nie różni się zapewne od wielu innych mężczyzn i że — wido- cznie — taki jest już porządek rzeczy, iż wszystko, co jest do przecierpienia — musi przecierpieć ko- bieta w zupełnej samotności.

A potem — przyszły myśli tak nowe, takie wa- żne, takie niepodobne do żadnej z poprzednich epok mojego życia!

Cóż mogła mi powiedzieć przeszłość — wobec tych rozpoczynających się we mnie cudownych przemian! O, te pierwsze drgnienia nowego ży- cia! Rozmawiałam godzinami z moją maleńką, zanim jeszcze przyszła na świat. Nie czułam osa- motnienia, bo nie może być pustki tam, gdzie biją obok siebie dwa serca.

Niepotrzebnie — panie poruczniku, — tłuma- czyłeś się przedemną niekiedy z długich godzin nieobecności. To raczej twoja obecność zaczynała mię drażnić. Mąciłeś mi najśłodsze sam na sam z istotą, o której *ty* mogłeś wiedzieć jedynie, że pewnego jesiennego dnia, ściśle między dziesią- tym a piętnastym listopada, zajmie przygoto-

wane w naszym domu miejsce i będzie się nazywać — naszym dzieckiem.

---

Myslałam, że Remington wypłoszył ze mnie buntowniczego ducha raz na zawsze. Ale nie... Drzemie ciągle to licho i czasem nagle krzyknie na alarm wielkim głosem: gore! Tymczasem palił się prosty wiecheć słomy i nim rozsądek przybył na pomoc — zgasło wszystko. Mała garsteczka popiołu, lekka woń spalenizny i — spokój. Można wrócić do zwykłych zajęć.

Wystarczy przecież pochylić się nad maleńkiem łóżeczkiem, by ugasić wszystkie tęsknoty. Zresztą, mój Boże, to, za czem mogłabym tęsknić — teraz — albo już nie istnieje, ale leży w krainie niemożliwości.

Przeszłość — bo to już przeszłość przecież! — odchodzi w coraz głębszy cień. Gdzieś, na dnie blaknących wspomnień zamajaczy czasem jakaś sylwetka, zadźwięczy jakieś słowo, niegdyś ważne i wielkie. Byli jacyś ludzie, których kochałam i są jakieś obolałe kąciki w sercu, do których lepiej nie zaglądać. Bo i poco?

Ze śmiercią babki i dziadka — Kąty jak głyby nie istnieją. Od Ugoną odgrodziłam się trwalszą, niż ziemskie granice świadomością, że — tak należało postąpić. Karol?... Tak, on pozostał w jakimś wątem, niemal dziecinnem wspomnieniu,



które należało może pielęgnować przez długie lata, by gałązka mirtu stała się drzewkiem. Ale na rozważania, jakby się mogło wówczas życie potoczyć — już mi brakuje prawa.

Stanął na drodze porucznik Kazimierz Lipka. Zjawił się właśnie w chwili, gdy mi było najtrudniej dźwigać pustkę. Powiedział kiedyś, po swoim, z impetem: Panno Anno, Kocham panią! — pobierzmy się: będzie co będzie...

Zawahałam się... pół minuty. Potem odparłam: „dobrze!“ i — jest, co miało być!

-----

A to wszystko nieprawda. Mogło być zupełnie inaczej! Mogło być zupełnie inaczej!

-----

Witek, który właśnie wtedy spadł z nieba, (dosłownie, bo przyleciał aeroplanem prosto z frontu) trzymał do chrztu Hanusię razem z panią Mystkowską.

Miałam bronchit, doktor kategorycznie zabronił mi wychodzić. Czekałam na nich w domu z herbatą. Zjawili się nareszcie. Witek wykrzyknął pierwszy:

— Mamy więc jeszcze jedną Annę w rodzinie! Wszystko w porządku. Tradycji stało się zadość. A teraz, Aniu, daj nam cokolwiek przetrącić...

Rozwijałam właśnie moją maleńką z chustek i szalów. Nagle palce zdrętwiały mi zupełnie,

a serce na chwilę przestało bić. Musiałam mieć jakiś niezwykły wygląd, bo pani Mystkowska nachyliła się nademną z niepokojem:

— Co ci jest? Może ci słabo?

Nic, przeszło. Potem już nigdy nie dopuściłam podobnie głupiej myśli. Cóż może znaczyć takie, lub inne imię...

---

Nigdy nie zapomnę tego dnia.

Koło czwartej wyszłam z domu tylko na chwilę. Kazia nie było jeszcze. Gdy wróciłam, kończył się właśnie przebierać w odświętny mundur. Wiadomo, co to oznacza. Zapytałam, usiłując nadać głosowi ton obojętny:

— Wychodzisz?

— Tak.

— Na długo?

— Na cały wieczór.

— Naturalnie. Znowu jakiś „bridge“ z kolegami?

— Masz coś przeciwko temu?

— Och, nie...

Mogłam dodać: Czy nie zauważyłeś, że już od dawna zrezygnowałam z walki, a nawet wszelkich uwag na ten temat? Graj sobie całymi nocami, bylebyś nie przegrał za dużo, bo to już inna sprawa, nie moja i nie twoja: naszego domu.

Popatrzył na mnie z pod oka i rzekł nagle:

— Wiesz, że ty jednak jesteś miła...

— Naprzykład?

— Zamiast poprosić grzecznie: „Posiedź ze mną“, albo choćby okazać żal, że cię zostawiam samą, ty się z góry zastrzegasz — i jeszcze jakim tonem!

— Powiedziałam, co myślę.

— No, to przynajmniej szczerze! Pomyślałaś: niech się coprędzej wynosi, bo mi w domu tylko zawadza. Gdybym cię nie znał, mógłbym przypuścić, że masz randkę...

— Proszę cię bardzo...

— No, no, już wiem, co to znaczy, gdy zaczynasz od słów: „proszę cię bardzo“. Naturalnie — ty jesteś z innej gliny. Ty — i ja! Co za porównanie! Obraziłem majestat... Ja, człowiek tak wątpliwej wartości, karciarz, pijak... To też rozumiem, rozumiem i ustępuję ci z drogi. Zmykam.

— Kaziu!

Zatrzymał się już przy drzwiach. Spytałam nagle:

— A gdybym rzeczywiście miała „randkę“?

Musiało to naprawdę w moich ustach wyglądać bardzo zabawnie, bo wybuchnął gwałtownym, niepohamowanym śmiechem:

— Ty? Ha, ha, ha! Nie, ty jesteś chwilami dowcipna! To naprawdę cudowny kawał! Może mi jeszcze obwieścisz, że czekasz na kogoś... w tym pokoju? W takim razie radziłbym zmienić deko-

racje... Bo ten stos bielizny na stole, zapach rumianku w całym domu i pieluszki, suszące się na oknie... Nie, moja droga, wybacz, ale jestem o ciebie najzupełniej spokojny! *Twojej* cności nic nie zagraża.... przynajmniej narazie. Mogę wyjść z domu, poleciwszy cię Bogu i wszystkim duchom zmarłych prababek! *Addio!*

No, tak... To było arcy-śmieszne, zaiste. I na domiar wszystkiego: *addio!*

Gdy wyszedł, krzyknęłam na Marysię. Przybiegła z kuchni, wycierając ręce o fartuch.

— Pozmywałaś? Zrobimy rachunek. Prędko, bo mam inną robotę.

Sama słuchałam ze zdumieniem własnego głosu. Brzmiał prawie ostro. Dziewczyna wybałuszyła na mnie swe gapiowate oczy.

— No prędeż, czemu milczysz? Mięso...

— Mięso... — powtórzyła jak echo.

— Dalej: mąka... ryż... Dalej! Co było na jarzynę?

— Na jarzynę?... Na jarzynę była *marchiewka*.

— Piszmy: marchewka, cztery pęczki...

— Trzy pęczki, proszę pani...

Jezus, Marja, te łzy! Kapią na papier, zamazują równiutki sznureczek liczb. I niema siły, któraby je mogła powstrzymać... Nic, nawet uczucie wstydu wobec służącej, nic nie pomaga! Mrużę powieki: poprzez wilgotną mgłę oczy Marysi zlewają się w jedno turkusowe pasemko. Pasemko

to drga i przybliża się ku mnie. Szorstka ręka o zczerniałych palcach dotyka mojej dłoni i załękniiony, błagalny głos szepcze:

— Proszę pani? Co pani? Co też pani...

Nic. Płaczę dalej i słyszę:

— Już też pani pan musiał dobrze dokuczyć...  
O Jezul! Pani taka młoda i śliczna... I w czym by pani mogła panu zawinić...

Cicho. Ostatnim wysiłkiem woli ukrócam współczujące karesy „bratniej duszy“:

— Idź już, Marysiu, do kuchni. Później zrobimy rachunek.

Miałabym jeszcze wyznać przed nią, że płaczę, bo na oknie suszą się pieluszki, a mój mąż całemi nocami spokojnie zgrywa się w karty, bo... ja przecież napewno nie mam kochanka!

I pomyśleć: to ja kiedyś szlochalam na szczycie Wezuwjusza, ponieważ ktoś się ośmielił dotknąć mych ust!

O moje serce! O drogo moich myśli! O Fanciulla — czy ci nie wstyd?

— — — — —

A to wszystko były drobiazgi wobec faktu, że wtedy właśnie Hanusi wyrznął się pierwszy ząbek.

— — — — —

Z Kaziem pogodziliśmy się milcząco. Rozbroił mię zgnębiającą miną i tem, że mimo płaczu

dziecka, (maleńka rzeczywiście grymasiła okropnie), cierpliwie przesiedział w domu jeden, dwa, trzy wieczory. Jak na niego, to bardzo dużo.

Czwartego dnia spytał pokornym tonem:

— Gniewasz się na mnie?

— Mój Boże, za co?

Odłożył swoje papiery. Szylam jakiś drobiazg, nie odrywałam oczu od roboty, ale czułam na sobie jego wzrok. Wreszcie odezwał się cicho:

— Ja wiem, że możesz mieć żal do mnie. Sam się wstydzę przed sobą, ale cóż... Weszło w nałóg, psiakrew... Tam, w okopach, kiedy deszcz się zaczął i nie można było wychylić głowy, a noce i dni łączyły się ze sobą — całymi godzinami różnił się w baka... Nawet w stukulkę... I ot, człowiek się wciągnął, że wieczorami aż go podrywa...

— Dużo przegrałeś? — spytałam mimowoli.

Odpowiedział po chwili:

— Tak, bardzo dużo.

— Grałeś na słowo?

— Muszę wszystko zapłacić pojutrze. Kolega założył za mnie.

— Ah...

Jaka to dziwna rzecz: patrzeć spokojnie na własne palce, podczas gdy w sercu poczyna szaleć burza. Stłumiłam wszystkie żal i gniew i bunt, wpięłam z uwagą igłę w materiał i powiedziałam nawpół do siebie:

— Cóż teraz będzie?

— Albo ja wiem?

— Ile musisz zapłacić?

Wymienił sumę. Całomiesięczna pensja. „Do pierwszego jeszcze daleko — pomyślałam — a ja nic prawie nie mam“...

— Jeżeli nie zapłacę pojutrze... — rzekł z wolna, patrząc gdzieś w bok.

— To co?

— Rozumiesz, co to znaczy: dług honorowy?

— Rozumiem. Jutro ten dług zapłacisz. Ale...

— Aniu! Tybyś doprawdy mogła mi dopomóc w tej przykrej sprawie? Jeżeli otrzymam te pieniądze, dam ci słowo honoru...

— ...Właśnie o to mi chodzi. Dasz mi słowo honoru, że już nigdy...

— Nie wezmę kart do ręki! Obiecuję ci to!

— O, nie wymagam tak wiele. Boję się, że nie mógłbyś dotrzymać. Ale musisz mi przyrzec, że nigdy nie będziesz grał bez pieniędzy. Ta przykra sprawa nie może się już więcej powtórzyć.

Widocznie zdjęłam mu z ramion poważny ciężar, bo odetchnął z głęboką ulgą i odparł już swoim normalnym tonem:

— Tak, tak, masz prawo pałać mi tęgie kazanie. Ulżyj sobie... Ale ciekawym, skąd ty zdobędziesz tyle pieniędzy?

— To moja rzecz.

— Oho — szepnął. — Już mina „à la princesse“... Ale niech tam... Grunt, że się długu pozbędę.

A przyznam ci się, byłem już w czarnej rozpacz...

Wtedy to postanowiłam udać się do pani Mystkowskiej. Można przecież jeden, jedyny raz przełamać miłość własną i dumę.

---

Wiem, że na świecie jest cudowna pogoda — maj — słońce. A ciągle mi się wydaje, że nie tylko ulica i pokój, ale nawet niebo ma barwę ołowianą.

Marysia zawiozła maleńką do Botanicznego ogrodu. A ja siedzę beczynn timer domu i — czekam.

Na co, — mój miły Boże?

---

Nie mogę myśleć o tem, a nie mogę *nie myśleć*. Dnie stukają jeden za drugim — kap, kap — jak woda w rynnie. Jeszcze jeden. I jeszcze jeden. I znowu od początku: czwartek, piątek, sobota..

Dziesięć dni temu w takie samo słoneczne południe siedziałam w mieszkaniu pani Mystkowskiej, nawprost okna. Słońce gorącimer falami biło w lśniącą jak lustro podłogę. Patrzyłam na złote kwadraty, słuchając monottonnych wymówek, które kręciły się w kółko i wciąż wracały do początku:

— Nie rozumiem, na co wy wydajecie takie



mnóstwo pieniędzy. To przecież skandal w dzisiejszych czasach. Młode małżeństwo powinno...

I tak dalej, bez końca, jak siekanie kotletów: „...I przecież miesiąc temu, moja droga... Nie, co ja mówię! Dopiero trzy tygodnie temu twój mąż był u mnie w podobnej sprawie...”

Nie zakreśliło mi się w głowie, nie spadłam z krzesła. Nawet wtedy, gdy wyciągnęła z szufladki starannie wykaligrafowane pokwitowanie: „W dniu takim a takim otrzymałem od pani Benigny Mystkowskiej tytułem pożyczki taką a taką sumę, którą zobowiązuję się zwrócić w przeciągu trzech miesięcy od daty dzisiejszej”.

I zamasztył podpis: Kazimierz Lipka.

Wdowa popatrzyła na mnie badawczo:

— A może on to zrobił w tajemnicy przed tobą? W takim razie, moje dziecko, przykro mi bardzo, ale muszę zaznaczyć, że twój mąż...

Wydawało mi się, że w pokoju latają muchy. Krążą nad stołem i bzyczą. Odpędziłam je nawet ruchem ręki raz i drugi. Powiedziałam spokojnie:

— Mieliliśmy niespodziewane wydatki, wielkie wydatki. Ja pani te pieniądze zwrócę w przeciągu roku. Prędzej nie mogę, bo...

— Ale ja nie dlatego, moja kochana, bynajmniej nie dlatego! Wiem, że mi nie przepadną... Bądź co bądź, połowa Starych Kątów należy przecież do ciebie. Prędzej czy później Józef musi cię

splacić. Nawet się trochę dziwię, że dotychczas... Choć teraz wszyscy przeżywamy okropny kryzys. Ale *à propos* Starych Kątów: czy wiesz już, moja droga, że Karol podobno wrócił?

Teraz dopiero pokój zatańczył jak pijany. Krzyknęłam:

— Karol? Kiedy?

Od jakiegoś czasu wszystkie najważniejsze nowiny przychodzą do mnie *via* pani Mystkowska. Dziadzio i bacia pomarli... Józef ożenił się... teraz znowu: Karol powrócił.

— Podobno — dodała wdowa — jest w Starych Kątach. Ktoś mi to mówił... Nie pamiętam dobrze, kto taki. Ale napewno nie Witek, bo ten szalenciec o Bożym świecie nie wie... Lata w powietrzu i jeszcze sobie kiedy kark skręci. Choć — ci Boreysze mają niesamowite szczęście. Taki naprzykład Karol: przeżył wojnę, uporał się z bolszewikami, był na jakimś Murmaniu (wdowa ma zawsze kłopot z geografją) — i ostatecznie... dostał się do kraju zdrów i cały. Nie wszystkim się tak wiedzie. Naprzykład...

Już nie mogłam słuchać „przykładów“. Oznajmiłam, że z pewnością wpadnę niebawem na dłuższą pogawędkę, ale teraz bardzo się spieszę...

— Czekajże, warjatko! Zapomniałaś zabrać pieniądze! — krzyknęła za mną już na schodach.

Całą drogę przebiegłam prawie. Zdawało mi

się, że w domu stało się coś ważnego... Że może Karol przyszedł w czasie mojej nieobecności...

Wpadłam prosto do kuchni. Marysia mieszała coś w rondlu wielką łyżką drewnianą.

— Był tu jakiś pan — oznajmiła — powiedzia-  
łam, żeby zaczekał, bo pani zaraz wróci... Ale nie  
chciał. Zostawił tylko kartkę.

— Gdzie ta kartka?

— Położyłam na paninej szafeczce.

Kartka była do Kazia. Zawierała tylko te  
słowa: „Przypominam ci termin. Czekam jutro do  
piątej. Nie zrób kawału. Mundek“.

---

Sama nie wiem, jakim cudem zielony zeszyt  
znalazł się na dnie walizki. Wzięłam tak mało  
rzeczy, składałam je tak gorączkowo... Mogłam go  
przecież zostawić w jakiej szufladzie. Chwała  
Bogu, że jest.

Jesień rozpoczęła się już na dobre, to znaczy  
liście pożółkły i rankami siada na łąkach biała  
mgła, ale dnie są przedziwnie ciepłe. Słońce ca-  
luje włoski mojej Hanusi, gdy idzie sobie z Teresą  
„hajty“ — bardzo daleko, bo aż na koniec ścieżki,  
gdzie jest „bla“ czyli brzydki rów, pełen wody.

Widzę je z okna, gdy znikają w gmatwaninie  
gałązek, słyszę radosne pokrzykiwanie dziecka  
i serce mi na chwilę przepelnia niezamącona,  
błoga radość.

Moja maleńka córeczka, jak to już dumnie stawia swe pierwsze kroki! Teresa trzyma ją wpółzgięta pod paszki — i tak sobie wędrują zgodnie: najstarsza i najmłodsza w Starych Kątach.

---

Ze ja w mojej Hanusi odkrywam coraz to nowe nadzwyczajności — nie dziw; ale Teresa widzi w niej ósmy cud świata. Ona wogóle świata poza nią nie widzi.

— Bo niechno tylko Ania pomyśli — powiedziała niedawno. — Ania także zaczęła wcześniej chodzić, roku jeszcze nie mając... Ale nie tak, jak ona! Ona niedługo po drzewach zacznie łazić, jak kot... Zobaczy Ania! Pana Józefa chłopczyk o pół roku starszy i zdrów przecie, nie takie chucherko... A czy chociaż dwa słowa złoży? Be, me — i tyle. A Hanusia jak zacznie rano wołać „mama“ — to wszyscy słyszą i każdy odrazu zrozumie, że dzieciątku pilno uściskać swoją mamusię...

Biedna moja, najzacniejsza panna Teresa! Myślę, że gdybym powiedziała któregoś pięknego dnia, tak, bez przygotowania: „Wyjeżdżam i zabieram ze sobą Hanusię“ — chybaby starowinka padła trupem na miejscu z wielkiej żalości.

Ale ja tego nie powiem, moja Tereso...

---

Był tu (już po raz drugi) Józef Boreysza z żoną. Ilekroć na nią spojrzę, przychodzi mi na myśl tłusta, biała gęś. Nie z powodu głupoty, broń Boże, — to miła kobieta i może nawet inteligentna, ale w podobny sposób nosi głowę i ma spojrzenie, górujące nad przedmiotami, a trochę jednocześnie zafrasowane. Gdy pierwszy raz spojrziała na mnie tym wzrokiem, omal nie powiedziałam: Proszę się nie bać, nie nastraszę jak Budrys, ani nawet nie warknę... Jestem sobie takie samo poczciwe, swojskie ptaszysko, chociaż się troszeczkę odbiłam od stada... Ale przecież gatunek ten sam, nie żadne dziwy zamorskie.

Józef, ma się rozumieć, spytał na wstępie, czy mi czego nie brak, bo w tych Starych Kątach, wiadomo, straszna ruina. Dom ledwo-ledwo się trzyma. (Chwała Bogu, nie spalili go — to jedno chociaż okazało się w ustach pani Benigny przesadą!), ale jednak Józef miał słuszność. Straszna rudera, ten dwór. Dach zupełnie się wygiął i po-fałdował, wygląda jak falbana trochę krzywo przyszyta. I drzwi domu, i okna — i ściany — wszystko nieco na bakier.

— Chciałem go podstemplować latem — zwierzył mi się Józio już miesiąc temu. — Ale... Rozumiesz, teraz tak wyjątkowo ciężkie czasy...

Obecnie ozwał się z wahaniem:

— Może raczej na wiosnę uda mi się przeprowadzić gruntowny remont.

— Kuzynka dobrze się tutaj czuje? — dorzuciła „gęś“ a pytajnik w głosie zawierał wiele kropek nad niedopowiedzianem „i“.

— O dziękuję, wybornie. I doprawdy, nie kłopotcie się o mnie. Ja tak niewiele potrzebuję. A dobre powietrze, to dla mojej małej błogosławieństwo. Przymizerniała latem w murach.

— Sądziłam, że kuzynka, przebywszy tyle czasu zagranicą i w dużych miastach, przywykła do różnych wygód, których nasza cicha, zapadła wieś...

— Od wszystkiego, kuzynko, można się odzwyczaić, gdy trzeba.

Zabawni ludzie. Chcieliby mi okazać dyskretne „désinterressement“ w drażliwych sprawach, a równocześnie spojrzenia ich aż krzyczą z ciekawości: Długo zamierzasz milczeć? Zostajesz tu na stałe? Wyjeżdżasz? Jak właściwie przedstawia się stan rzeczy?

Rzeczywiście, jak się właściwie przedstawia? Uciekłam z domu, czy wyjechałam tylko na pewien czas, dla zdrowia? Rozeszłam się z mężem, rzuciłam go — czy on mnie rzucił? Rozwód, czy separacja? Czy są inne jakieś specjalne tajemnicze okoliczności?

Doprawdy, aż mi się robi żal Józefa, gdy pomyślę, jak jego żona musi go w domu zamęczać pytaniami, dotyczącymi mojej osoby. I nietylko ona jedna schnie (to jest, naturalnie, zwrot re-

toryczny!) z ciekawości. Jestem przedmiotem wielu zapewne dyskusji w całym sąsiedztwie.

Dawna gospodyni, Kublicka, która teraz u proboszcza ćwiczy swój organ mowy, zapewne aż się skręca z rozpaczy, że do Starych Kątów można tylko zabiedz na momencik — i to właśnie w powszedni dzień, gdy każdy ma swoją robotę, — bo na plebanji, wiadomo, niedziela najgorętszy czas. A przytem nie tak łatwo dowiedzieć się czegoś ciekawego od służby, która zresztą jest tak nieliczna!

Wyobrażam sobie, ile pomimo to kursuje legend koło mojej cichej osoby. Co za szczęście że Karol dotrzymał obietnicy i nie zjawił się tu — loby dopiero zawrzało w babskiem mrowisku!

Jedna tylko Teresa o nic nie pyta. Może domyśla się zbyt smutnej prawdy i woli nie dotykać świeżych ran. A może — ot, poprostu ze starości — już nie pamięta, że jakiś tam obcy człowiek istnieje gdzieś na świecie, a ja tu siedzę tyle czasu, sama — nawet listy mało-kiedy przywiozą dla mnie z poczty.

Ma swoją Hanusię i jest po swojemu szczęśliwa.

---

Jak to ja napisałam? „Co za szczęście, że Karol...”

A to nieprawda! To kłamstwo, które mogę powtarzać całemu światu, ale nie sobie! nie sobie!

Jedyna rzecz, której nie odnalazłam w Starych Kątach na dawnym miejscu, to moje własne serce. Pozatem wszystko jest, jak było. Niektóre drzewa trochę wyżej strzeliły w niebo, niektórzy ludzie trochę niżej zeszli — pod ziemię. O parę metrów wgląb — i niedaleko. Z cichego pokoiku, gdzie nocami paliła się lampka błękitna, prze-wędrowali na cichszy jeszcze cmentarz, nad którym, teraz właśnie, świeci inna błękitna lampa — księżyc.

Idę tam, gdy mi tęskno — i pośród mnóstwa krzyżyków odnajduję najbardziej drogie.

Tylko tego właśnie człowieka nigdzie odnaleźć nie mogę, choć natrafiam ciągle na ślady jego kroków — i odnajduję w myślach zatarte zgłoski jego słów. Wszystkie lipy alei szumią tak samo w dzień wietrzny i jest w tym szumie coś z każdej naszej rozmowy.

Ale te wspomnienia są tylko żywą ramą dla jakiejś drogiej twarzy, której wtedy nie znałam.

Inny Karol powtarzał moje imię, atakując cierpliwe echo; inny Karol wycinał w korze drzew moje litery; inny Karol śmiał się do mnie z każdego stopnia schodów na ganku. otulał moje nogi pledem i wołał: Do widzenia! Bądź zdrowa i nie zapomnij o mnie!

Ten, którego dotąd nie znałam, zjawił się w jakiejś przedwieczornej godzinie. Pierwszy raz



w życiu ujrzałam jego oczy i usłyszałam jego głos... Pamiętam każdą nutkę tych czterech słów:

— Nie poznajesz mnie, Aniu?

O czym myśmy później mówili? Co chwila rwał się wątek, co chwila brakło najzwyklejszych wyrazów.

Spytałam:

— Więc jednakże przyszedłeś wreszcie?

Odparł:

— Czy cię to dziwi? Pojechałem prosto do Kątów, sądząc, że może... Nie zastałem cię tam, ale mi powiedziano, gdzie cię znajdę... Przyszedłem trochę zapóźno, zdaje się. To nie jest pora odpowiednia do składania pierwszej wizyty. Ale nigdy nie umiałem przestrzegać przyjętych form. To mi zostało z dawnych czasów.

Znowu było krótkie milczenie i moje głupie słowa:

— Nie uwierzysz mi, jak się cieszę...

— I ja się cieszę... bardzo. Nareszcie jestem w kraju! Chociaż... tyle tu zaszło wielkich zmian, że jeszcze do nich nie przywykłem. Gdy człowiek jest zdaleka od życia, wydaje mu się, że tylko jego dni mają zdolność łykania czasu, a reszta stoi w miejscu, nieruchomo — i czeka tam, cierpliwie, by znowu ruszyć naprzód...

Nigdy nie mogłam odgadnąć, — i nie wiem po dziś dzień — czy mówił wtedy ogólnikowo o wa-

żnych zmianach w całym życiu — czy tylko do mnie?

Zdawało mi się, że każde jego słowo jest powleczone cienką warstewką wosku, który topniał chwilami, by znów skrzepnąć przy chłodniejszym powiewie jakiejś myśli. Tak, to była męcząca rozmowa, chociaż nie trwała długo. Po kwadransie zauważył:

— Twojego męża niema, zdaje się, w domu? Szkoda, bo wybrałem umyślnie godzinę, w której, jak mi się zdawało, rodzina zbiera się w komplecie.

— Słuchaj, Karolu! — rzekłam wreszcie — czy koniecznie musimy rozmawiać w ten sposób? Czy po tylu latach, doprawdy... tak bardzo się wszystko zmieniło?

— Zadajesz mi pytanie, na które mógłbym odpowiedzieć tylko w połowie, dotyczącej... mojej osoby. Czy cię ta połowa interesuje?

— Ależ tak! tak! Chciałabym wiedzieć o tobie wszystko, zaraz!

Po raz pierwszy uśmiechnął się swoim dawnym uśmiechem:

— Widzę, że nie zmieniłaś się tak bardzo: wiedzieć wszystko, natychmiast... To jakaś dobrze znana piosenka. A mnie naprawdę interesuje tylko jedno. Powiedz mi... naturalnie, jeżeli masz ochotę powiedzieć szczerze...

— Słucham.

— Jesteś szczęśliwa?

— Wiesz, Karolu, jak na pierwsze pytanie, po tylu latach niewidzenia... trochę to za obszerny temat!

— Dlaczego? Według mnie wymaga właśnie najkrótszej odpowiedzi: tak, lub nie. Szczęście albo jest, albo go niema wcale.

— A jeśli jest jak marcowa pogoda: troszkę słońca, troszkę deszczu?

— Tem człowiek serca nie oszuka. Ono zawsze podpowie, co przeważa.

— Ale trzeba chwilę pomyśleć, prawda?

— Namysł w pewnych sprawach, to szukanie wykrętu. Nie chciałaś, czy nie możesz mi dać najprostszej odpowiedzi. Teraz się sam o nią postaram. Bo do tego... jeszcze mam prawo. I to mi jest koniecznie potrzebne.

Znów się uśmiechnął:

— Widzisz? Przed chwilą zrobiłaś mi wy-mówkę, że zapomniałem rozmawiać po dawnemu. A sama nie pamiętasz, że byłem twoim przyja-cielem. Ten zaszczyt nie został mi chyba odjęty? A w każdym razie nie otrzymałem dymisji ustnej, ani piśmiennej, więc?... Musisz przyznać, że py-tanie moje ma pewną rację bytu?

Właśnie rozległ się hałas w przedpokoju. To Kazio po swoim trzasnął drzwiami i krzyknął:

— Marysia! Dawać herbatę! Prędko, bo mi się śpieszy.

Karol drgnął — powstał i usiadł znowu. Po twarzy jego przebiegł cień... Pytająco spojrział mi w oczy.

— Tak, — rzekłam półgłosem — zaraz poznasz mojego męża, bo właśnie wrócił do domu.

Potem rozmawialiśmy już tylko we troje. Karol wspomniał ogólnikowo własne przygody i wysłuchał cierpliwie wykładu z dziedziny polityki wojskowej. Słowa miały znowu powłokę z wosku: — twardniały nagle i stukały mi w uszach, jak stalowe młoteczki.

Dopiero wtedy spostrzegłam, że się zmienił, że ma sporo srebrnych nitok w ciemnej czuprynie. Pomyślałam pierwszy raz — i ogarnęło mię zdumienie — że to jest przecież ów drogi chłopiec, który się we mnie kochał podobno bez pamięci. I nie mogłam się w duchu nadziwić: więc to jest on? To ten sam Karol? Ten sam?

Teraz przebiegłam dom — i ogród — i nasze ścieżki nad stawem — i nasze ścieżki w lesie... Niema cię tu, Karolu! Nigdy tu razem ze mną nie byłeś taki, jakiego teraz dopiero znam, pamiętam i kocham.

Bo ja cię kocham, Karolu. Czy słyszysz?

---

Zaczynają się szarugi jesienne i dziecko siedzi w domu. Czasem ze mną, częściej z Teresą. Coś mi się stało takiego, że łaknę samotności. Popro-

stu tęsknię do niej. Póki świegot mego piskłątka nie ścichnie, — myśli mam rozbiegane to tu, to tam, jak kulki żywego srebra. Cisza wieczoru stapia je znowu w jedno i przy ogniu kominka myślę... myślę... myślę...

Zdaje mi się, że dopiero teraz, gdy minęło tyle miesięcy, mogę to przegryść w sobie, zewrzeć — odrzucić wszystko niepotrzebne, zestawić wszystko istotne — i...

I co dalej?

---

Ostatni list mojego męża nadszedł jednocześnie z listem mamusi. Patrząc na dwie koperty, leżące zgodnie tuż przy sobie pomiędzy stosem gazet, pomyślałam: oto wieści z dwóch krańców ziemi, z dwóch innych światów, które w podobny sposób — choć z innych przyczyn — opuściłam.

Jakże się dziwnie jednocześnie zbiegli dwaj biali gońce, wysłani przez najbliższych mi ludzi. Moja matka — i ojciec mego dziecka!

Biedna mamusiu! Byłaś, jesteś i będziesz kochaniem mojem... Mam cię przecież we krwi od początku mego istnienia i żadna przestrzeń nigdy nas nie rozłączy. Kłopotujesz się, najdroższa, o moje życie i szczęście, sama zawsze zajęta sklejanym okrucichów własnego szczęścia i życia. Nie mam o to żalu do ciebie. Ty już nie możesz odejść bezkarnie od tych szczątków i tak dla ciebie

lepiej. Ty już niczego nie pragniesz od losu, tylko doczekać chwili, gdy Ugo będzie miał sześćdziesiąt lat i powitać starość, jak sojuszniczkę, przy jego boku. A ja się szarpie i miotam i nie mogę wypłenić z serca buntu. Jak było z tobą, mamusi? Czy mój ojciec pisał do ciebie: „wróć“?

Bo to słowo znalazłam w liście Kazia, choć go nie śmiał pomieścić na czterech stronach „maczku“.

Boże mój — „zrozumieć wszystko“ i „nie żądać niemożliwości“ — to przecież nie znaczy: zmienić się i zacząć nowe życie!

A na to, które było — brak mi nietylko sił, ale i rezygnacji.

Czy nie dość wyrzec się szczęścia z innym człowiekiem, który by mi je dał z pewnością, pełniejsze i trwalsze? Chcę być sama — jeśli nie mogę złączyć życia z kimś droгим. Czy to także zawiele — pragnąć pustki?

Jeden jedyny raz rozmawiałam o tem z Karolem. Jeden, jedyny raz. I przysięgam — wtedy jeszcze nie znałam swego serca. Przysięgam, że z czystymi myślami powiedziałam:

— To już nie może trwać dłużej. Powiedz, Karolu — co mam czynić?

Nie odpowiedział wprost. Podeszedł do ściany, gdzie wisiała ta fotografia z Kątów, jedyna, jaką

posiadam z dawnych czasów. Są na niej wszyscy, nawet ci, których już niema. Ja sama często patrzę na nią i myślę: Ten staruszek w wielbłądziej pelerynce istniał przecież naprawdę i uśmiechał się do całego świata z niezglębioną dobrocią. Babcia ręką okręconą różańcem daje jakieś znaki żydowi, który robił zdjęcie, ale nie powie, jak wtedy: „Niech no Gutman zaczeka, jeszcze słońce za chmurą“. Wszyscy mają twarze popstrzone plamkami cieni — a ta osoba w jasnej sukni, oparta o filar ganku — to mam być ja?

Karol stał długo, nieruchomy, długo patrzył i myśli nasze widać się zbiegły, bo wreszcie rzekł, wskazując białą postać:

— Jak ja tę dziewczynę kochałem! Nic mi jej z serca wydrzeć nie mogło, ani czas, ani przestrzeń! Przechodziły miesiące, lata — śmierć nieraz wyszczerzała do mnie zęby, a ja mówiłem sobie: „To nic, jeżeli wrócę, ta dziewczyna zostanie moją żoną“. — Ani na chwilę nie dopuściłem myśli, że może stać się inaczej. Nawet, gdy byłem w więzieniu, nawet, gdy mi groziło rozstrzelanie, nawet w czasach tułaczki miałem pewność, że wydobędę się z tego piekła, że — wszystko jedno — za rok, albo za dziesięć lat — odnajdę ją i wyrwę, choćby przemocą, chociażby z korzeniami wrosła w jakikolwiek obcy dom, w czyjekolwiek obce życie!

Pokiwał głową i odwrócił twarz w moją stronę:

— Dopiero tu, w tych ścianach zrozumiałem, że nie ludzie nas dzielą, ani okoliczności, ale — ty sama. Do przełamania losu zbrakło mi twego serca i twojej zgody.

— Nie mówmy o tem. To nie są słowa przyjaźni, Karolu.

— Być może — szepnął — wybacz mi. W tej chwili nie mogę znaleźć innych.

A jednak znalazł je w kilka dni potem.

Byłam zupełnie wtedy roztrzęsiona po scenie, którą mi zrobił mój mąż. Powiedział... zresztą mniejsza o słowa. Słowa lęgną się w gniewie jadowite, jak żmije, ale ich ukąszenie ślizga się po naskórku, nie wsiąka w krew. Tylko wtedy nie szło już o pieniądze, o karty... Do zwykłych pretensyj, tyczących mojej osoby, przyplątała się — zazdrość. Mój mąż uczuł się nagle obrażony, że ktoś inny zabiera tę część moich myśli, po które on sam sięgać oddawna się nie kwapił. Były mu niepotrzebne, nie dbał o nie — lecz je widocznie zarejestrował w spisie należącego doń inwentarza i wypomniał mi swoją krzywdę w sposób właściwy, czyli brutalny i płytki.

— Jeśli ten pan — oświadczył na zakończenie, wychodząc — sam nie przestanie pętać mi się po domu, potrafię mu to wyperswadować.

— To zbyt skuteczne — odparłam — *ten pan* więcej czuje szacunku dla *twego domu*, niż ty...



W godzinę później płakałam jeszcze i nie mogłam się uspokoić, a Karol mówił:

— Przysięgam ci, że nie pojedę za tobą, nie będę nawet pisał... Nie zrobię nic, co by mogło zwiększyć twoją rozterkę. Gotów jestem wykreślić z twego życia nawet mój cień, jeżeli ci to sprawi ulgę. Czy naprawdę nie czujesz, że dziś pragnę tylko jednego: żebyś chociaż ty była szczęśliwa?

„Och, Karolu, czy to teraz możliwe — bez ciebie?”

---

Zapytałam dziś znienacka Teresę:

— Słuchaj, moja droga staruszko: a jeśli ja już nazawsze zostanę w Starych Kątach?

— No to zostanie Ania. Albo nam tutaj źle?

Szepnęłam, głośno myśląc:

— Tak, napiszę mężowi, że już nigdy nie wrócę. Raz się to skończy... Prawda, moja Teresko, tak będzie lepiej?

Westchnęła, pokiwała głową. I nagle rzekła, podsuwając się ku mnie swemi cichutkiemi krokami:

— Jeśli już Ania pyta mię wprost, to powiem.

— Powiedz, powiedz, Teresko!

— Widzi Ania... Opuścić męża, to niedobrze. To wielki grzech przed Bogiem.

— Wiem. Ale sama powiedziałaś przed chwilą...

Siedziałam przy kominku, jak co wieczora,

odkąd zaczęła się zima. Staruszka pochyliła się, poprawiła głownię szczypcami i przykucnęła na niskim stołeczku, prawie u moich kolan. Jej wypłakane oczy, które dużo w życiu widziały rzeczy smutnych, nie patrzyły na mnie, lecz w ogień. Odezwałam się znowu:

— Ja nie rzuciłam męża, aby wyjść za kogo innego. Tylko już nie mogę, nie mogę... Gdybyś wiedziała, Teresko...

Obróciła się ku mnie twarzą:

— Biedna ty. Ale opuścić męża także niedobrze. Małżeństwo przecie — sakrament.

— A jak mąż nie dba o żonę, jak ją zdradza na każdym kroku, jak jej nie umie szanować?

Pokiwała głową w milczeniu. Potem długo szukała w myśli słów.

— Widzi Ania — rzekła wreszcie. — Jakby mąż Anię opuścił, to już — los. Ale jak Ania męża porzuci — to jemu krzywda.

— Więc zawsze mój zły los, lub czyjaś krzywda? Tylko ja mogę być winna? Tak uważasz, Teresko? Nawet gdyby mój mąż mię rzucił?

Znowu patrzyła to w ogień — to na mnie. W oczach miała bezradny smutek i prośbę:

— Jak pan Gołębiowski został sam, to... jemu była krzywda — rzekła wreszcie. — Rozumie Ania?

---

Tak, Teresko, rozumiem. Kto odchodzi —  
wszystko jedno, ona, czy on — ten krzywdzi.  
A kto potrafi zostać i wytrwać — może być tylko  
nieszczęśliwy, ale nie ma grzechu przed Bogiem.

---

---



ROZDZIAŁ XII.

KIEDY RANNE WSTAJĄ ZORZE...



*„Układaj i urządzaj wszystko podług chęci i widoków twoich; a nic nie znajdziesz, w czembyś nie cierpiał z dobrej, lub złej woli; a tak wszędzie i zawsze krzyż znajdziesz“<sup>1)</sup>).*

Mała, czarna książeczka opadła na kolana i oczy Ani jęły znów błąkać się od mogilki do mogilki. Zewsząd patrzyły krzyże, mniejsze i większe, zmurszałe, pokryte zielonawą pleśnią i nowe, nieodarte dotąd z połyskliwej jasności świeżo ociosanego drzewa.

Słońce jeszcze z wysoka ogarniało ziemię ciepłym spojrzeniem. Kryształowe powietrze, nasiąknięte zapachem młodej zieleni i kwiatów było tak czyste, że cichy cmentarz zdawał się cały skąpany w blaskach fioletowych i złotych. Na poszczerbionym kamiennym murku siadały co chwila gromadki ptaków, rozćwierkanych bez troski. Jedyna ludzka istota, zatopiona we własnych myślach, nie budziła w nich niepokoju. Przywykły już do tej postaci, zjawiającej się tu niekiedy z wiankiem, lub kwitnącą gałązką. Zawsze klękała w tem samym miejscu, modliła się ukrywając twarz w dłoniach, lub siadłszy na omszałym kamieniu, otwierała czarną książeczkę.

---

<sup>1)</sup> Tomasz à Kempis Naśl. Chr. Ks. II r. XII, 3.

Przewracane kartki mniej czyniły szelestu, niż wiatr wiosenny wśród młodych liści. Może tylko najbliżej stojący krzyż słyszał słowa, wszeptane w ciszę, bo schylał się nad głową czytającej i na jej lewym ramieniu kładł cień, jak dobrotliwą rękę.

Obróciwszy znów jedną kartkę, Ania czytała dalej:

*„Nie ujdiesz przed nim, gdziekolwiek byś się zapędził; albowiem gdziekolwiek pójdiesz, wszędzie poniesiesz sam siebie i znajdziesz sam siebie“.*

*„Jeśli chętnie krzyż dźwigasz, on cię dźwignie i zaprowadzi do pożądanego końca, to jest tam, gdzie jest koniec cierpieniom, które się tu nie kończą“.*

*„Jeśli odrzucisz krzyż jeden, niechybnie napotkasz i drugi, a może i cięższy“<sup>1)</sup>.*

— Cięższy? — powtórzyła w zadumie — i znowu oczy jej ominęły kilka wierszy, aby napotkać słowa, które dały myślom jasną i prostą odpowiedź:

*„Błędzisz, błędzisz, jeśli szukasz co innego, jak cierpieć: albowiem cały ten żywot śmiertelny, pełny jest nędzy i opisany krzyżami“.*

*„A im kto wyżej postępuje w duchu, tem cięższe częstokroć znajduje krzyże: albowiem im większa*

<sup>1)</sup> Naśl. Chr. Ks. II. r. XII, 4.



*miłość, tem większa tęsknota w wygnaniu naszym“.*

— Jakże inne były moje tęsknoty, dziadziu! — szepnęła znowu Ania — I jak łatwo mogłam je zaspokoić... Ale przecież ty widzisz, że już dziś pragnę tylko ciszy. Wymódl mi ciszę, dziadziu: w sercu i w życiu mojem...

Ale małeńkie litery układały się w dalszy nakaz i pouczenie:

*„Przygotuj się do znoszenia wielu przeciwności i rozmaitych dolegliwości w tem nędznem życiu: bo gdziekolwiek będziesz, wszędzie je znajdziesz i nigdzie nie ukryjesz się przed niemi“.*

*„Tak to być musi: i nie masz innego lekarstwa na uniknienie strapień i boleści, jak umieć je znosić“.*

*„Zdaj na Boga pociechy twoje: niech On je zlewa wedle upodobania swego...“*

Ania westchnęła i zamknęła książeczkę. Łagodny, przedzachodni wiatr musnął schylone czoło. Zwolna podniosła głowę i oczy jej spotkały ten sam kontur odarniowanej mogiły z kamienną płytą, wypełnioną drogiemi imionami. Ku jednemu z nich razem ze wzrokiem pobiegła myśl prawie pogodna i słowa prawie uśmiechnięte:

— Cieszysz się, dziadziu? Jesteś ze mnie zadowolony?

Kamień milczał, ale odpowiedziały ptaki roz-

śpiewane i białokora brzoza, skłaniająca ku ziemi wiotkie gałązki:

„Tak, kochanie, tak, tak... Teraz się wreszcie rozumiemy...”

— ...Teraz się rozumiemy — powtórzyła Ania, powstając — i wiem już dziadziu... dziś wiem, że trzeba zdać na Boga pociechy swoje. Ale to było ciężko, dziadziu... Ogromnie ciężko: przełamać w sobie bunt.

„Wiem kochanie, wiem, wiem...” — Szeleściła znów brzoza dobrotliwie.

— A jeśli on się tylko przyczaił, by rozgorzeć nanowo w chwilach osamotnienia?

„Ugaś go w jasnych oczach twego dziecka. Tam jest wypisana twoja przeszłość i twoja przyszłość... Tam, w małym serduszkach, którego nie rozkrwawił dotychczas żaden ból i nie skaziła żadna wina, — zamknięta jest najlepsza część samej siebie. Ty jedna możesz napęcznieć to serduszek ufnością i uchronić je przed pytaniem: „Dlaczego?” które prowadzi do rozterki i buntu. Oszczędź córce twojej rozterki, gdy zacznie myśleć — i pokusy sążnienia, gdy zacznie sądzić. Niech powie, gdy przyjdzie na nią czas próby: pójdę, jako moja matka, *drogą prawdą*”.

— Pragnę tego ze wszystkich sił... ale czy zdolam wytrwać?

„Bóg nie zsyła ludziom cięższych utrapień nad

te, które dźwignąć potrafią... Powtórz jeszcze: „Zdam na Niego pociechy swoje“ i — ufaj Mu...”

— To ja już pójdę, dziadziu. Choć tak ciężko oderwać się od ciebie! Tu odzyskuję spokój. Tu jest tak cicho...

„Wszędzie znajdziesz ciszę, jeśli ją w sobie mieć będziesz. Idź już, kochanie, idź...”

Brzoza przyjaźnie i miłosiernie skłoniła wiotkie swoje gałązki, a wszystkie ptaki poderwały się z muru i frunęły, by z drzew wysokich parrzeć na znikającą w oddali ludzką istotę.

Ania szła wolno z głową spuszczoną, cała jeszcze oddana myślom, które ją tu dzisiaj przywiodły. Zwolna jednak silne skupienie ducha poczęło się rozwiewać. Cichy cmentarz był już o pięćset kroków — o tysiąc... Zielonej miedzy wśród młodych zbóż zastąpił drogę ogród, a z ogrodu wylaniał się dwór, cały w blaskach różowych, któremi słońce na pożegnanie stroi ziemię.

Na ganku było pusto i pusto w kilku pokojach, dziwnie smutnych i martwych po stracie sprzętów, do jakich przywykły od lat... Kroki dudniły glucho na szczerbatej podłodze i odbijały się w sercu echem żalosnem. Ania zatrzymała się przy drzwiach zamkniętych: A jeśli nie odjechał? A jeśli czeka cierpliwie na jej powrót? Ciężko będzie raz jeszcze spojrzeć w te drogie oczy i wymówić najprostsze słowa tonem swobodnym, jak

gdyby nic nie zaszło, jak gdyby to rozstanie było, ot, najzwyczajszym: do widzenia, do jutra!

Poprzez drzwi dobiegał drżący, cichutki głos Teresy, która nucila starym zwyczajem mieszkańców tego domu:

*Za Niemen, za Niemen i pocóż za Niemen?  
Czy kraj tam piękniejszy...*

Trzeba było w końcu nacisnąć klamkę i wejść. Staruszka siedziała obok Hanusinego łóżeczka. Dziecko nie spało jeszcze. W wątych ramionkach spoczywał ogromny niedźwiedź pluszowy.

— A, jest Ania nareszcie! — rzekła Teresa. — Córuchna grymasi nam; rozbawiło się dziecko, nie chce spać!

— Trzeba już spać, dziecinko — odezwała się Ania, lecz wyrazy padały z ust bezbarwnie, nie budząc w myślach echa.

— I niedźwiedzia za nic nie chce położyć! Daj — powiadam — rybeńko, posadzę go na krześle, a jak jutro oczki otworzysz, to go zobaczysz... Ale ona nie i nie. „Hanusia misia nie da! Z misiem będzie spać!“ Ano, nie dziw: zabawka piękna, jeszcze dziecko takiej nie widziało. A kto to Hanusi dał misia?

Ostatnie zdanie było już skierowane do małej ósóbki, która wciąż serdecznie tuliła w objęciach niedźwiedzia. Teresa wypowiedziała cichutko:

— Powiedz, Hanusiu: wujek.

— *Ujet!* — wykrzyknęło radośnie maleństwo i jęło podskakiwać w łóeczku z wielkiej uciechy.

— Tereso — rzekła Ania i raptem zacięła się. Wszystkie pytania, sto pytań, zestrzeliły się w jednym, które było takie *niepotrzebne*:

— Gdzie pan Boreysza?

— Który? — szepnęła staruszka niepewnie, jakby mógł istnieć bodaj cień wątpliwości, o *którego Boreyszę* tu chodzi.

— Czy już wyjechał?

— A tak, duszeńko, wyjechał.

— Dawno?

— Będzie z pół godziny.

— To lepiej — szepnęła Ania do siebie. — Tak, to lepiej.

Brunatny niedźwiedź nagle osunął się bezwładnie na bok. Dziecko już spało.

Ucałowały kolejno jasną główkę o jedwabistych kędziorach i wyszły cicho do sąsiedniego pokoju, który po dawnemu nosił nazwę jadalni, gdyż mieścił w sobie stół, kilka krzeseł i połamany kredens. Teresa natychmiast jęła się krzątać, rozścielać obrus, rozstawiać rozmaitego kształtu wyszczerbione talerze. Jej stare, suche ręce o wąskich palcach drżały nieco i wzrok co chwila niespokojnie biegł w stronę Ani, siedzącej na krześle nieruchomo, jak jeszcze jeden sprzęt, bez cienia życia w nagle zmartwiałej twarzy.

Dom rozbrzmiał odgłosem kroków dziewczyny, która z namaszczeniem wniosła samowar. Dzwoniły cicho łyżeczki, rozkładane na spodkach, chrzęściła sucho wysypana z puszki herbata, zapachniał świeży chleb... I wreszcie, już po wielu minutach wyczekiwania, ozwał się głos Teresy:

— Niechże Ania je... Wieczera już dawno gotowa, stygnie...

Wtedy ocknęła się, wzięła jakiś kęsek z półmiska i zapytała, jakby w rozmowie nie było żadnej przerwy:

— Czy przed wyjazdem mówił coś? Dał może jakie zlecenie?

— Kto?

— Karol. Czy nie kazał mi nic powtórzyć?

— Zaraz, kochanko. Niech zbiorę myśli, bo to ze starą pamięcią zawsze bieda. Ano, nie... Nie mówił nic takiego. Z początku, jak Ania poszła na cmentarz, bawił się z Hanusią w ogrodzie. A jakże, woził ją „na barana“ i dokazywał różne sztuczki. A potem jedli podwieczorek: na wyścigi, kto pierwszy. A potem? Zaraz... Potem to już wciąż patrzył na zegarek. Chodził po pokojach, przystawał to tu, to tam, przyglądał się tym starym obrazom, co to ich bolszewiki powycinali z ram... Wypytywał raz jeszcze, jak to było, żeśmy nawet wszystkich rzeczy pochować nie zdążyli... No i raptem powiedział: „Czas już na mnie“.

„To pan wyjeżdża?“ — mówię.

„Wyjeżdżam dopiero jutro zrana, panno Tereso — odpowiedział — ale pora ruszać do Wielkich Kątów“.

Że niby brat i bratowa czekają. Zapytałam go nawet:

„Nie zostanie pan, aż Ania wróci?“

Wtedy on chwilę pomyślał, potem głową pokręcił, że nie:

„Proszę raz jeszcze panią pożegnać odemnie, chociażśmy się już właściwie pożegnali“.

Tyle tylko powiedział. Siadł na bryczkę i pojechał. Głowy już nawet nie odwrócił, jakeśmy z Hanusią w oknie rękami machały. Bardzo się widać śpieszył. A prawda, zapomniałam: jeszcze w sieniach, przed samym odjazdem krzyknął:

„Strasznie się zasiedziałem! Ania by się nawet dziwiła, bo miałem wyjechać o piątej“.

Aż mi go było żal, moja Aniu. Nie na pociąg jechał przecie, a tak śpieszył! I ręce miał takie rozlatane i oczy, jak nie swoje...

Ucichła starowinka po tem długim opowiadaniu i spojrzenie prawie błagalne, prawie pobożne wlepila w nieruchomą ciągle twarz Ani. Te blade, wąskie wargi chciałyby szeptać jakieś słowa niezmiernie tkliwe, chciałyby mówić: „Ja wiem, kochanie... Tobie ciężko... *tobie serce boli...* Ale i mnie... i mnie... Wyplacz-że ty się chociaż, moja rybeńko... To ci lepiej zrobi, niż tak z su-

chemi oczami siedzieć i medytować. Bo ty cierpisz, moja kruszyno i ja wraz z tobą, choć nie wszystko dobrze rozumiem. Ot, nabroiło tobie życie, napsuło wiele... Ale to minie, promyczku mój najdroższy, bo wszystko mija w tem życiu, nawet najcięższy ból“...

Widocznie te niewypowiedziane myśli miały jakąś tajemniczą wymowę, bo Ania ocknęła się wreszcie z zamyślenia i zapytała:

— Nie jesteś zmęczona, Tereso? Nie pójdziesz jeszcze spać?

— Skądże, kochanie? Ani mi w głowie sen. Staremu niewiele snu potrzeba, ot, jak ptaszkwici: tych parę godzin zdrzemnie i ma dość. Nawet bym usnąć nie mogła o tej godzinie... I jeszcze teraz...

— To dobrze — westchnęła Ania — bo chciałabym posiedzieć trochę z tobą, pogadać, jak to za dawnych czasów bywało. Pamiętasz, moja Teresko?

— Jabym nie miała pamiętać?

— Ile to moich łez wsiąkło tutaj... — szepnęła, dotykając ramienia staruszki. — W twoje ciemne sukienki, Teresko... Ile słonych, dziecinnych łez! Teraz już tak nie umiem płakać, o byle co. Ale ot, czasem... Chciałoby się znów głowę przytulić do twoich kolan, podawnemu — i siedzieć tak, objąwszy cię ramionami... I czuć dotyk twych dobrych rąk na włosach...



— A to przytulże się do mnie, dziecino! Ja wiem, tobie ciężko... ja wiem! Ale niezawsze tak będzie... Doczekasz ty się swojego szczęścia, doczekasz — łagodnie tłumaczyła panna Teresa, nie zważając już nawet, że przemawia do Ani „ty“, jak za owych czasów, gdy nosiła na rękach tę pół-sierotkę najmilszą.

Umilkły znowu obie, wsłuchane w bicie własnych serc i cichy poszum za oknami. Ciepły wiosenny wiatr trzącał gałązki krzewów, rosnących wkoło domu. Były w szyby leciuchno i kontury ich rysowały się wyraźnie na tle nocy, którą zwolna wypełniał blaskiem wschodzący księżyc.

— Najbardziej — rzekła znów Ania po długiej chwili ciszy — najbardziej to mi będzie żal opuścić Stare Kąty. Teraz dopiero zżyłam się z nimi naprawdę. Takie są *moje własne*, jak nigdy. Tak mi do nich przyrosła dusza, Teresko...

— Przecież, jak nawet Ania pojedzie do miasta, do męża, to nie na zawsze! Przyjedzie Ania z Hanusią i na lato i na święta — i kiedy tylko zechce...

— To już nie to samo, Teresko: odwiedzać dom, gdzie się wyrosło ciałem i duchem, a zamieszkiwać go ot, choćby w takim opuszczeniu...

Wskazała ręką ruinę połamanych, zniszczonych sprzętów i ściany odrapane i drzwi podziurawione kulami.

— Tu — dorzuciła po chwili — zostałabym

z radością na zawsze. Kiedyś wyrywałam się stąd, jak z ciasnej klatki. Dziś wiem, że cały świat jest klatką, o którą próżno serce ludzkie się tłucze... Tu byśmy sobie żyły we trzy, staruszko moja, z Hanusią... cichuteńko, spokojnie... I byłoby nam dobrze. I byłybyśmy szczęśliwe. A jak wyjadę, strasznie mi będzie tęskno i tak pusto wśród ludzi! Gdybym chociaż ciebie mogła zabrać, Teresko!

Staruszka zdjęła rękę z Aninej głowy, nagle wyprostowała swe wątle plecy i rzekła nad podziw stanowczym głosem:

— Jeżeli tylko Ania zabierze z sobą taki stary grat — pojedę z Anią!

— Co ty mówisz, staruszko? Pojechałabyś? Do miasta? Naprawdę pojechałabyś?

— A cóż? Wielkie to rzeczy? Albośmy już raz nie jeździły po świecie? Zapomniała Ania, jak to było niespełna rok temu? Jak nas trzęśli wozami, włączyli od wsi do wsi, coraz dalej... Bo nam prawie po piętach deptały te bolszewiki...

— Wtedy jechałaś z musu. Bo nie mogło inaczej być. Wszyscyśmy uciekali. Józefostwo i ja, nawet Zaworonek i pisarz! Jakżebyś tu sama została?

Teresa pokiwała głową:

— Jak? A ot poprostu: na górcie. Przeżyłam na tym stryszku sześćdziesiąt z górą lat, bo mię prze-

cie skrzatem małym do dworu przywieźli; tylu ludzi za mej pamięci poszło do ziemi... Przeżyłam wszystkich... Coby mi nawet bolszewicy zrobić mogli? Życia pozbawić? Niewielki dla nich byłby zysk, a zawsze mitręga. Bo ja widać życie mam twarde i pewno tylko sam Bóg wie, dlaczego mię dochował... A teraz myślę sobie: widać jeszcze komuś jestem potrzebna. Może Ani?

— O tak, Teresko, tak!

— Żebym wtedy sama tutaj siedziała, została-bym domu pilnować. Możeby mniej złupili... Pochowałabym co się da. Ale przecie pomyślałam, że Ani potrzebna będzie pomoc. Samiutka, z tem maleństwem, co jeszcze dwóch latek nie skończyło... I cóż? Zawadą byłam w drodze? Miała ze mną Ania turbację? A wtedy, jak Hanusia przeziębiła się, kiedyśmy w szczerem polu nocowali, kto trafił do miasteczka, znalazł aptekę i lekarstwo przyniósł na kaszel? Widzi Ania, że nie taka znów niedołęga ze mnie! To i teraz w mieście może się na co przydam, chociażby dziecka popilnować. Chyba, że Ania miałaby ze mną kłopot...

— To nie dlatego, moja najdroższa staruszkol! Tylko się boję, że ty mi w mieście zaczniesz tęsknić, że ci tam będzie źle. Pomyśl: sześćdziesiąt lat mieszkałaś w swojej izdebce na stryszku i raptem — będą obce mury. Sześćdziesiąt lat widziałaś z okna tę kościelną dzwonnice — i raptem nie

zobaczysz jej! Nie zatęsknisz ty się za temi drzewami, za tym dworem, za każdą ścieżką?

— A ja inaczej Ani powiem: wiele, wiele lat żyje człowiek i raptem... niema go! To dopiero jest pustka prawdziwa! A i to serce przetrzyma i nie pęknie na dwoje z żalości. Serce wiele ogarnie, a pamięć wszystko przechowa. Ot, rzuci los człowiekiem, jak liściem, daleko w świat poniesie. Ale człowiek nie liść, co zdaleka od swego drzewa uschnie i więcej nie odrośnie. Czy Ania przez to utraci Stare Kąty, że do miasta pojedzie? Ot, będzie Ani smutno czasami, zatęskni Ania mocno: to oczy przymknąć wystarczy, żeby zobaczyć drzewa kochane i dwór i dzwonnice na kościelnym cmentarzu... Ale co ja plotę! Ania przecie sama lepiej wie...

— Tylko że gdy człowiek oczy otworzy — przekona się, że to był sen, który trwał jedną, krótką chwilę...

— A całe życie ludzkie... nie sen? — odparła, znowu kiwając głową. — Prędzej się ono przeżyje, niż Ania myśli. Ja to wiem lepiej, bo już dużo lat chodzę po świecie...

Zamyśliła się nad czemś głęboko i raptem dookończyła po swojemu, prawie z lękiem, jakby prosząc zawczasu o przebaczenie, że śmie wyrażać swoje zdanie w tak ważkich sprawach:

— Trzeba tylko życie uczciwie przeżyć. Złego człowiek napotka dość i pokus różnych... Ale jak

jedną, drugą odegna, to mu z czasem coraz lżej. Tak już Bóg miłosierny swą łaską sprawił, bo on człowieka kocha i zawsze mu pomoże.

— Ktoś mi to już powiedział niedawno — pomyślała Ania i nagle przypomniała sobie, że te same myśli, innemi tylko słowami wyrażone, zawarte są w czarnej książeczce, którą przeznaczył dla niej dziadzio, wypisawszy na pierwszej stronie drobnemi literkami:

*„Tu na każde strapienie swoje znajdziesz lekarstwo“.*

Zapewne do końca dni swoich nie zrozumiała panna Teresa, dlaczego, mówiąc: „Dobranoc, moja najdroższa staruszkol“ Ania podniosła do ust jej pomarszczoną rękę.

Tak inne były ręce dziadka, tak inny jego głos, a przecież tych dwoje ludzi miało wspólną mowę i wspólne myśli, biegnące po jednym promieniu ku ogromnej, nigdy niegasnącej *JASNOŚCI*.

— Dobranoc, moja najdroższa — powtórzyła Ania — idź, wypocznij, by ci na długo, długo jeszcze starczyło sił i życia, które dla mnie jest tak bardzo potrzebne.

— Połóż się i ty, usnij. Prędzej zaśpisz zmartwienia swoje... Niech Bóg czuwa nad tobą... — szeptała jeszcze w drzwiach Teresa, kochajacem spojrzeniem obejmując Aniną głowę.

Powiedzieć sobie położę się i usnę, to jeszcze nie znaczy: móżdż usnąć.

Wszedłszy do swego pokoju, Ania obrzuciła wzrokiem znajome sprzęty. Dziwnym trafem zachowały się prawie wszystkie: panińska bieliźniarka i paniński stolik do robót; to samo biurczko pod oknem i takie same białe w oknie firanki. Tylko tam, pod ścianą, w pobliżu jej własnego, małe lakierowane łóżeczko, a w niem istota ukochana, najmiłsza ze wszystkich na ziemi, jedyna, dla której warto wszystko poświęcić: nawet swe własne szczęście.

— Maleńka moja! Gdybyś wiedziała... — szepnęła Ania, pochylając się nad różową twarzyczką.

Z przyzwyczajenia dotknęła dłonią krągłej buzi, by sprawdzić, czy przypadkiem nie rozpalona. Z przyzwyczajenia poprawiła kołderkę i zawiesiła na oparciu krzesła swój szal, by światło nie raziło oczu śpiącego dziecka. Potem zwolna podszła do biurka i zapaliła lampę. Krąg żółtego światła ogarnął rozłożoną na biurku teczkę i kilka porozrzucanych bezładnie ćwiartek papieru. Leżały tak, od przyjazdu Karola, nietknięte. Na jeden z arkusików Ania rzuciła okiem. Był to zaczęty list do matki:

„Droga mamusiu moja — przeczytała — mam wyrzuty sumienia, że tak dawno nie pisałam do Ciebie. Zapewne niepokoisz się, więc pośpieszam Ci donieść, że jesteśmy zdrowe obydwie. Hanu-

sia bardzo wyrosła w ostatnich czasach — wszyscy dają jej conajmniej trzy lata, a przecież właśnie kilka dni temu skończyła *piąte półrocze* (bo jej wiek można jeszcze tak liczyć). Jest to już bardzo mądra panna, która samodzielnie zaczyna myśleć. Niedawno, bawiąc się na podłodze, nagle podniosła główkę i zapytała: „Cio lobi tatuś Anusi?“ Potem zaczęła szczebiotać, że wyjedziemy „daleto“ bo ona chce tatusia „ziobacić pładto“. Są to reminiscencje z opowiadań Teresy, lecz indywidualnie wyrażone. Ponieważ i ty, moja mamusiu, obszernie poruszasz w liście tę sprawę, więc pośpieszam Ci donieść...”

Tu się urywał list, a myśli Ani pomknęły w przeszłość, by z niej wyłowić niezapomnianą chwilę: Przecież w owym dniu spłonął *zielony zeszyt!* Przecież owego dnia uświadomiła sobie po raz pierwszy, że z dziecka wyrasta już maleńki człowieczek, który pyta i który będzie pytał coraz częściej, coraz natarczywiej i bezlitośniej. Zielony zeszyt został spalony, jako świadectwo dwuletnich niemal zmagania między sumieniem a sercem. Gdybyż kiedy miał wpaść do rąk dużej, dorastającej Hanusi!

Ale został zniszczony, jak wszystko, co podnosiło zbuntowaną głowę przeciw wewnętrznym nakazom. Ostatnie słowa, zamienione z Karolem, miały już w sobie tę pustkę, której jutrzejszy raneek nie zwiększy... Wszystko zostało załatwione

w kilku okrutnie suchych zdaniach, o treści tak wymownej! Odjechał z przekonaniem, że kobieta, która *pomimo wszystko* po dwóch latach wraca do męża, musi go widocznie kochać nad życie.

Jeżeli dzięki tej pewności Karol zdoła opanować swoje własne uczucia i wyrwać z korzeniem ostatni cień nadziei, — to lepiej... To przecież lepiej..

Aby położyć kres natrętnym myślom, Ania wzięła pióro do ręki i na niedokończonych stronicy, po słowach „więc pośpieszam ci donieść“ dopisała urwane zdanie:

„...że Kazio natychmiast po zwolnieniu się z wojska zamierza zdać ostatni egzamin z prawa i pracować w adwokaturze. Tymczasem ogląda się już za wygodniejszym mieszkaniem i gdy tylko je znajdzie, sprowadzimy się do Warszawy: ja, Hanusia i moja kochana Teresa, którą zabiorę z Kątów na jej własne żądanie. Pocziwa starowinka, — bez niej byłabym, jak bez połowy własnej duszy...

Myślę, Mamusiu, że jeśli twoje projekty nie ulegną zmianie, lub zwłóce, to jesienią powitam cię w naszym domu; będzie już wtedy urządzony i „omieszkały“. Wtedy poznasz mojego małżonka, który — zapewne! — ma swoje wady, jak każdy człowiek, ale ma także dobre serce i chęci, więc mu można wiele wybaczyć; przede wszystkim zaś — zobaczysz wreszcie moją Hanusię, która



jest, jak nikt inny na świecie i dla której żyć — to już wielkie, niezasłużone może szczęście!

Cóż Ci więcej powiem? Żyjemy tu tak cicho, nie widzimy prawie ludzi... Przed paru dniami przyjechał Karol Boreysza, mieszka w Wielkich Kątach u brata i odwiedził mię kilka razy; zapewne nieprędko zobaczymy się znowu, bo Karol zamierza ruszyć w świat, szukać przygód niezwykłych i wsławić ród Boreyszów jakimś niezwykłym czynem... Może mu się powiedzie. Niech mu Pan Bóg zsyła wszystko najlepsze. To był mój prawdziwy przyjaciel i wiele mu zawdzięczam jasnych chwil. Takiego człowieka już pewno w życiu nie znajdę i nie myślę go nawet poszukiwać. Karol, Teresa i Ty, Mamusiu — macie osobne miejsce w mojem sercu, o które Hanusia nie może być zazdrosna, bo przecież ona przeświała sobą każde moje uczucie i myśl, nawet ku Wam biegnącą. Zawojowała zresztą wszystkich, od Teresy począwszy, a skończywszy na „wujku Karolu“, który jej solennie obiecał iż z końca świata wróci, jeżeli „Jaśnie Oświecona Księżniczka tego zażąda...“

Arkusz listownego papieru skończył się, lecz Ania nie sięgnęła po drugi. Znów myśli rozprysły się i wirując pod czaszką zataczały coraz to szersze kręgi. Wydało się jej, że w pokoju jest duszno, choć okno było otwarte i majowa noc wpływała tu szerokiem tchnieniem.

Wstała od biurka i wsparłszy się plecami o framugę okienną, spojrzała w ogród, osypany, jak śniegiem, plamkami księżycowego światła.

...Opodal, w krzaku jaśminu, śpiewał słowik. Dobywał z maleńkiego gardziółka przedziwne trele, raz po raz odmieniając kolejność dźwięków. Maleńki, niewidzialny artysta, zaszyty w gąszczu liści, coraz nowe, coraz piękniejsze nuty posyłał w przestrzeń, milknąc tylko chwilaми, jak gdyby dla sprawdzenia, czy posrebrzona księżycem, wilgotna miękość nocy nasyciła się już rytmem piosenki — i znów zaczynał zniecka jakimś wysokim cis, by przejść w kłaskanie słodkie i niecierpliwe, a wreszcie zakończyć tremolandem urwanem nagle, jakby nie śmiał dokończyć swojej skargi...

Nie był to ten sam słowik i nie była to ta sama, co ongi, noc... Ale podobne blaski kładł księżyc na bielonym pniu gruszy, podobnie bzy pachniały i jakaś zapomniana chwila ocknęła się z uspienia...

*To* było wówczas tak blisko! Czaiło się w odgłosie kroków ostrożnych, które wtedy zwiększyły tylko w sercu urazę o jakiś śmieszny, dziecinnie śmieszny drobiazg... *To* istniało już wtedy, w każdym spojrzeniu rozkochanych młodzieńczych oczu, w każdym drgnięciu roześmianych, młodzieńczych ust. *To* można było pochwycić, jak złotego motyla, krążącego nad kwiatem i za-

trzymać w dłoni nazawsze. Bo to była radość i szczęście, to była *prawda*, zatajona w sercu niemądrem, zasypiana, jak piaskiem, tysiącem niedorzecznych psot, zarośnięta, jak ugór, chwastem bezwartościowych pragnień i nierealnych tęsknot.

I nie zostało schwytane szczęście, a ten, który je przyniósł zawczasie i zapóźno — nie wróci...

Upłynęło niewiele godzin od chwili, gdy po raz ostatni, obiecując, że zjawi się choć z końca świata na żądanie „księżniczki“, gładził jasne włoski Hanusi, — lecz patrzył w oczy Anine...

Jest tak blisko — a tak nieskończenie daleko. Jest tak blisko, że mogłaby pobiedz najkrótszą drogą, — przez las — i zawołać: Karolu!

— Karolu! Karolu!... Karolu!... — biegły teraz lkania daremne, ginęło w mroku nocy imię kochane.

— Aniu... — odpowiedział im szept.

Był tak wyraźny, że nie chciała oderwać dłoni od zapłakanych oczu, by nie spłoszyć wrażenia prawdy. Przecież wtedy tak właśnie szeptał... *Wtedy!*

— Aniu! Aniu moja! — powtórzył głos najdroższy i raptem czyjeś ramiona ogarnęły ją, zamknęły w mocnym uścisku.

Ręce Ani opadły nagle, by dotknąć twarzy, która wychyliła się z cieniów nocy, jak sen — ale nie była snem i cieniem; żółty blask lampy rozniecał w drogich oczach rosnące płomyki szczęścia.

— Ty, Karolu? Ty, tutaj? — wyjąkała jedy-

nie, bo resztę zagłuszyła radość nie do zwalczenia i *Jego* słowa gorączkowe, bezładne:

— Kochasz mię! Teraz wiem, że mię kochasz! Ach, Aniu, jak mogłaś nie powiedzieć mi tego! Byłbym odjechał z rozpaczą w sercu, usiłując wymazać z życia siedem lat!... Pomyśl! Siedem lat czekałem na tę jedną chwilę, na to jedno drgnięcie twej duszy! Milczałaś, lecz *ona* przemówiła... Kochasz mię! Kochasz mię! I mogłem odejść, nie usłyszawszy nic prócz tego, co mi skłamały twe usta... Twoje niedobre usta, twoje najdroższe usta!...

Puścił ją nagle z objęć, jednym sprężystym ruchem skoczył na niski parapet okna, już był przy niej, już siedział obok, tuląc do ust jej dłonie, od lez wilgotne.

Wysunęła je z jego dłoni łagodnie. Pierwsze wrażenie przeszło. Mogła spytać, choć jeszcze drżącym głosem:

— Skąd się tu wzięłaś, Karolu? Teraz? Miałaś przecież odjechać... Obiecałaś mi to...

— Skąd? Przyszedłem piechotą z Wielkich Kątów. Krótszą drogą przez las... Zaplątałem się w jakąś tarninę, czy też głóg. O, widzisz? Podle kolce podrapały mi rękę do krwi. Ale byłbym się przedarł przez całe pole cierni, byłbym staw cały przepłynął, żeby usłyszeć twój głos, Aniu — twój cudowny głos, który mię wzywał w ciemnościach...

— Karolu... Miej litość nademną... Zamilcz...

— Milczeć? Teraz? O, nie, moja panienko, nie! Tego się po mnie nie spodziewaj! Miałbym milczeć, gdy wiem nareszcie to, na co czekałem tak długo! Założyłem knebel na usta. Milczałem, jak grób, całe dwa lata. Myślałem: niech się rozpatrzy w sobie, niech wypocznie, niech się wsłucha w swe własne serce po tyłu, tyłu rozterkach! Myślałem: napisze do mnie. Prędzej, czy później odezwie się. Jeśli to, co mówiły nieświadomie jej oczy, tam, w Warszawie... Jeżeli to jest *miłość*, znajdzie mnie ona wszędzie! Myślałem: Nie, nie może przecież kochać *tego człowieka*. Chyba go nie kochała nigdy? Czekałem, czekałem wciąż cierpliwie. Przechodziły miesiące. Nie było listu, nie było znaku życia... nic! Potem przyszła ta zawierucha. Byłem ciągle na froncie. Co ja przeżyłem niepokoju o ciebie! Potem wreszcie Józio napisał, że znów jesteście w Kątach. Czekałem dalej. Teraz już czas był moim sprzymierzeńcem. Mogłaś się długo wahać, Aniu. Mogłaś lata całe przemilczać prawdę, może dusić ją w sobie, tłumić gwałtem. Ale byłaś tu, w Kątach. Nie myślałaś opuszczać ich. To był mój cichy triumf, to była moja nadzieja. I raptem — pisze Józef w jednym z swych głupich, nudnych listów, gdzie tyle było nowin, które mię nic nie obchodziły, a tak mało o tobie... Napisał, naturalnie, bez żadnych komentarzy: „Dopiero po wyjeździe Ani, która

czeka tylko wiadomości od męża, wezmę się do remontu domu w Starych Kątach.“ Ha! Wtedy ogarnęła mię wściekłość. Pomyślałem: Durniu! Struna została przeciągnięta. Ona *czekała* na ciebie, czekała prawie dwa lata, a ty — miałeś sobie za punkt honoru *dotrzymać danego słowa!*

Mówił szybko, dławiąc się niemal wezbraną falą tych wszystkich najważniejszych szczegółów, które trzeba było wyjaśnić. Ania siedziała cicho, nie przerywając mu ani słowem. Myślała tylko o jednym, w kółko, monotownie, z rosnącym przeżeniem: „Trzeba będzie jeszcze raz przeżyć tę chwilę. O Boże, Boże! Jeszcze raz przeżyć tę chwilę!...“

Gdy urwał, aby nareszcie złapać oddech, powiedziała prawie spokojnie:

— Mylisz się. *Trzeba było dotrzymać słowa.* Ja nie dlatego postanowiłam wrócić do mego męża, że ty...

— Cicho! — krzyknął i znów chwytając jej ręce, powtórzył: — Cicho, najdroższa.... Nie mów nic. To są drobiazgi, te twoje skrupuły, czy też zasady. Ten człowiek nigdy nie był wart ciebie! On jest straszną pomyłką twego życia. Nie można cierpieć całe życie z powodu jednej pomyłki...

Chciała coś odpowiedzieć, ale w tej chwili dziecko poruszyło się w łóżeczku. W mgnieniu oka była już przy niem. Hanusia spała, rozłożywszy maleńkie rączki, jak do uścisku. Jej maleń-

kie usteczka poruszyły się przez sen. Tej jednej chwili, chwili wpatżenia się w twarzyczkę ukochaną nad wszystko — wystarczyło. Poważnie, choć z uśmiechem na wargach i jaśniejącym wzrokiem, wskazując białe łóźeczko, Ania rzekła:

— Nie może być pomyłką to, że ona istnieje. To jest wielki dar Boga, wielkie miłosierdzie, przez Niego okazane i ogromna odpowiedzialność, złożona w ręce tych, którzy jej dali życie. Niewolno się sprzeciwiać przykazaniu boskiemu, które mówi: „Czcij ojca twego i matkę swoją“. Niewolno wodzić duszy własnego dziecka na pokuszenie.

— — — — —

Ale trzeba było jeszcze wielu zmagañ wzajemnych, obustronnych tłumaczeń, wymówek i prósb, niewczesnych żalów i nadziei, skazanych zgóry na zagładę, — nim wreszcie w serca, obolałe tą walką, wstąpiła cisza.

Chodzili długo po ogrodzie, aby rozmową nie zbudzić maleńkiej, lub kogoś z domowników. Chodzili po tych samych ścieżkach i zaszli aż nad staw, gdzie Karol raptem stanął i wskazując księżyc, rzekł:

— Pamiętasz? W taką samą noc, przed siedmiu laty, powiedziałem: Kocham cię, Aniu! Wiesz, że to nie były *brednie*, jak raczyłaś wtedy określić moje uczucia. Czekałem siedem lat na chwilę, w której mógłbym ci to całym sercem

powtórzyć i dziś chyba masz prawo mi wierzyć: kocham cię, Aniu.

— Po co męczysz mnie i siebie, Karolu? Wtedy, być może, nie umiałam... dziś — nie mam prawa tego słuchać.

— A jednak kocham cię pomimo wszystko i *nigdy* kochać nie przestanę.

— Ach, Karolu! To właśnie są *brednie*. Powinieneś zapomnieć, zapomnieć jaknajprędzej. A „zawsze“ i „nigdy“ — pamiętasz? — to są dwa niebezpieczne słowa, których używać nie należy... Minie jeszcze rok, dwa...

— I choćby nowe siedem! *Zawsze* powtórzę ci *to samo*.

— A ja *zawsze* ci to samo odpowiem.

— Ha! Teraz ty się hazardujesz...

Pokiwała głową:

— To jest szermierka słów! Nasze ongi ulubione turnieje...

— Więc mało się zmieniło! Może następne siedem lat przyniosą coś nowego. Bo wiesz, to dziwne, ale ja ciągle ufam, że mimo wszystko, kiedyś... Tak, Aniu! To jedno zostaw mi na pociechę, że jeśli kiedykolwiek... Jeśli byłabyś wolna...

— Ja?

— Dziwisz się samemu przypuszczeniu, jak gdyby twój małżonek był opoką, na której śmiało budować można przyszłość. Czy sądzisz, że jego



skrucha i obietnice będą trwalsze w przyszłości, niż były dotąd?

— Nic nie chcę sądzić i przesądzać. Będzie, jak jest sądzone. I... Karolu, błagam cię, nie mówmy o tem więcej. Teraz... gdy musimy się rozstać... Bo ty wyjedziesz, prawda?

— Wyjadę — odparł glucho i spojrzał znów na niebo.

Zaczynało już zlekka szarzeć na wschodzie. Noce wiosenne są tak krótkie...

— Czas na mnie — rzekł. Zanim wrócę do Wielkich Kątów, zrobi się jasny dzień, a nie chciałbym, aby spostrzegli moją nieobecność. Parę godzin jeszcze będę się tłukł po swoim pokoju i — jazda w drogę!

Wyciągnął rękę:

— Aniu... więc tak? Więc to już koniec?

— Koniec — szepnęła, tłumiąc łzy. — Niech cię Bóg prowadzi, Karolu i... nie myśl o mnie.

— To będzie trochę trudne — odparł z gorzkim uśmiechem. — Jeśli przez siedem lat myśli od ciebie oderwać nie umiałem, to chyba teraz tem bardziej, odkąd wiem, że ty...

— Do widzenia, Karolu...

— Za siedem lat, czy tak? Zostaw mi chociaż tę isierkę nadziei! Przysięgam ci, że wcześniej nie usłyszysz o mnie, chybaś sama chciała. Więc tak? Za siedem lat? Pozwolisz mi przyjechać, uca-

łować twe ręce i spytać tylko tyle: Jesteś szczęśliwa?

— Może się w międzyczasie ożenisz — odparła, usiłując mówić prawie wesoło — wierz mi, Karolu, z serca ci tego życzę...

— Nigdy mi nie szczędziłaś zdrowych rad. Może jeszcze sama znajdziesz mi żonę? Ale pamiętaj, musi być podobna do ciebie. Innej nie chcę. Musi mieć twoje oczy, usta, ręce... Musi mieć twoje myśli, serce i duszę. Jeżeli druga taka istnieje gdzieś na świecie i jeśli spotkam ją w dalekich śniegach północy, dokąd jadę, — wtedy, przysięgam ci...

— Tss... — szepnęła. — Nie przysięgaj mi nic. Przysięgi łamać nie wolno.

Doszli do skraju lasu. Tu trzeba było się rozstać. Długo patrzyła Ania na ścieżkę, po której już oddawna nie stąpał nikt. Cicho było tak bardzo, że przez chwilę bicie własnego serca wzięła za odgłos kroków dalekich.

Nagle ozwał się pierwszy ptak. Za nim, zrazu nieśmiało, drugi i trzeci. Jeszcze minuta — dwie — i pierwsze chóry leśne jęły witać wstający dzień.

Wtedy Ania podniosła głowę i wsłuchując się w radosne odgłosy zbudzonego nanowo życia — westchnęła. Było w tem westchnieniu wiele jeszcze niewyplakanych łez — i nieco ulgi...

Wracała wolno, wolniutko. W pobliżu dworu, przechodząc ścieżką pod oknami, zatrzymała się

nagle. Z wnętrza domu dobiegał cichy śpiew. To Teresa, która miała zwyczaj sprzątać w dawnym pokoju dziadków o świcie i odmawiać tam poranne pacierze, śpiewała drżącym ze starości głosem:

*„Kiedy ranne wstają zorze,  
Tobie ziemia, Tobie morze,  
Tobie śpiewa żywioł wszelki...“*

Wślizgnąwszy się do swojego pokoju i zgasiwszy lampę, która daremnie usiłowała brudno-żółtym płomykiem dorównać światłu dnia, — Ania podeszła do okna. Rzeźwy powiew niósł jeszcze, wzdłuż starych ścian domowstwa, sciszone słowa:

*„...Bądź pochwalon, Boże Wielki!“*

— Bądź pochwalon, Boże Wielki... — powtórzyła, pokornie schyliwszy głowę.

Kiedy podniosła oczy, wzrok jej napotkał na rogu biurka małą, czarną książeczkę. Wzięła ją do ręki i otworzywszy „*Naśladowanie Chrystusa*“, czytała znów, jak na cmentarzu poprzedniego dnia, rozdział „*O braku wszelkiej pociechy*“ który ktoś zakreślił niebieskim ołówkiem:

*„Ani też wielce się zasmucaj, jeśli cię opuści przyjaciel twój; wiedz bowiem, że przyjdzie czas, w którym wszyscy wzajem rozłączyć się muszą.*

*Nim człowiek nauczy się zupełnie siebie zwy-*

*ciężać i całe swe uczucie zwracać ku Bogu, musi wprzód wiele i długo walczyć sam z sobą<sup>1)</sup>.*

— Tak, mój Boże, tak... — westchnęła Ania i oczy jej nagle napelniły się łzami. Odwróciła jeszcze kilka stronic. W różowem świetle jutrzeńki szły ku niej z kart przedziwnej książki mądre i proste słowa, które powtórzyła, jak pacierz, kląkszy i patrząc w niebo:

*„Nie chcę pociechy, któraby mi skruczę odjąć miała; i nie żądam uniesień, któreby mię w dumę wzbijać miały.*

*Nie wszystko bowiem, co jest wzniosłe, święte jest; nie wszystko co jest słodkie, dobre jest; i nie wszystko co nam jest drogie, mile Bogu jest“<sup>2)</sup>.*

— — — — —

Drzwi otworzyły się — i cichułko, jak zawsze, weszła Teresa.

— To Ania już nie śpi? — zdziwiła się nieśmiało.

— A tak, staruszko moja. Nie spałam jeszcze wcale.

— Nie spała Ania wcale?

Panna Teresa podeszła bliżej, popatrzyła na otwartą książeczkę, na smutne oczy swojej „rybeńki najmilejszej“ i kładąc jej rękę na głowie, szepnęła:

<sup>1)</sup> Tomasz a Kempis. Naśl. Chr. Ks. II r. IX 2, 3.

<sup>2)</sup> Tomasz a Kempis. Naśl. Chr. Ks. II r. X, 3.

— Modliła się Ania? To bardzo dobrze...

Umilkła starowinka i wciąż gładząc Anine włosy, rzekła rzeźwiejszym tonem:

— A mnie się zdawało, że po ogrodzie ktoś chodził całą noc...

Ania spojrzała w okno, na pyszną czerwień słońca, które już świeciło nad ziemią i odezwała się, zamyślona:

— Może to chodził dobry duch tego domu, który w ciemnościach błędzącego bierze za rękę i prowadzi tam, skąd już widać prostą *Drogę Żywota*?

*Bobra Wielka*

*Czerwiec-listopad 1928 r.*



---

Wszystkie prawa zastrzeżone.  
Copyright by Wanda Miłaszewska

---



INSTITUT  
BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN

ul. Nowy Świat 72  
00-000 Warszawa

Tel. 26-68 63, 26-62-31 w. 42







<http://rcin.org.pl>

F

2235